

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO” Ps. 143.

ROK LVI

Tom 223

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1 9 3 9

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW”

~~~~~  
S P I S R Z E C Z Y  
N A K O Ń C U T O M U  
~~~~~

Pontifex Maximus.

Zmierzch wielkomieszczństwa.

Wielka wojna położyła kres zbrojnemu pokojowi, który trwał niezwykle długo, bo na zachodzie pełnych lat 44, od 1870 do 1914 roku. To bez mała półwiecze odpowiada szczytowemu rozkwitowi kultury materialistycznej i demokracji kapitalistycznej. Technika, uwieńczona samolotem, zawarła w sobie punkt ciężkości pozytywnych osiągnięć tego okresu. Rozsadziło go, wraz ze zbrojnym pokojem, wciąż wzrastające napięcie zbiorowej walki o byt, spowodowane przeciwieństwami podziału dóbr wewnątrz i zewnątrz państw. W zakresie pionowej budowy społecznej wzmogła się do rewolucyjnego natężenia walka klas między burżuazją a proletariatem. W zakresie poziomego, międzynarodowego podziału globu jeszcze prędzej dotarła do gwałtownych, wojennych rozstrzygnięć walka mocarstw, terytorialnie i surowcowo wygłodzonych — z przesyconymi.

W kataklizmie wielkiej wojny, wywołanym przez antagonizm poziomy, międzynarodowy, ani on, ani jego odpowiednik społeczny nie znalazły pozytywnego rozwiązania. Nastąpił przewlekły stan przejściowy powszechnego niepokoju, który już w Brześciu Litewskim, w r. 1918, przez kogoś z bolszewików trafnie określony został nihilistycznym aforyzmem: „ani pokój, ani wojna“...

Nie tylko dziś, gdy mamy poza sobą owo dwudziestoletnie rozszamotanie powojenne i gdy zwracać się ono zaczyna do nowej wielkiej wojny, lecz nawet w pierwszych, powersalskich latach, można było zdać sobie sprawę, iż rze-

czywistość znalazła się już po drugiej stronie wielkomieszczkańskiej barykady. Rzeczywistość ta wkraczała ponownie w *Sturm und Drang Periode*, okres jednak już nie wstępny, montujący kapitalistyczne demokracje od 1789 do 1848 roku, lecz zstępny, rozsadzający wielkomieszczkaństwo w nowym przełomie ku nowej epoce. Uzewnętrznił się, ujawnił, spotęgał na skutek zniszczeń wojennych materialny ciężar niesprawiedliwości w podziale dóbr i terytoriów. Wraz z nim wypęzły na powierzchnię powojennego życia, bardziej niż kiedykolwiek rozjuszony zbiorowy egoizm, których trujący zaród wyhydował w sobie wielkomieszczkański pokój zbrojny.

Ułudą musiał się w tych warunkach okazać „pokój wieczny“, którym go obłudnie lub naiwnie zastąpić usiłowała masońska republika narodów w Genewie. Do szpiku kości przenikał Ligę duch zachowania imperialnych stanów posiadania zwycięskiej grupy mocarstw, a nawet im właściwy duch społeczny kapitalistycznych demokracji. Bez skutecznego zaś rozwiązania obu wysuniętych w rozwoju życia zadań: sprawiedliwości społecznej i sprawiedliwości międzynarodowej mowy być nie mogło o pokoju nie tylko wiecznym, lecz nawet na jakiś czas zapewnionym.

To też zaraz na wstępie nowego powojennego pontyfikatu z ust Piusa XI padły słowa ostrzegające, że jedyną drogą na której można osiągnąć wieczny pokój jest Królestwo Boże na ziemi, poddane Bogu w sercach człowieczeństwa. *Pax Christi in regno Christi*. W obliczu okresu, który zapowiadał rozkład kultury i ustrojów wielkomieszczkańskich, zadaniem Stolicy Apostolskiej stać się musiało wyrowadzenie Kościoła z dotychczasowej postawy obronnej, czynnie przystosowawczej lub wyczekującej poprzednich czterech panowań. Teraz należało podjąć generalną ofensywę celem ponownego zwrotu losów świata pod sztandar Chrystusowy, oraz zwierzchnie kierownictwo Stolicy Piotrowej.

Nie tylko w zestawieniu z wiekową już poprzednią erą przewagi materializmu, a dziejotwórczego bezwładu katolicyzmu, lecz także w porównaniu do wielkowymiarowej defensywy bliskich poprzedników Piusa XI, było to zadanie wyjątkowo rozległe w zasięgu poczynañ i następstw. Chodziło wszak o „reakcję katolicką“ już nie w zakresie,

czynnego choćby przystosowania do istniejących warunków, jak za Leona XIII, lecz w najszerszej epokowej skali, o taką zatem reakcję, która powinna była wznowić ciągłość katolickiego wpływu na historyczny proces rozwojowy, wygasła od XVII stulecia.

Opatrzność, przez Stolicę Apostolską w osobie Benedykta XV rzuciła, iż jakby w przygotowaniu do tego olbrzymiego zadania ks. Achilles Ratti wszedł w bliską styczność z najistotniejszym, najbardziej dodatnim zjawiskiem tego rozkładowego zwrotu jaki w wielkomieszczaństwie spowodowała wielka wojna — z Polską. Podczas kilkuletniej nuncjatury warszawskiej, mógł ks. Ratti z bliska oglądać jak z wyroku Bożego polski Łazarz wychodzi z grobu. Mógł osobiście a odważnie asystować wobec Sądu Bożego z r. 1920, który to wyście poddał próbie i nowym wyrokiem zatwierdził; mógł wreszcie wejść w osobisty kontakt z Piłsudskim, jako pierwszym wskrzeszonego państwa suwerenem, najpotężniejszą jego polityczną indywidualnością i spadkobiercą zrealizowanego testamentu powstań. W ten sposób nawiązana została ponownie ta ścisła więź duchowa oraz wielowiekowa łączność zadań i dążeń, która przed 250 laty tak tragicznym zajaśniała blaskiem w ostatnim wielkim czynie dziejowym obu potęg: rzymskiej i polskiej w odsieczy Wiednia. Niemniej wymowny wyraz znalazła ta łączność w równoległym odtąd odejściu obu potęg na drugi plan lub nawet w podziemie historii, pod przemocą wrogiego im obu ducha nowej epoki materialistycznej. Całą mocą swej wysokiej inteligencji, a całą głębią szczególnych wobec Polski uczuć, wiązał Ojciec chrześcijaństwa swe władcze zamiary z nadzieją na wyjątkową misję polską w przebudowie ginącego świata na nowy, odrodzony, Boży ład.

Wstąpiwszy na tron czynił też co było w jego mocy, by jak najbardziej zacieśnić stosunki Stolicy Apostolskiej z Polską, oraz spotęgować dynamikę jej uczuć religijnych.

Wielka ofensywa.

Nie spełniły się dalekosieżne polskie nadzieje Piusa XI za jego życia; natomiast jego pontyfikat wypełnił bez reszty wszystko, co dlań Opatrzność w biegu dziejów wyznaczyła.

Wszechstronne to było dzieło zwrócone zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz ściślejszej duchownej kompetencji Kościoła, lecz na ogół zawsze nacechowane dominującym piętnem religijno-społecznym. Nawet wówczas, gdy encykliki Piusowe dotyczą zagadnień pozornie czysto moralnych, jak: małżeństwo, wychowanie młodzieży, są to zagadnienia moralności bardziej społecznej niżli indywidualnej.

Z natury rzeczy jednak większy osiągnęła rozgłos ta strona działalności zgásłego Papieża, która bezpośrednio wkraczała w moralny i materialny zamęt rozkładającego się wielkomieszczaństwa. *Pax Christi in regno Christi* było naczelnym tej działalności zawołaniem, a ustanowione przez Piusa XI święto Chrystusa-Króla, oraz kongres ku Jego czci, stwierdzały nacisk jaki Stolica Apostolska kładzie nie tylko na indywidualny związek z Chrystusem poszczególnych dusz, lecz przede wszystkim na poddaństwo życia publicznego wobec suwerenności Bożej.

Kroki powyższe urabiały odpowiednią atmosferę psychiki zbiorowej. Natomiast w przeważającej mierze praktyczne znaczenie miał układ Laterański z r. 1929, oraz konkordat z faszystowskim rządem Italii. Akty te wysuwają się na pierwszy plan pośród wielu innych konkordatów, nie wyłączając niemieckiego. Przez ugodę z Kwirynałem, Watykan likwidował uciążliwą, krępującą i na ogół beznadziejną „kwestię rzymską“, czyli sprawę świeckiej władzy papieskiej. Co najważniejsza, regulując stosunek do państwa włoskiego zabezpieczał sobie tyły dla wielkiej Akcji Katolickiej, podejmowanej zarówno w Italii, jak wszędzie, dokąd tylko sięgał dostateczny wpływ katolicyzmu, a nie było przeszkód ze strony władzy świeckiej.

W Akcji Katolickiej i encyklice *Quadragesimo anno* zawarty został punkt ciężkości watykańskiej ofensywy przeciwko duchowi i ustrojowi epoki wielkomieszczańskiej. Akcja jest przede wszystkim międzynarodową organizacją propagandy wiary, oraz reformy obyczajowej i społecznej, zapoczątkowaną w skali światowej. Jest narzędziem walki z laicyzmem współczesnego życia, mającym za zadanie karczować głębię psychiki zbiorowej pod zasiew ziarna Królestwa Bożego na ziemi. Jako taka musi obejmować życie jak najszerzej, przenikać w nie jak najgłębiej, nie może więc być zakonną,

lecz świecką. Ale właśnie przez ten maksymalny wymiar zamierzonego zasięgu, nasuwa analogię z kolosalnym dziełem średniowiecznym: benedyktynów, cystersów, franciszkanów, dominikanów, oraz renesansową misję jezuitów. Owe przesławne zakony okryły chwałą Kościół i siebie, jako armia wykonawcza Tronu Piotrowego, w kształtowaniu życia i kultury według Bożej idei chrześcijaństwa. Zarówno świecka zasada organizacyjna, jak stosunek Akcji Katolickiej do hierarchii są wprawdzie odmienne, lecz tak przystosowane do współczesnej rzeczywistości, by ją podbić mogły dla Chrystusa - Króla skuteczniej niżli ongi, zakon Serafickiego Biedaczyny z Assyżu włącznie z tercjarstwem. Podobne zamiary za pontyfikatów przedwojennych nie miały jeszcze dostatecznych warunków wcielenia w czyn. Jako znamienne więc *signum temporis* przybrały kształt realny na widowni powojennej Europy za pontyfikatu Piusa XI.

Jeszcze wyraziściej wystąpiła na tymże powojennym tle słynna encyklika *Quadragesimo anno*, kreśląca plan kampanii społecznej dla katolików w ogóle, a członków Akcji Kat. w szczególności. Tutaj nagła konieczność przełomu oraz nieudolna wobec niej postawa wiedzy i władzy świeckiej zmusiły Papieża posunąć się jeszcze dalej niżli przy tworzeniu chrześcijańskiej demokracji przez Leona XIII, Akcji zaś Katolickiej przez samego Piusa XI. Wzorem nadto licznych dziejotwórczych pontyfikatów średniowiecza lub wczesnego renesansu, lecz jeszcze bardziej bezpośrednio i świadomie, wypadło tutaj Stolicy Apostolskiej podjąć wielką inicjatywę zastępczą na przyrodzonym terenie działania czynników świeckich, które wszakże ugrzęzły w bezwładzie lub przygotowują destrukcję. Chodzi o konstruktywną i konkretną, nie tylko moralną lecz i materialną zasadę przebudowy ustroju społecznego.

Quadragesimo anno jest druzgoczącym, choć formalnie mniej może ostrym niżli *Syllabus* Piusa IX, wyzwaniem rzucanym liberalizmowi i kapitalizmowi. Nie potępia wprawdzie tych form ustawowych w samej ich zasadzie, lecz wykazuje tak głębokie ich zwyrodnienie, że jego naprawa wymaga, obok przejścia psychiki od materializmu ku prawdzie Bożej, głębokich materialnych przeobrażeń samej struktury

ustroju. Zawarte w encyklice oceny i wskazania moralne należą oczywiście do ścisłej kompetencji władzy duchownej, wiążą więc katolików w sumieniu. Równoległy zaś zarys konstruktywnych zmian ustrojowych z natury rzeczy musi mieć charakter zaleceń, podobnie zresztą jak każdy w tym zakresie projekt świecki, póki nie uzyska mocy prawa. Zalecając wszakże ustrój korporacyjny Pius XI, chociaż nie przemawia nieomylnie, z pewnością się nie myli. Głęboką swoją ludzką mądrością i wiedzą odsłania przed człowieczeństwem jedyną drogę wyjścia z matni w jaką je zapędziły rozpetane przez materializm namiętności.

Zasada ustrojowa korporacjonizmu została w encyklice wyprowadzona z rzeczowej krytyki schyłkowego kapitalizmu, jako antidotum wobec powikłań społecznych odeń nieodłącznych. Argumentacja jest silna i przekonująca, poszczególne postulaty nie tylko moralnie uzasadnione, lecz cenne jako wskazówka dla poczynañ materialnych, całość wywodu jak najszerzej związana z tragiczną aktualnością chwili dziejowej. Encyklika stanowi więc potężny bodziec dla praktycznego działania w zaleconym przez nią kierunku. Mimo to niesłusznie bywa pojmowana jako gotowy program realizacyjny nowego ustroju, nie wyczerpuje bowiem zagadnienia techniki sprawiedliwszego niż przy kapitalizmie podziału dochodu społecznego.

Trudno to nazwać słabą stroną encykliki, gdyż nieodzowne są w tej dziedzinie pewne teoretyczne oraz organizacyjne akty twórcze o charakterze zbyt specjalnym, ażeby je mogła wypełnić władza duchowna, w zastępstwie inicjatywy świeckiej. Słabą więc stroną nie encykliki, lecz jej realizacji stanowi fakt, że encyklika dotąd nie znalazła wykonawców dostatecznie kongenialnych, by nie tylko pragnęli wypełnić jej zalecenia, lecz zdolni byli zastosować nieodzowne po temu nowe, kapitalizmowi nieznane metody. W tym kierunku nastąpiło dotąd tylko pewne wstępne, a bardzo jeszcze niedostateczne sondowanie możliwości, podczas walki z kryzysem gospodarczym za pomocą „nagręceń koniunktury”.

Reakcja zatem chrześcijan świeckich wobec encykliki okazała się na razie jednostronną i powierzchowną. Jedno-

stronna, ponieważ zrozumiano i goręcej przykładać się poczęto do wcielenia w czyn głównie jej nakazów, dotyczących propagandy chrześcijańskiej moralności społecznej, co stanowi jedno z naczelných zadań Akcji Katolickiej. W zakresie materialnych przeobrażeń ustrojowych ograniczono się do nieśmiałych prób biernego wykonania tych zaleceń, które się wydawały dostępnejsze, nie usiłując nawet poszukiwać jakichkolwiek nowych w tym kierunku dróg. Przy tak powierzchownym ujęciu encykliki, musiały się, oczywiście, ujawnić te same nastawienia społeczno-emocjonalne, radykalne lub zachowawcze, które są właściwe przemóżnym dotąd współczesnym prądom społecznym. Z jednej więc strony pewne katolickie środowiska poczęły się skłaniać do czysto mechanicznych tez wyrównawczych prymitywnego radykalizmu, jak reforma rolna. Tego rodzaju skłonność, szczególnie gdy jej nie towarzyszą poczynania głębsze i szersze, musiała po zachowawczej stronie barykady wywołać nieufność i opozycję.

W gruncie rzeczy obie te postawy: radykalna i zachowawcza, są bezprzedmiotowe, o ile chodzi nie o doraźne tendencje ujawniane w związku z encykliką, lecz o samą jej istotną ideę. Ta idea nie jest ani prawa, ani lewa, lecz moralnie i społecznie obiektywna, jak prawo Boże i prawo natury, które encyklice za podstawę służą. Ponieważ idea ta jest moralnie i społecznie obiektywna, przeto musi do pewnego stopnia godzić w to wszystko, co w istniejącym ustroju kapitalistycznym jest klasowo-subiektywne, co narusza równowagę społeczną, wywołuje powikłania i grozi destrukcją. O tyle więc encyklika z pewnością nie pokrywa się z programem społeczno-konserwatywnym.

Ale stąd jednak nie wynika, by miała iść naprzeciw prądom społecznego radykalizmu w ich obecnej demagogicznej postaci. Encyklika wskazuje przede wszystkim jako zasadę nowego, obiektywnego ustroju konieczność uzgodnienia gospodarczych procesów produkcyjnych z procesem konsumcyjnym. Przy kapitalizmie, zwłaszcza przekwitowym, hyperprodukcyjnym, nie da się to osiągnąć i dlatego wymaga nowych urządzeń, czyli nowego ustroju. Trzeba rozwinąć, a następnie regulować produkcję tak, ażeby mogła zaspokoić

potrzeby szerokich mas, oraz dzielić dochód społeczny tak, ażeby masy mogły owoce produkcji normalnie spożywać, zatem zapewnić jej zbył.

Wydaje mi się rzeczą jasną, iż jest to warunek *sine quo non* społecznej sprawiedliwości, pokoju i harmonii. Leżą one nie tylko w interesie spoźywców, ale także wytwórców, aż do największych i najzamożniejszych włącznie. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że na skutek „nowego podziału” dochodu społecznego pomiędzy produkcję a konsumcję, położenie producentów stanie się materialnie mniej uprzywilejowane, ale za to przestanie być eksponowane, zagrożone i atakowane. Zająwszy właściwe sobie, nie nadmiernie supremacyjne miejsce w budowie społecznej, wypełniając poprawnie funkcję zaspokajania potrzeb materialnych społeczeństwa, produkcja i kapitał zostaną wprawdzie pozbawione niebezpiecznej wolności nieograniczonego rozwoju, regulowanego jedynie przez krachy; natomiast osiągną większą nawet swobodę celowych poczynañ niżli przy miotanym przez kryzys, rozkładającym się kapitalizmie doby obecnej.

Sprawiedliwość społeczna, w chrześcijańskim ujęciu, nie jest też równoznaczna z niwelatorskim egalitaryzmem liberałów i radykałów społecznych epoki wielkomieśczańskiej. Z ustanowienia Bożego Kościół otrzymał ustroj, który wykazał absolutną stałość i twardość, a który harmonijnie kojarzy w sobie pierwiastek demokratyczny z poczuciem autorytetu i hierarchii. Na światowładnym tronie Piotra na przemian zasiadają: hrabia, mieszczańin i syn robotniczy. Kościół wymaga pokory nie tylko rządzonych, lecz i rządzących, umie zapewnić karność i posłuszeństwo, ale umie też odjąć swej absolutnej władzy duchownej wszelkie znamiona tyranii, całą tę władzę oddając na „służbę wobec sług Bożych”, w imię miłości Bożej ku nim. Wydaje mi się pewnym, że oparcie ustrojów świeckich, społecznych i politycznych, na pokrewnej zasadzie organizacyjnej i przeniknięcie ich tym samym duchem Bożym dałoby *maximum* równowagi pomiędzy słuszną demokratyczną dążnością do zrównania startu życiowego jednostek, a koniecznym zróżnicowaniem drabiny społecznej według hierarchii uzdolnień.

Wydaje mi się przy tym, że moment dziedziczności tych uzdolnień, względnie osiągniętych przez nie materialnych stanów posiadania, a więc pewnego przywileju, dałby się utrzymać w granicach nie powodujących istotnej krzywdy społecznej. Mieściłby się przeto w perspektywie ustroju przyszłości, który bardziej od któregośkolwiek z poprzednich powinien się zbliżyć do ideału Królestwa Bożego na ziemi.

Pius i Grzegorz.

To Chrystusowe Królestwo jest odwiecznym echem ziemskich dążeń Kościoła. Argumentacja encykliki *Quadragesimo anno* nosi wprawdzie charakter wybitnie aktualistyczny. Wyprowadza ona korporacjonizm bezpośrednio z groźnych, rozkładowych przejawów schyłkowego kapitalizmu, zaleca pierwszy z tych ustrojów, jako antidotum przeciwko drugiemu. Jednak nie omieszkął Pius XI dyskretnie zaznaczyć, że

...istniał kiedyś porządek społeczny, który lubo nie pod każdym względem był doskonały, przecież jak na ówczesne warunki i potrzeby wymogom rozumu jako tako odpowiadał. Jeśli już dawno zniknął, nie w tym przyczyna, że nie można go było przez odpowiedni rozwój i elastyczne rozszerzenie dostosować do zmienionych warunków i potrzeb, lecz raczej w tym, że ludzie w ciasnym samolubstwie nie chcieli wzrastającej ludności użyć miejsca wewnątrz tego porządku, jak było ich obowiązkiem; albo, że omamieni widmem fałszywej wolności i innymi błędnymi zasadami, jakiejkolwiek nad sobą władzy niechętni, żadnego nad sobą zwierzchnictwa uznać nie chcieli.

Jest to przejrzysta aluzja do przedrewolucyjnego *ancien régime*'u we Francji. Z powyższej jego oceny, jak z całej encykliki i z natury rzeczy wynika, że Pius XI był jak najdalej od prymitywnie reakcyjnych dążeń do wskrzeszenia tego porządku społecznego, w jego przez materializm zdegenerowanej postaci z XVIII wieku. Wyraźnie natomiast, choć dyskretnie, nawiązuje Papież do zamierzchłego prototypu tego ustroju, który korzeniami sięgał głębokiego średniowiecza. Początek swój wywodził z „linii rozdziału wód”, jaka się zarysowała w IX i X stuleciu pomiędzy prądem rozwoju społecznego zstępującym od upadku zachodniego cesarstwa aż po narodziny feudalizmu, oraz wstępującym

od owych narodzin aż po kończącą się obecnie epokę wielkomieszczańską.

Wiek żelazny feudalizmu i wiek złoty kapitalizmu były jednakże okresami demokratycznej niwelacji przez walkę o byt ustrojów poprzednich, bardziej zróżnicowanych, lecz skostniałych. Burzyły ich hierarchiczną strukturę prymitywną wolnością i równością, która już to świadomie, już też tylko faktycznie, musiała upraszczać zasadę organizacyjną wielostanową na rzecz zasady klasowej. Feudalizm i kapitalizm wyniosły w równym stopniu brutalną przemoc w walce o byt do poziomu naczelnej siły rządzącej i zarządzającej. Równając wszystko i wszystkich w obliczu potęgi miecza lub potęgi złota podzieliły społeczeństwo na dwie tylko odrębne klasy: zwycięzców i zwyciężonych, panów i niewolników, uzbrojonych i bezbronnych, bogatych i ubogich.

Zarówno feudalizm, jak kapitalizm były więc okresami bezwzględnej przewagi materii nad duchem, a w następstwie też okresami osłabienia Kościoła. Biernie asystował Kościół przy powstawaniu zarówno feudalizmu jak kapitalizmu. Oba te ustroje miały w rozwoju społecznym pewne pozytywne, choć przejściowe zadania do wypełnienia. Feudalizm ocalił Europę przed Normanami, kapitalizm doprowadził technikę produkcji do poziomu nieodzownego dla wyżywienia olbrzymiego przyrostu ludności Europy w XIX stuleciu. Oba te ustroje jednak, w swej czystej i niepodzielnie panującej postaci, szybko się przeżywały, wyrodniewając ongiś w nieustającą wewnętrzną, międzyfeudalną wojnę domową, obecnie zaś również nieustającą i coraz groźniejszą społeczną walkę klas. Jeden i drugi ustrój, jednostronnością swojej dynamiki i wytworzonej przez nią budowy społecznej, zdołał wprowadzić ocalić Europę przed rozbojem lub głodem, lecz wypełniwszy to zadanie niemniej szybko poczynił spychać człowieczeństwo w odmęt anarchii.

Gdy więc w połowie XI wieku, z powodu społecznego zdżiczenia oraz międzynarodowego zagrożenia (przez Islam) zawisła znów zagłada nad Europą, wówczas z wielką dziejotwórczą odsieczą ginącemu światu pośpieszyło zwierzchnie, Boże nad nim Namiestnictwo Rzymu. Z kluniackiej reformy zakonu benedyktynów oraz świecko - feudalnej *treuga*

Dei wychodząc, poprzez gregoriańską reformę samej Stolicy Apostolskiej, Kościoła i jego stosunku do państwa, aż do krucjat i nieodzownej choć opłakanej walki z cesarstwem, w społecznych zatem i międzynarodowych, konstrukcyjnych i bojowych inicjatywach Grzegorza VII i Urbana II, — Kościół podjął i przeprowadził ponowną, różnicującą przebudowę klasowego feudalizmu na wielostanowe chrześcijańskie państwo korporacyjne. Podjął zaś również, lecz przeprowadzić nie zdołał całkującej syntezy imperialnej rozproszkowanego feudalizmu europejskiego w rządą i zdolną do odebrania islamowi Wschodu — Rzeczpospolitą Chrześcijańską.

W ten sposób powstał ów średniowieczny prototyp-embrion katolickiego państwa stanowego, katolickiej międzynarodowej organizacji Europy i katolickiej kultury europejskiej, której dynamikę wyraziły wielkie katedry gotyku. Ten ustrój i ta kultura nie utrzymały się, niestety, na stałe na poziomie wysokiego przeznaczenia do jakiego powołał je Kościół Chrystusowy. Wzrastająca przewaga materii nie przeszkodziła wprawdzie Europie podnieść się w rozwoju o tysiącletnie piętro wyżej, doprowadziła jednak w końcu ponownie do powtórnego okresu negacji Boga w życiu ziemskim, w stuleciach XVIII i XIX. Kapitalizm opanował nurt dziejowy, posługując się wolnościową reakcją przeciwko zwyrodniałemu w policyjnym absolutyzmie średniowiecznemu ustrojowi korporacyjnemu. Równocześnie tenże kapitalizm uprościł budowę społeczną, przeobrażając ją z wielostanowej w dwuklasową, opartą jawnie na przewadze materii, na panowaniu zdobywców złota nad ludźmi ubogimi. I znów, jak ongi, ta bezwzględna przemoc materii przywiodła ginący świat wielkomieszczański na skraj przepaści.

Pontyfikat Piusa XI otwiera przeto nowy okres reakcji chrześcijaństwa przeciwko grożącej ludzkości zagładzie. Jest to okres analogiczny z panowaniem wielkiego Benedyktyna, który w XI wieku ze Stolicy Piotrowej podjął budowę nowej Europy. Nie mogą być wprawdzie identyczne drogi Piusa XI i Grzegorza VII, bo w dużej mierze zmieniły się warunki w jakich działali. Żaden z papieży średniowiecznych nie ogłosił encykliki osądzającej feudalizm w jego

ustrojowym całokształcie, jak to uczynił Pius XI wobec kapitalizmu. Papieże średniowieczni podjęli tylko szereg wielkich działań kościelno-politycznych, które wprost lub pośrednio rozsądziły klasowy¹⁾ porządek feudalny i przeobraziły go w państwo stanowe. Nie potrzebował też Pius XI rozpoczynać swego dzieła od reformy samego Kościoła oraz jego zasadniczego stosunku do władzy świeckiej, jak to było nieodzowne dla Grzegorza VII. Pewnej analogii można by się tu dopatrywać chyba tylko pomiędzy kluniacką reformą zakonu benedyktynów, a powołaniem Akcji Katolickiej; znacznie większej między przeniesieniem elekcji papieskiej do kolegium kardynałów, a domniemanymi, lecz nie zrealizowanymi za życia Piusa XI projektami umiędzynarodowienia tegoż kolegium.

Te różnice są jednak nieistotne, raczej taktyczne, okolicznościowe, zewnętrzne. Najistotniejsze zaś podobieństwo ujawnia się w faktach bojowej inicjatywy Grzegorza przeciwko cesarstwu, jako naczelnej reprezentacji panującego wówczas ustroju feudalnego, oraz manieri bojowej, inicjatywy Piusa przeciwko burżuazji, jako naczelnej sile kierowniczej panującego obecnie ustroju kapitalistycznego. Tą inicjatywą, sformułowaną w *Quadragesimo anno* i powołaniem świeckiego zastępu Akcji Katolickiej do walki o sprawiedliwość społeczną, Pius XI ostro odciął katolicyzm od kapitalizmu, wypowiadając mu reformatorską „wojnę”.

Teatr tej „wojny” nie dał się jednak ograniczyć do jednego tylko frontu. Z pionowego i poziomego, społecznego i międzynarodowego rozkładu kapitalistycznych demo-

¹⁾ Początkowo nawet swołście demokratyczny, choć militarnie szierarchizowany. Pierwsze generacje feudalów wyłonione z doboru wojennego w stuleciu najazdów normanńskich (850—950) były na ogół raczej niskiego pochodzenia. Charakterystyczne dla natury zjawiska i ducha czasu jest podanie, jakoby protoplastą Kapetyngów (a więc także Walezjuszków, Burbonów i Orleanów) miał być atletycznej budowy rzeźnik, który umiał skutecznie dowodzić miejscową obroną przed Normanami. Małżeństwo Roberta Siłacza z rodzoną wnuczką Karola Wielkiego świadczy wprawdzie, iż ów protoplasta nie mógł być wyraźnym plebeuszem i że przeciwnie w żyłach Orleanów płynie krew karolińska, jednak — *si non e vero e ben trovato*. Bardziej autentycznie wywodzoną jest dynastia Plantagenetów od zawodowego myśliwca, czegoś w rodzaju „traper” z X wieku.

kracyj wyłoniły się dwa typy reakcji, też samej materialistycznej natury co kapitalizm, lecz odwrotnie wobec niego nastawione w walce o wartości materialne. Walka klas o podział dochodu społecznego zrodziła komunizm, walka ras o podział terytoriów — rasizm. Te dwa prądy w starciu pomiędzy sobą oraz z kapitalistyczną demokracją spotęgowały niesłychanie powojenny chaos, same zaś urosły w nim do miary demonicznych potęg, zmierzających przez światową rewolucję lub światową wojnę do opanowania globu. Totalizm komunistyczny zajął przy tym postawę ateistyczną i wobec chrześcijaństwa zaczępną w wojującym bezbożnictwie. Totalizmy faszystowskie osiadły w Europie środkowej, krępując Stolicę Apostolską w samych Włoszech, a wypowiadając i chrześcijaństwu neopogańską wojnę w Niemczech.

Wypadło więc i wobec tych nowych wrogów sformować kontrofensywny szyk bojowy. Uczynił to Pius XI od strony zasad, u schyłku swego żywota i panowania w encyklikach: *Divini Redemptoris* i *Mit brennender Sorge*. Równocześnie od strony praktycznej starał się mobilizować przeciwne hitleryzmowi siły katolickiej Francji, Polski i Węgier za pomocą podniosłych aktów duchownych: konsekracji Bazyliki Teresy od Dzieciątka Jezus w Lisieux, Pierwszego Kongresu Chrystusa Króla w Poznaniu, Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie i kanonizacji św. Andrzeja Boboli.

Siew przyszłości.

Na tym zakończył Pan dzieło Piusowego żywota i panowania. Katolicyzm wyszedł zeń jako bezwzględnie niezawisła siła duchowa i społeczna w mocnej postawie wobec liberalnych i totalnych potęg materialistycznych, rozdzierających między sobą ginący świat wielkomieszczaństwa. Dłonią Piusa kierowany katolicyzm podjął równocześnie przeciwko tym siłom zniszczenia wielką ofensywę twórczą w Akcji Katolickiej na rzecz odrodzenia wiary i chrześcijańskiego państwa stanowego.

Tym pozytywnym poczynaniom nie było jeszcze dane należycie się rozwinąć. Nie zapuściły korzeni w duszach i umysłach tak szybko jak tego pragnął zmarły Papież. Moce zniszczenia, wielkie zaślepione żądze zbiorowe wciąż

jeszcze przemożne, szaleją nad Europą, zdając się ją już bezpośrednio wciągać w krwawą otchłań nowej wojny powszechnej.

Przed swoim zgonem Pius XI widział to i rozumiał. Gotował się przeto do dalszej jeszcze heroiczniejszej walki. Stosunek do Hitlera miał już naprężony niemniej groźnie niżli Grzegorz VII do Henryka IV po Canossie, choć jej doznał tylko w miniaturze i po zgonie, w mowie pogrzebowej ambasadora von Bergena. Mimo to nieustraszony starzec, jak głoszą wieści, zamierzał przy okazji dziesięciolecia Laterańskiego paktu naprężyć również stosunek do włoskiego faszyzmu, postawić na kartę odzyskaną na Lateranie władzę świecką Stolicy Apostolskiej, byle od faszystowskiego państwa uzyskać tę nieodzowną dla Akcji Katolickiej swobodę ruchów, o którą mimo zobowiązań faszystowskich, coraz było trudniej. Gotował się Pius, jak wieść głosiła, do jak najpełniejszego wyzwolenia Nawy Piotrowej spod materialnej przewagi totalizmów przez umiędzynarodowienie Kurii Rzymskiej, zwiększenie liczby kardynałów narodowości niewłoskiej, może nawet większość w Św. Kolegium; a w każdym razie szerszy, wzorem średniowiecza, dostęp do tiary dla nie-Włochów. Wiązały się z tym projektem widoki godności kardynalskiej dla wszystkich arcybiskupów - ordynariuszy w Polsce oraz nowych nominacji niemieckich.

Gdyby tego rodzaju przebudowa najwyższych urządzeń Kościoła Rzymskiego doszła do skutku to i ona sama i jej następstwa mogłyby przyjąć miarę żywo narzucającą porównanie z reformą gregoriańską, oraz powszechno-dziejowym zasięgiem jej następstw. Tendencja takiej reformy szczególnie blisko odpowiadać by musiała potężnieniu katolicyzmu na całym obszarze globu. Ażeby się okazać skuteczną winnaby iść w parze z szybkim, zdecydowanym postępem duchowej jedności człowieczeństwa, jako też z materialną stabilizacją stosunków międzynarodowych. Winnaby się kojarzyć z równoległym postępem idei świeckiego rządu powszechnego i światowego nadpaństwa, według średniowiecznego prototypu dwoistej zwierzchniej władzy uniwersalnej, papieskiej i cesarskiej.

Nieudolna, masońsko-republikańska w tym kierunku próba Ligi Narodów wskazuje jak dalece jest jeszcze za wcześnie na realizację tego rodzaju dążeń, pomimo iż materialny postęp techniki komunikacyjnej skurczył rozmiary naszej planety do skali dawnego imperium rzymskiego. Ponowne przedwojenne piekło w jakie coraz głębiej zapada Europa świadczy niemniej wymownie jak dalece ludzkość duchowo jeszcze nie dorosła do miary materialnych możliwości dostarczonych jej przez technikę. Nie ma też żadnych widoków ażeby dorosnąć mogła inną drogą jak przez *instaurare omnia in Christo*, przez przywrócenie mocy Bożej do panowania nad psychiką indywidualną i zbiorową. Lecz i na to jeszcze wiele trzeba heroicznego długotrwałego wysiłku.

Zamknął przeto Pan oczy Piusowe w chwili porywu ducha, który go unosił na wyżynę twórczą dla owczarni Chrystusowej jeszcze niedostępnej. Nie dopuścił Pan, by się pomylił jego nieomylny sługa przedwcześnie wprowadzając w czyn dzieło nadmiernie wielkie dla świata, który z małości swego ducha ginie. Bo wtedy mogłoby się to dzieło stać dla Kościoła szkodliwym. Od strony przyziemnej widać to już wyraźnie w niewiele miesięcy po zgonie Piusowym. Łatwo sobie wyobrazić jak niepożądanym by było naprężenie między Stolicą Apostolską a faszyzmem w obliczu niebezpieczeństwa wojny powszechnej. I jak łatwo mogłoby chybić celu, przejść bez wrażenia, zagłuszonym zostać hukami armat, a nawet w pewnej mierze zdeorganizować samą Kurie Rzymską jej, wedle wzorów średniowiecza, na wspak rozgorzałym nacjonalizmom, podjęte umiędzynarodowienie.

Nie było więc Piusowi danym antycypować w ten sposób niedojrzały jeszcze owoc jego pontyfikatu. Był siewcą, który oglądał jedynie pierwszą ruń swojego ziarna, szarpaną wichrem nadciągającej burzy. Był budowniczym, który w Imię Boga założył kamień węgielny nowej epoki pod niebem chmurnym i piorunami brzemienным. Czy z tego siewu wyrosną bujne łąny zbóż, czy z węgielnego kamienia wzbijają się znów pod niebiosami gotyckie wieże odrodzonej cywilizacji chrześcijańskiej, tego dziś jeszcze przewidzieć nie po-

dobna; jak nie podobna było przewidzieć olbrzymiego dziejowego plonu Grzegorzowej reformy i walki wówczas gdy ona była w toku.

Rozstrzyga o tym sąd Boży, łaska Boża oraz wolna a dobra wola ludzka. Sąd Boży nad Europą feudalną wypadł miłościwie. Ciężkie grzechy odpokutowała bezmierna krwawą hekatombą krucjat. Łaska przeniknęła serca, opanowała i poruszyła wolę, sprężyła ramiona chrześcijaństwa na tytaniczny czyn. Dopiero gdy to wszystko zeń wyrosło, co wyrosnąć miało, Grzegorzowe panowanie mogło zajaśnieć na firmamencie dziejów jako ich gwiazda przewodnia. Gdyby wyrok Boży potępił był feudalną Europę, gdyby odmówił jej łaski i oświecenia, gdyby dobra wola pozostała głucha na Grzegorzowy i Urbanowy zew władzy, gdyby serca nie przyjęły pokuty, a ramiona nie podjęły olbrzymiego wysiłku, wówczas byłaby Europa zapadła ponownie w śmierć i noc żelaznego wieku. A światła wielkich pontyfikatów sterczałyby nad nią jako gromnice nad trumną.

Minęło od tej pory prawie tysiąclecie. I oto z wyżyn tej samej Stolicy Apostolskiej ponownie zabrzmiał władczy zew Bożego Namiestnictwa, obwieszczając kres Europie wielkomieszczańskiej, wskazując zbawczą choć stromą drogę wyjścia na czasy nowe. Ten głos z wyżyn już zamilkł na wieki. Czy przebrzmi bez echa? Czy Europa i Polska, do której się szczególnie zwracał pozostanie nań głucha? Tak było dotąd i dlatego nad wielkomieszczańską Europą otwiera się znowu sąd Boży. Nadchodzi „dzień gniewu“, który się stać może dniem zagłady, jeśli go łaska nie przemieni w dzień pokuty i nie wykrzesze z dusz godnego chwili dziejowej porywu...

Piusie, Ojcie Świąty, Ojcie odrodzonego chrześcijaństwa, Papieżu polski, módl się za nami...

Stanisław Szczutowski.

Katolickie koncepcje wychowawcze w starożytności i średniowieczu.

1. Podział i plan badań nad „zasadami“.

„Zasady“ katolickiej ideologii wychowawczej dzielą się na dwie główne grupy. Pierwsza obejmuje idee (czyli oderwane koncepcje rozwiązania jakiegoś problemu) i interpretacje, stanowiące ujęcie danej rzeczywistości ze stanowiska własnej ideologii i wreszcie te normy zasadnicze, które z danych idei i interpretacji wypływają jako praktyczne ich zastosowanie w działalności nauczyciela i wychowawcy. Idee obejmować będą odpowiedź na pytanie: kto ma wychowywać i kogo, oraz przy pomocy jakich metod i w oparciu o jakie siły; idee te rozrastają się niejednokrotnie do naukowo uzasadnionych teoryj. Interpretacje odnoszą się do motywów postępowania wychowanka względnie wychowawcy i rozbudowują się na teorie przedmiotu. Wychowawcze normy praktyczne zawierają konkretne wskazania i zasady organizacyjne i metodyczne. Te trzy rodzaje czynników splatają się nierozzerwalnie jako strona praktyczno-poznawcza wychowania. Jako terminu nadrzędnego użyjemy tu słowa „koncepcja“, obejmując nim zarówno stronę praktyczno-metodyczną i organizacyjną jak i teoretyczną danej ideologii.

Druga grupa „zasad“ obejmuje ideały wraz z wzorami idealnymi i realnymi, jako celami zasadniczymi oraz mity, jako wyobrażenia stanu idealnego i wreszcie te normy, które wychowawca narzuca wychowankowi w zastosowaniu uznanych ideałów i wzorów. Ogólnie można tę

grupę zasad identyfikować z tradycyjnym pojęciem „ce-
lów” wychowania.

Każdą z tych dwu grup trzeba rozważać osobno.

Zacznijmy od próby krótkiego sformułowania najważ-
niejszych koncepcyj pedagogiki katolickiej w jej rozwoju
historycznym, by w końcu dojść do problemów
aktualnych. Uzyskany materiał da nam możliwość wyod-
rębnienia tego, co jest stałe, niezmiennie, a zatem chyba
i konieczne, jako dedukcyjny wniosek z przyjętych raz za-
łożeń. To właśnie będzie owa katolicka „paedagogia
perennis”.

2. Wskazania wychowawcze Ewangelii.

Cel odkupienia ludzkości przez Chrystusa może być
osiągnięty tylko poprzez akcję wychowawczą, gdyż ludzi
trzeba pouczyć o prawdzie objawionej i nakłonić do jej re-
alizowania. To też wysłał Chrystus swych apostołów w świat,
by nauczali wszystkie narody i obiecuje im, że: „oto Ja
jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata”.
(Mat. XXVIII, 19, 20; porównaj też Mar. XVI, 15).

a) Przygotowanie nauczycieli i ich obowiązki.

Pierwszym problemem, który rozwiązać musiał sam
Chrystus, było przygotowanie tych nauczycieli, którzy
mieli poprzez wszystkie wieki na całym świecie uczyć na-
uki, której przecież zrazu nawet najbliżsi, wybrani uczniowie
samego Zbawiciela, mający możliwość pytania się Go
o każdy szczegół, najzupełniej jeszcze nie rozumieli — nauki,
wymagającej przełamania w sobie zepsutej natury ludzkiej
i ciągłej z nią walki w imię wartości, hierarchicznie najwyż-
szych, ale dla bezpośredniej empirii niedostępnych i trud-
nych nawet do wyobrażenia.

• Jak rozwiązał Chrystus to zagadnienie?

Najpierw warto uwagę zwrócić na dobór aposto-
łów. Uznając tu nawet jakąś specjalną predestynację tych
wybrańców Bożych nie musimy tego uważać za przypadek,
że mieli oni ziemskie zawody, które ich już w pewnej
mierze w tym kierunku nastawiały. Nie jest to z pewnością

rzeczą przypadkową, że Chrystus zwrócił się najpierw do rybaków.

Zajęcie to było jakby symbolem. Nawiązuje do niego Chrystus, wzywając Andrzeja, Szymona-Piotra, Jakuba i Jana, by za nim poszli, obiecując im, że będą odtąd „rybitwami ludźmi” (Mat. IV, 18—22, Łuk. V, 10—11). Chcąc ich wiarę umocnić Chrystus uprzednio uczynił cud z połowem ryb (Łuk. V, 4—9). Niewątpliwie rybołówstwo wytwarzało pewne cechy psychiczne, które tu były pożądane: cierpliwość, uwagę, szczególnie skupioną na przedmiot czynności i planowość działania. Cechy tych pierwszych nauczycieli miały stać się wzorem dla ich następców.

Jak teraz zabrał się Chrystus Pan do wyszkolenia swych apostołów?

W płaszczyźnie przyrodzonej nic tu innego zrobić nie można, jak wypełnić te przede wszystkim dwie zasadnicze możliwości: pouczenia i praktyki pod okiem Mistrza.

Na taką praktykę, która była zarazem pracą propagandową, wysyłał Chrystus Pan najpierw apostołów (Łuk. IX, 1—6) a później i innych uczniów (Łuk. X, 1—3), dając im władzę nauczania i robienia cudów. Pouczenia daje Chrystus stale. Tak np. żąda On od Apostołów zupełnego oddania się sprawie i odłączenia się nawet i od rodziny, bo „kto miłuje Ojca albo Matkę więcej niż mnie, nie jest mnie godzien” (Mat. X, 37). O zesłanie „żniwiarzy Bożych” a więc pomnożenie swych szeregów, mają się modlić sami uczniowie-wychowawcy (Łuk. X, 2), bo chodzi tu o łaskę, o powołanie, a nie o zawód, który się z własnej inicjatywy wybiera; nie starczy tu więc sama, chociaż i najlepsza metodyka.

Chrześcijańskie wychowanie jest zawsze pracą apostołską, której świat przeciwstawiać się będzie — o ile się pracę tę na serio pojmuje.

Chrystus zapowiada swym uczniom wyraźnie, że wysyła ich „jako baranki między wilki” (Łuk. X, 3); lecz bierność baranka — choćby w formie czekania na łaskę — nie jest tu bynajmniej nakazaną normą; chodzi jedynie o dobrą wolę i łagodność usposobienia. Rezygnując z konieczności ze środków, niezgodnych z etyką, apostołowie i wychowawcy Chrystusowi, muszą tym bardziej korzystać z danych im możliwości naturalnych — być „mądrymi jako węże, a prostymi jako gołębie” (Mat. X, 16).

Jest to wyraźna sankcja dla wszelkiej metodyki, wykorzystującej naturalne możliwości. Z drugiej strony nakaz

prostoty jest przestrogą przed tak łatwym zagubieniem się w labiryntach dociekani spekulacyjnych.

Warunkiem podstawowym możliwości pracy apostołskiej jest niezłomna wiara, nie przewodnia w labiryntach życia i łącznik człowieka z Bogiem, dający mu dostęp do źródeł sił duchowych. Objawem wiary jest ufność w pomoc Bożą.

Ufność tę wyrabia Chrystus u swych uczniów, każąc im iść w świat bez mieszka, torby i butów (Łuk. X, 4), czy laski (Mat. X, 9—10) a oczywiście i bez broni. Była to jednak tylko próba. Później Chrystus tego zakazu posiadania własnych zasobów już nie powtórzył (Mat. XXVIII, 18—20), przeciwnie nawet kazał wziąć i torbę i sprzedać suknię a kupić miecz (Łuk. XXII, 36).

Chrystus daje poza tym i szereg zasadniczych wskazań metodycznych.

Apostołowie winni unikać niepotrzebnych stosunków z ludźmi, nie związanych z ich misją, („żadnego w drodze nie pozdrawiajcie” — Łuk. X, 4), powinni zaczynać od siebie bliższych, od swojego narodu (Mat. X, 5), badać swój przedmiot oddziaływania, i oprzeć się o ludzi najgodniejszych (Mat. X, 11). Praca apostołska nie może być źródłem zysków. Darami ducha handlować nie wolno („darmoście wzięli, darmo dawajcie” — Mat. X, 8; porównaj też historię Szymona Maga — Dziej. VIII, 18—24),¹⁾ ale winna ona dawać swym pracownikom utrzymanie (wprawdzie jak najskromniejsze — Łuk. X, 7), by nie potrzebowali się rozpraszać na inne zarobkowe zajęcia i tracić na nie swą energię („godzien jest robotnik strawy swej” — Mat. X, 10).

b) Normy zasadnicze pracy wychowawczej.

Rady metodyczne, jakie Chrystus daje apostołom, przy przetłumaczeniu ich na język nowoczesny, dają już zręby systemu wychowawczego, owej „pedagogii wiecznej”, opartej na znajomości praw życia duchowego i natury ludzkiej.

¹⁾ Jak bardzo na serio pojmowano ten zakaz w pierwszych czasach poapostolskich, o tym świadczy najstarszy pomnik literatury chrześcijańskiej, *Nauka dwunastu Apostołów*, (Pisma Ojców Apostolskich tłum. i obj. ks. A. Lisieckiego. Bibl. Ojców Kość. Tom I, Poznań 1924, str. 35 nast.), gdzie jest powiedziane, że wędrowny apostoł ma jeden a najwyżej dwa dni przebywać w tym samym miejscu — a jeśli zostanie przez dzień trzeci lub zgoła żąda pieniędzy, wtedy jest widocznie prorokiem fałszywym.

Każe więc Chrystus zawsze zaczynać od siebie bliższych — od własnego narodu (Mat. X, 5) i poznawać najpierw „sвій przedmiot“, by wynaleźć najgodniejszych, o których się oprzeć można (Mat. X, 11). Pierwszym zadaniem jest pozyskanie sympatii, bądź to przez dobre słowo czy błogosławieństwo, bądź też przez cuda, od jakich Chrystus sam swą działalność rozpoczął, by dać „sprawdzian charyzmatu“, czyli potwierdzić swój autorytet nauczyciela samodzielnego (a nie komentatora) i pozyskać sobie miłość ludzi, która jedna może utorować drogę do wpływu na ich postawę. Jeśli dobra wola apostołów natrafi na złą wolę, wtedy jednak nie należy marnować swej energii na daremne wysiłki i takich ludzi sprawiedliwości Bożej pozostawić. Dotyczy to zarówno jednostek jak i grup mniejszych lub większych. (I „ktokolwiek by z was nie przyjął i słuchał mów waszych, wychodząc precz z domu albo z miasta, otrząśnijcie proch z nóg waszych“ (Mat. X, 14 — 15); porównaj też Łuk. X, 10 — 16).

Ta zasada rezygnacji z zabiegów daremnych została stosunkowo mało przez późniejszą refleksję pogłębiona. W pewnej mierze można uważać za jej echo koncepcje podziału świata na dwa obozy, sformułowaną w „Państwie Bożym św. Augustyna“. Istotną rzeczą jest tu stwierdzenie, że złej woli, która prawdy poznać nie chce i z góry ją odrzuca — żadna perswazja przełamać nie może, i wobec tego trzeba już takich pozostawić ich losowi — choć oczywiście nie wolno przedwcześnie i lekkomyślnie z nikogo rezygnować, dopóki jeszcze istnieje możliwość ratunku (przypowieść o zgubionej owcy).

Ważne jest też wskazanie, by „nie przechodzić się z domu do domu“ (Łuk. X, 7). Zdaje się, że i tu chodzi o coś więcej niż o doraźne pouczanie: o zasadę tworzenia pewnych stałych punktów oparcia i utrwalonych stosunków społecznych (a w dalszej perspektywie o rozwój organizacji), dających oparcie trwałe dla wszelkich poczynąń. Jest to jakoby uznanie pewnych więzi ustabilizowanych, pewnych ciągłości działań i trwałości ich podstaw.

Wyraźnie występuje w nauce Chrystusa zasada indywidualizacji: dobry pasterz, gdy jedna owca ze stu

mu zaginie, opuści tę resztę i pójdzie tej jednej szukać (Łuk. XV, 4, 5). Mamy więc obowiązek ratować ginących i to każdego indywidualnie. Dopiero gdy natrafimy na złą wolę, wtedy wolno „proch z nóg otrząsnąć“. To też wyniki muszą być różne; zależy od jakości przedmiotu wychowania — „gleby“ na którą „Ziarno“ siejemy (patrz przypowieść o siejbie i kłakolu — Mat. VIII, 1 — 30).

Daje tu Chrystus i pewien pogląd na typy przedmiotu akcji apostołskiej — oczywiście w formie obrazowej. Są cztery główne typy: 1) tacy, którzy słuchają ale nie rozumieją; 2) ci, którzy z razu z radością przyjmują (zrozumiałwszy już) ale są „docześni“ tj. zanadto do ziemi przywiązani i zbyt łatwo się zniechęcają przy pierwszych trudnościach i doświadczeniach; 3) ci, którzy słuchają, lecz są bardziej do ziemskich dóbr przywiązani; 4) ci, którzy rozumieją i przyjmują i przynoszą owoc, — w różnym oczywiście stopniu.

Niezmiernie silnie podkreśla Chrystus odpowiedzialność za to negatywne wychowanie, jakim jest zły przykład — czyli zgorszenie. Lepiej byłoby gorszycielowi gdyby zawieszono u szyi kamień i utopiono (Mat. XVIII, 6) — bo poszedłby on sam tylko na dno i to jedynie tylko cielesnie, a nie ściągał za sobą w zgubę i innych, cudzych dusz. To też korzystniej jest rękę, nogę, czy oko poświęcić, niż pozwolić się ku złu pociągnąć (Mat. XVIII, 8 — 9).

c) „Interpretacje“ ewangeliczne.

Ciekawy bardzo jest problemat interpretacji w Ewangelii. Chrystus, jako znający pełną prawdę, nie potrzebuje i nie chce oczywiście niczego naginać; wskazuje On jednak na niedostępne dla poznania ludzkiego najgłębsze przyczyny nieszczęść ludzkich, leżące w grzechu i wpływie szatana i stwarza przez to schemat interpretacyjny, który później miał stać się jedną z podstaw myślenia chrześcijańskiego, pobudzającą do wysiłku nad usunięciem przyczyny i tych nie największych, ale bezpośrednio dostrzegalnych skutków grzechów, jakimi są choroby i nieszczęścia doczesne. Niedoskonałość ludzka, skłonna do szukania ułatwień myślowych, miała jednak później tej interpretacji poważnie nadużyć, co musiało wywołać, jak zawsze, zbyt daleko idącą reakcję.

d) Rola rodziny.

Fundamentalnym wydarzeniem dla dziejów wychowania było niewątpliwie ustanowienie przez Chrystusa sakramentalnej, nierozdzielnej rodziny, jako pracomórki wychowawczej, obciążonej odpowiedzialnością za wychowanie dziecka, które odtąd zostaje uznane za dar Boży. Dziecko — to dusza nieśmiertelna, powierzona odpowiedzialności tych, którzy dali jej ciało. Zostali oni obecnie oboje w prawach i obowiązkach zrównani. Ustaje już teraz dawna *patria potestas*, która ojcu przyznawała prawo do nieuznania dziecka i wydania go z domu, czy nawet zabicia. Obecnie nawet płód w łonie matki podlega ochronie i jego usunięcie zostaje uznane za zabójstwo. Takie postawienie sprawy jest konsekwencją uznania kierownictwa Bożego i nieśmiertelności duszy. Rodzina otrzymuje teraz nową, wyższą godność, ale również i wyższe, bardziej odpowiedzialne zadania; odtąd ma ona dziecko wychowywać już nie dla siebie tylko i dla samego państwa ziemskiego, ale dla nieba i Królestwa Bożego na ziemi. To też w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wytworzyć się może taki podział pracy, że Kościół zajmuje się prawie wyłącznie wychowaniem dorosłych, a rodzina ma powierzoną sobie odpowiedzialność za dziecko.¹⁾

3. Pedagogika listów apostoelskich.

Pierwszą pedagogikę chrześcijańską, zrodzoną z refleksji względnie reakcji na spotkane problemy i trudności, zawierają listy apostoelskie, przede wszystkim św. Pawła. Nie ma tu — podobnie jak w Ewangeliach — jeszcze uporządkowanego systemu, ale są już pewne jego zręby, bezcenne błyski natchnionej myśli, formułujące pierwsze zasady zastosowania nauki Chrystusa.

a) Znaczenie łaski.

Paweł zetknął się we własnym rozwoju duchowym ze straszliwym naporem cielesności zrazu jakoby silniej-

¹⁾ Wyjątkowo spotykamy już w najpierwszych wiekach chrześcijaństwa i katechezę dzieci (Dr Fr. Majchrowicz, *Historia pedagogii*, III wyd. Tom I, Lwów 1920, str. 58).

szej od ducha („nie co dobrego chcę, to czynię, ale złe, którego nienawidzę, to czynię“, Rzym. VII, 13), z którego jedynie łaska wybawić może — pomoc Boga dla ludzi słabej ale dobrej woli, możliwa (w tych wymiarach) od chwili ofiary krzyżowej, która jej otworzyła drogę.

Łaska jest fundamentalnym pojęciem całej pedagogiki chrześcijańskiej; jest to najistotniejsza nowość, jaką Objawienie Nowego Testamentu wniosło do myśli pedagogicznej, stojącej już podówczas na wysokim stosunkowo poziomie. Łaskę zyskuje się przez modlitwę i Sakramenta. Dzięki temu akty religijne stają się decydującym ogniwem systemu wychowawczego katolicyzmu: zarówno dla nauczyciela jak i dla ucznia są to źródła sił nadprzyrodzonych, których wykorzystanie różni pedagogikę religijną i laicką.

Zrozumienie nauki duchowej, jaką przyniosła Ewangelia, jest możliwe tylko w stanie łaski. Choć nauka ta jest prosta — to jednak — jak już Chrystus tylokrotnie podkreślał — jej sens jest niedostępny dla tych, którzy nie mają łaski (uczynkowej).¹⁾

b) Zagadnienie sposobu nakłaniania.

Problematy zasadnicze, z którymi się św. Paweł w czasie swej działalności apostołsko-organizacyjnej spotykał, dzielą się już wyraźnie na zagadnienia czysto wychowawcze (w znaczeniu ciśniejszym) i dydaktyczne. Chodzi tu zasadniczo — podobnie jak w samej Ewangelii — o oddziaływanie na dorosłych. Z zagadnieniami wychowania dzieci myśl chrześcijańska zetknie się w całej pełni dopiero później.

Pierwszy problemat zasadniczy to kwestia nakłaniania do przewyciężania swej spaczony natury ludzkiej, do tej straszliwej walki z własnym ciałem, której trudności sam

¹⁾ Teologia — jak wiadomo — rozróżnia dwa główne rodzaje łaski (czyli darów duchowych, nadprzyrodzonych, jakich nam Bóg dla zasług Jezusa Chrystusa ku naszemu zbawieniu udziela): łaskę uczynkową, udzielaną każdorazowo, potrzebną dla przełamania spaczony natury i wykonywania nadprzyrodzonych uczynków, oraz łaskę uświęcającą, która daje samej duszy pewne stałe, nadprzyrodzone właściwości, wyższe niż je dusza z natury samej posiadać lub własnymi siłami nabyć może (Sieniatycki: *Dogmatyka szczegółowa*, str. 99).

Paweł tak świetnie z własnych przeżyć poznał. Rozwiązanie idzie tu po linii, wskazanej już przez Ewangelię. Najpierw dać trzeba poznanie prawdy, ową „naukę ducha” (I Kor. XXI, 13), dostępne tylko przy udziale łaski. Do jej realizacji pobudzać trzeba własnym przykładem. — (Tyt. II, 7 — 8; por. też I Kor. IV, 16; IX, 27). Jest to niewątpliwie warunek podstawowy skuteczności działania wychowawczego; jego brak tłumaczy nam tak częstą bezskuteczność pracy wychowawczej.

Jeśli nie starczy pobudzające działanie nauki i przykładu, trzeba przejść do stosowania nacisku, który winien być stopniowany. Najłagodniejszą jego formą jest napomnienie (I Kor. IV, 14, Tyt. III, 1 — 2, II Piotr, I, 13), które winno być dostosowane do charakteru przedmiotu akcji, szczególnie wieku i płci, pełne uszanowania, zwłaszcza dla starszych, i serdecznej miłości braterskiej. Dopiero w ostatecznym wypadku, gdy łagodne i ostrzejsze napomnienia i napiętnowania zawiodą, apeluje Paweł do kary wyższej, do wykluczenia z Kościoła — lecz i wtedy nie każe rezygnować z próby nawracania i nie pozwala traktować napiętnowanego jako nieprzyjaciela, lecz jako brata (II Tes. III, 14 — 15). Nawet wyklęcie jako kara ostateczna, nazywana przez św. Pawła „oddaniem szatanowi” (I Tym. I, 20), ma na celu poprawę grzesznika, a nie jego potępienie.

c) Rola i granica autorytetu.

Warunkiem możliwości tego rodzaju akcji wychowawczej jest wysoki autorytet wychowawcy, którym jest tu — na razie — zasadniczo kapłan względnie diakon.

To też podkreśla św. Paweł prawo dobrych kapłanów do „dwojakiej czci”, a szczególnie tych, którzy pracują „w słowie i nauce” (I Tym. V, 17). Należy chronić ich przed złośliwością ludzką, nie przyjmując skargi przeciw kapłanowi, chyba że za dwoma lub trzema świadkami (ib. 18).

Jeśli jednak kapłan zgryzeszył — co oczywiście powoduje wielkie zgorszenie — wtedy należy go strofować i to publicznie (oczywiście, o ile grzech był wszystkim wiadomy); chodzi tu przede wszystkim o odstraszenie innych (ib. 20).

Apel do bojaźni przed karą doczesną i wieczną, to *ultima ratio* wychowawcy chrześcijańskiego; bojaźń ta,

wyrastająca z drżenia o zbawienie (Filip. II, 12), to jakoby nawrót do prawa Starego Testamentu — tam, gdzie ludzie jeszcze nie dorośli do Nowego, do zasady miłości Boga, który jednak nawet jako Ojciec musi też karać swoje dzieci. W ziemskiej płaszczyźnie refleksem tego stosunku jest ewangeliczna koncepcja pasterza, która tak wielką rolę odegrać miała w terminologii ustroju kościelnego. Jej wzór nie jest jednak wzorem władzy, lecz raczej serdecznej opieki, pojętej jako służba Boża i połączonej z daniem dobrego przykładu.¹⁾

d) Próba krzyża i jej przykład.

Oprócz tej pracy wychowawczej chrześcijanin musi się poddać i innej mocy przekształcającej: próbie krzyża, przed którą nikt z tych, którzy chcą żyć według zasad Chrystusa, uchylić się nie może (II Tym. III, 12), gdyż ludzie, folgujący swym namiętnościom, nie znoszą tego, by ich zawstydzano, chociażby milczącym przykładem. W tej wielkiej próbie dziejowej, która wypadła tak wspaniale i stała się podstawowym warunkiem zwycięstwa tej nauki, wymagającej tak niezmiernie wiele, decydującą podporą był przykład męczeństwa nie tylko samego Chrystusa, ale również i wszystkich Jego apostołów (oprócz Jana) i późniejszych ich najbliższych następców. Okoliczność, że jest to „uczestnictwo Chrystusowych ucisków” — zapowiadała udział w Jego chwale (I Piotr. IV, 12 — 14), której niezmiernie żywe wyobrażenie stwarzało tu pobudzające obrazy przyszłego szczęścia (mity transcendentne).

e) Zadania nauczyciela i zasady dydaktyczne.

W dziedzinie dydaktyki spotykamy u św. Pawła szereg prostych, ale ważnych wskazań zasadniczych. Powołuje on już specjalnych nauczycieli nowej nauki (II Tym. II, 2) i wyznacza trzy funkcje nauczycielskie: czytanie, napominanie i naukę (ustną) (I Tym. IV, 13).

¹⁾ Pojęcie to akcentuje szczególnie św. Piotr, jako organizacyjny zwierzchnik Kościoła (I Piotr V, 2—3).

Tymoteuszowi nakazuje Paweł: „przepowiadaj słowo, nalegaj w czas nie w czas, karz, proś, łaj z wszelaką cierpliwością i nauką” (II Tym. IV, 2). Obok cierpliwości akcentuje Paweł i naukę, a więc odpowiednie przygotowanie, szczególnie znajomość Pisma św., której się z czasem coraz więcej wymagać będzie. Wprawdzie chodzi tu o „opowiadanie” nie przez uczone słowa ludzkiej mądrości ale przez naukę Ducha Św. (I Kor. II, 13), która dostosowuje się do nastawienia i poziomu jednostki i jej zasobów łaski, to jednak nie może każdy bezpośrednio z natchnienia czerpać, lecz prawo do tego mieli tylko apostołowie; to też musi on znać to, co zostało już objawione i umieć interpretować.

Paweł daje przykład nawiązywania do pojęć swych słuchaczy (przemówienie do Ateńczyków w Areopagu — Dziej. XVII, 22—34) podkreśla postulat popularności wykładu (I Kor. II, 2), której tak wspaniałym przykładem są obrazowe przypowieści ewangeliczne, mówi już wyraźnie o nauczaniu w gronie dobranym i w skrytości, uzasadnionej prześladowaniami,¹⁾ a w stosunku do „cielesnych”, „maluczkich w Chrystusie” (jakimi byli np. Koryntianie), daje on „mleko na napój, nie pokarm” — a więc jakby nauki wstępne, przygotowawcze (I Kor. III, 3). Do ziemskiej, laickiej filozofii odnosi się św. Paweł negatywnie, widząc w niej niebezpieczeństwo oszukania i próżnego „omamienia” według „ustawy ludzkiej i żywiołów świata” (Kolos. II, 8).²⁾

f) Wychowanie kobiet.

O kobietach ma św. Paweł na ogół mniemanie dosyć ujemne.

Opiera się ono na obserwacji osiągniętego przez kobietę ówczesną poziomu oraz na argumentach w systemie ówczesnego sposobu rozumowania teologicznego nie pozbawionych pewnego znaczenia mianowicie, że Adam został pierwszy stworzony a Ewa pierwsza dała się uwieść. Misją kobiety, dającą jej zbawienie

¹⁾ *A opowiadamy mądrość między doskonałymi, mądrość nie wieku tego, ani książąt wieku tego, którzy w niwecz się obracają. Ale opowiadamy mądrość Bożą w tajemnicy, która zakryta jest* (I Kor. II, 6, 7).

²⁾ Komentator wydania Pisma św., którym się posługujemy, o Semkowskim, odnosi ten ustęp do początków gnozy. (*Nowy Testament w przekł. Wujka*, wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1936, str. 580 przyp. 8).

jest rodzić dzieci „trwając w wierze, miłości i uświęceniu ze skromnością“ (I Tym. II, 13—15). Ma jednak kobieta i wyższe powołanie dziewictwa.

Uznanie stanu dziewiczego za wyższy nie łączy się jednak u św. Pawła z przyznaniem kobiecie niezamężnej — dla ludzi dzisiejszych tak oczywistej i zgodnej z jej naturą misji nauczycielskiej, lecz św. Paweł karze niewiastom „uczyć się w cichości, z wszelką uległością“, a nie dopuszcza im nauczać ani panować nad mężem, „ale zachować się w cichości“ (ib. 11, 12). Podkreśla on za to bardzo zdecydowanie prymat obowiązków domowych kobiety (I Tym. V, 4. Tyt. II, 2).

4. Koncepcje wychowawcze chrześcijaństwa starożytnego i czasów przełomu.

a) Od negacji do selekcji kultury doczesnej.

Pedagogika chrześcijańska pierwszych wieków zajmuje się zrazu jedynie problematami wychowania moralno-religijnego. W miarę napływu przedstawicieli warstw wykształconych powstaje jednak już rychło zagadnienie stosunku do kultury świeckiej i świeckiego wychowania. Zrazu stosunek ten jest raczej negatywny — szczególnie wobec filozofii, ale rychło zaczyna się znana nam już ewolucja założeń, a z nią i selekcjonowanie kultury ze stanowiska własnego systemu wartości.

Rodzi się teraz powoli zrozumienie, że studia Boże nie są możliwe bez ludzkich podstaw. W całej pełni ma ono dojrzeć dopiero wtedy, gdy dokonująca się pod naporem brudalnego barbarzyństwa Germanów zagłada kultury starożytnej pozwoliła w pełni zrozumieć wartość tego, co się utraciło. Coraz silniej uwydatniał się też samorzutnie urok kultury starożytnej, któremu — przy całym buncie przeciwko jej płytkości i zepsuciu, ulegały i największe umysły ojców Kościoła.

Dopóki szkoła pozostawała w rękach pogańskich wystarczyło przeciwdziałać jej wpływom. Lecz rychło trzeba już było wobec kultury pogańskiej zająć inne stanowisko. Przy asymilowaniu kultury klasycznej w starożytności, wzbogaconej o wartości Starego Testamentu, odegrał niewątpliwie dużą rolę i uniwersalizm chrześcijaństwa, przełamujący granice ekskluzywizmu narodowego.

Przed wszystkim przejmuję się wartości formalne kultury starożytnej, przejawiającej się w kulcie pięknej mowy. Stosunek do literatury jest zrazu chwiejny¹⁾; na razie, dopóki nie powstanie odpowiednia literatura chrześcijańska — co wobec katastrofy cywilizacji zachodniej, jaką przyniosła wędrówka ludów nie prędko mogło nastąpić — musiała i tu wystarczyć pewna selekcja i adaptacja tekstów.

Rozstrzygający dla tego wielkiego procesu wchłonięcia kultury starożytnej był niewątpliwie wynik ewolucji, jaką przeszło chrześcijaństwo po edyktie Mediolańskim, gdy to w pierwszej chwili radości zdawać się mogło, że czas próby minął i odtąd i chrześcijanie mogą się radować życiem.²⁾ Fakt, że teraz zaczął się napływ coraz gorzej selekcjonowanych elementów do Kościoła, zmusił do koncesji dla tych „maluczkich”, którym nie było można odbierać prawa do naturalnego używania dóbr ziemskich. Decydującą była tu ewolucja od rygoryzmu, wyrosłego z własnych przeżyć i manichejsko-neoplatonickich wpływów — do opartej na dojrzałej już znajomości życia postawy duszpasterskiej — jaką przeszedł św. Augustyn.³⁾

b) Powstanie szkolnictwa religijnego i jego stosunek do państwa.

W wyniku tej ewolucji Kościół musiał przystąpić do tworzenia własnego szkolnictwa. Zmusiły go do wejścia na tę drogę przede wszystkim jego własne, bezpośrednie potrzeby. Chodzi tu w pierwszej linii o uzbrojenie do walki z herezją i przygotowanie katechetów. Wymaga ono w pierwszym rzędzie wykształcenia retorycznego i gramatycznego. Dołącza się potrzeba znajomości literatury, bez której nie podobna trafić do warstw wykształconych. Zrazu chodzi — w przeciwieństwie do pojęć starożytnych —

¹⁾ Tak np. Tertulian pozwalał uczyć się literatury starożytnej, ale nie pozwalał jej nauczać (Barth. *Gesch. der Erzieh.* str. 170).

²⁾ Autor *Historii Kościelnej*, Euzebiusz z Cezarei, pisze o tych chwilach przełomu: „Dzień już teraz jasny i promienny, żadną nie omroczony chmurą, światła niebieskiego promieniami, przyświeca na całej ziemi Kościołom Chrystusowym (Tłum. ks. A. Lisieckiego B. O. K. III. Poznań 1934, str. 420).

³⁾ Patrz rozprawę ks. dra K. Mazurkiewicza: *Używanie dóbr świata w pojęciu św. Augustyna* (w pracy zbiorowej pod red. ks. dra Brossa *Św. Augustyn*, Poznań 1930, str. 134—189).

nie o wychowanie dla grupy, lecz dla własnego zba-
wienia. Po zwycięstwie chrześcijaństwa, gdy państwo stało
się jego — nieraz nawet nieco natrętnie narzucającym swe
usługi — sprzymierzeńcem, wychowanie chrześcijańskie —
wobec zmiany stosunku do grup ziemskich — musi włączyć
w swój system i wychowanie dla celów doczesnych, przede
wszystkim dla państw — co się okazuje rzeczą zupełnie
możliwą, bez żadnych zasadniczych koncesyj — dzięki temu,
że istotnie — kto Bogu służy — będzie i swoje ziemskie
obowiązki lepiej wypełniać, gdyż przez to zyskuje on zasługi
i możliwość rozwoju własnej osobowości.¹⁾

c) Początki teorii pedagogicznych.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa przyniosły już pewne
próby refleksji, oparte na Ewangeli. Klemens Aleksandryj-
ski (um. 216) napisał dzieło *Paidagogos*; św. Cyryl Jerozo-
limski ogłosił w roku 348 książkę, zawierającą 24 kate-
chezy; św. Grzegorz z Nissy (um. 394) stworzył pod-
ręcznik apologetyczno-katechetyczny *Logos katechetikos*.
Św. Bazyli (um. 379), opiekun sierot i ojciec zakonów
wschodnich, pozostawił „mowę do młodzieży o należy-
tym korzystaniu z dzieł pogańskich pisarzy” — dającą zasady se-
lekcji, a św. Jan Chryzostom (um. 407) w swym dziele
Przeciw nieprzyjaciółom zakonu daje dużo rad pedagogicz-
nych, ale o charakterze czysto praktycznym i moralnym.
Najważniejszy jest niewątpliwie dorobek św. Hieronima,
Słowianina z Dalmacji, który zajął się specjalnie wychowa-
niem dziewcząt (listy do rzymianki Lety i do przyjaciela
o wychowaniu jego córki Pakatuli). Św. Hieronim przyswoił
pedagogice chrześcijańskiej największy rzymski system pe-
dagogiczny Kwintyliana, który już zresztą uznawał prymat
wychowania moralnego;²⁾ dał on pewien zarys dydaktyki
nauczania alfabetu i szereg cennych rad, dotyczących wy-

¹⁾ Jest to punkt widzenia, stanowiący podstawę współczesnego per-
sonalizmu (ideologicznego). Patrz pracę autora: *Personalizm i jego per-
spektywy*. Odb. z Verbum 1938, III, str. 14.

²⁾ O wychowaniu mówcy 1, 2, (wyjątki podaje Fr. Bizoń: *Historia
wychowania ze źródeł czerpana*, Lwów (bez daty) — str. 37).

chowania moralnego.¹⁾ Jego doniosłe koncesje na rzecz kultury świeckiej zaważyły decydująco na średniowiecznym wychowaniu dziewcząt, ratując je przed zupełnym odcięciem od spraw doczesnych.

d) Pedagogia św. Augustyna.

Za właściwego twórcę pedagogiki chrześcijańskiej uchodzić może św. Augustyn. Genialny ten pośrednik dwóch epok zaznaczył i w dziedzinie wychowania przemożny wpływ swej potężnej indywidualności.

Św. Augustyn w związku ze swym przełomem duchowym przeżył niezmiernie głęboko wadliwość szkoły ówczesnej, jeszcze z ducha pogańskiej. Jego żarliwa dusza buntuje się przeciwko apoteozie grzechu, jaką przynosi literatura starożytna (szczególnie Homer) i przerostowi kultu formy, która stała się głównym kryterium wartości; jego krytyczny umysł nie może się też pogodzić z głoszeniem mitologicznych bajek.²⁾

Drugim, bezpośrednim bodźcem do zajęcia się pedagogiką były trudności, z jakimi porać się musiała katecheza. Na życzenie jednego z katechetów diakona Deogratias z Kartaginy, napisał on swój najważniejszy traktat pedagogiczny „o początkowym nauczaniu katechizmu”. Poza tym pozostawił on jeszcze szereg innych pism, związanych z naukami lub zawierających wzorowy wykład nauki chrześcijańskiej.³⁾

Problematem fundamentalnym katechezy jest: jak p r z e-
ł a m a ć u słuchaczy o p ó r w o l i, bierność, dystrakcję myśli, uciekającej ku bliższym i miłszym tematom, jak umożliwić słuchaczom zrozumienie i przyswojenie istotnych prawd wiary oraz jak nastawić ich wolę w kierunku pożądanym? Przy temacie tak oderwanym jak w tej niezmienniej w swej istotnej treści, choć rozradzającej się jako system⁴⁾ nauce, wymagającej przełamывania naturalnych

¹⁾ Wypisy, tamże, str. 50 nast. Przygotowuje się wydanie krytyczne tych listów w ramach wydawnictwa „Biblioteka Ojców Kościoła”.

²⁾ *Wyznania*, tłum. i obj. ks. dr. Czuj B. O. K. IX. Poznań 1929, str. 20—28.

³⁾ Św. Augustyn. *Pisma katechetyczne*. Tłum. i obj. ks. Wł. Budzik B. O. K. X. Poznań 1929. Ważną pracę *De Magistro* omawia ks. dr Kowalski: *Nauczanie i nauczyciel* podług św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu w cytowanej pracy zbiorowej *Św. Augustyn*.

⁴⁾ Patrz późniejszy nieco *Pamiętnik św. Wincentego z Lerynu* tłum. i obj. dr J. Stahr B. O. K. VIII. Poznań 1929, str. 43.

skłonności spaczonej natury ludzkiej — trudności te muszą być o wiele większe niż przy nauczaniu czysto świeckim. Rozprawa św. Augustyna daje nie tylko maksimum tego, co dać mogła refleksja ówczesna, ale wyprzedza pod wielu względami swoją epokę. Jego genialna znajomość duszy ludzkiej, rozkwitająca podówczas w okresie pełni twórczości,¹⁾ ułatwiła mu ogromnie stworzenie przemyślanego już systemu.

Opór woli i ucieczkę myśli usiłuje św. Augustyn przezwyciężyć przez serdeczne zbliżenie się do ucznia (szczególnie w okresie nużących powtórek);²⁾ stoi on na stanowisku umiarkowanego pądocentryzmu, biorąc za punkt wyjścia tak dobrze mu znaną, na introspekcji i wspomnieniach z własnych przeżyć opartą psychologię ucznia i jego zainteresowań, jego poziom i nastroje,³⁾ a nie własne, dedukcyjne ustalone cele wychowania, — co w porównaniu z pedagogiką późniejszą jest podejściem na wskrós nowoczesnym.

Celem wychowania jest: „aby uczeń słuchając, wierzył — wierząc miał nadzieję — a mając nadzieję — miłował”.⁴⁾ Punktem wyjścia dla rozwinięcia tych uczuć najwyższych jest jednak zawsze prawie bojaźń, do której stale nawiązywać będzie pedagogika chrześcijańska, interpretująca słabości ludzkie jako skutek spaczenia naszej natury, i wywodząca z niego konieczność apelowania do środków negatywnych (nacisku, przymusu i kary).

Niemniej jednak ważny jest apel do nadziei zmartwychwstania, którego wyobrażenie było wtedy bardzo żywe, oraz dążność do wzruszenia nakłaniającego się już do wiary ucznia przez uświadomienie mu dobroci i troskliwości Bożej.

Dydaktyka św. Augustyna wiąże się z jego epistemologią.

¹⁾ Rozprawa o początkowym nauczaniu katechizmu ukazała się około roku 400, gdy Augustyn był już biskupem.

²⁾ O początkowym nauczaniu katechizmu (*De catechizandis rudibus*). Pisma Katech., str. 27.

³⁾ Ib. 8, 13, 36.

⁴⁾ Ib. 12.

Odróżnia on tu trzy rodzaje poznania: zmysłowe poznanie świata zewnętrznego, zmysł wewnętrzny, umożliwiające pojmowanie i porównywanie wrażeń oraz rozum; są jednak prawdy wieczne, które tylko w Bogu i przez Boga poznajemy,¹⁾ to też rzeczywistym naszym nauczycielem jest tylko Bóg, a człowiek jest tylko jego narzędziem.

W myśl tych zasad teoriopoznawczych chce św. Augustyn prowadzić ucznia od oglądu zmysłowego do wiedzy duchowej. Każe on nauczycielowi posługiwać się takim historycznym i metodą indukcyjną — w przeciwieństwie do metody egzegetycznej (wyjaśniającej) św. Cyryla²⁾, wychodząc ze słusznego niewątpliwie założenia, że systematyczne ujęcie jest dostępne dopiero dla bardziej rozwiniętych, do abstrakcyjnego myślenia wdrożonych umysłów. Materiał historyczny każe św. Augustyn selekcjonować — nie tylko pod kątem widzenia jego ważności, ale również ze stanowiska tego co jest „godniejsze, do słuchania miłsze”.³⁾

W wyborze materiału kieruje on się zasadą, że nauki świeckie, jako takie, są jednak nieodzownym środkiem pomocniczym dla zrozumienia doktryny kościelnej.⁴⁾

Ponad swój wiek wznosi się św. Augustyn, gdy akcentuje silnie potrzebę łagodnego pobudzania ucznia do tego, by sam zaczął stawiać pytania. Mamy tu wyborne połączenie metody akroamatycznej i erotematycznej oraz nowoczesną zasadę koncentracji.⁵⁾ Silnie akcentuje też św. Augustyn potrzebę planowości wysiłku,⁶⁾ dostosowywania nastroju własnego u nauczyciela⁷⁾ do troski o wygodę ucznia.⁸⁾

1) Baumann: *Gesamtesch. d. Phil.* Str. 196.

2) Ks. Budzik w przedmowie do *Pism katechetycznych*, str. XII.

3) Ib. 7.

4) Dr Stefan Truchim: *Św. Augustyn a szkolnictwo starożytne*, Warszawa 1938, str. 22.

5) Majchrowicz l. c. 62.

6) *Początkowe nauczanie*, str. 32.

7) Ib. 36.

8) Ib. 30 nast.

5. Pedagogia średniowieczna.

a) Ratowanie kultury.

Cechą charakterystyczną wczesnego średniowiecza jest katastrofalne obniżenie poziomu zarówno kultury duchowej jak i techniczno-materialnej cywilizacji na terenie państwa zachodnio-rzymskiego — przy rozpoczynającym się już jej kostnieniu na wschodzie. To też osiągnięcia poprzedniego okresu miały na długo stać się wzorem niedoścignionym, a mistrzowie tej epoki ze św. Augustynem i św. Hieronimem na czele, stali się wyrocznią dla całego średniowiecza.

Gdy w V i VI w. przyjął się zwyczaj chrzczenia niemowląt, upadła zupełnie katecheza, a zatem i bodziec do refleksji pedagogicznej. Utało się wygodne mniemanie o charakterze interpretacji, że sama łaska chrztu wystarczy dla wykorzystania zasług Chrystusa i zbawienia swej duszy.¹⁾ Powoli zamarły resztki tradycji kulturalnej, jakie się jeszcze w niektórych rodach i ośrodkach przechowywały. Również wymagania, stawiane duchowieństwu, obniżyły się ogromnie — także i w dziedzinie moralnej. Po upadku herezji nastał okres konformizmu religijnego. Ton zaczęło teraz dawać całej kulturze pozbawione najmniejszego zrozumienia dla oświaty germańskiej rycerstwo; groziło to zupełną zaturacją kontaktu z kulturą starożytną i nawrotem do barbarzyństwa, do którego Germanie się sami chętnie przyznawali. Przed Kościołem stało teraz olbrzymie, nadludzkie wprost zadanie: trzeba było z jednej strony ratować kulturę, zrodzoną na innym pniu etnicznym i dostosowaną do innego zupełnie poziomu, a z drugiej narzucić ludom germańskiego średniowiecza²⁾ religię i etykę, diametralnie przeciwną całej ich naturze wojowniczych nomadów, kochających wojnę, wiecznie żądnych łupów wojennych, brutalnych i pogardliwie odnoszących się do pracy, która u nich należała do kobiet i niewolników. Zupełnie prawie niezrozumiałym był dla Germanów ideał pokory, który mieszały ze słabością i brakiem poczucia godności własnej.³⁾

Na pierwszy plan wysuwają się teraz środki wychowawcze i represyjne o charakterze czysto religijnym:

¹⁾ Barth. I. c. 173.

²⁾ Możemy używać tego określenia, gdyż i narody romańskie, które wchłonięty kulturalnie nieraz cienką bardzo warstwę panującą germańskich zdobywców, uległy jednak silnie wpływom ich mentalności.

³⁾ Czynią oni to jeszcze i dziś. Porównaj też charakterystykę Germanów u Baumanna I. c. 20 i nast.

surowe pokuty, interdykty i klątwy — broń potężna ze względu na sposób myślenia ludzi ówczesnych — łączące się z niezachwianą — mimo wszystko, choć bardzo powierzchowną i pogańskimi pierwiastkami przepojoną wiarą.¹⁾ Bezpośrednie wychowanie dzieli się między rodzinę, klasztor, dom obcy, parafię i powstające powoli szkolnictwo.

Chcąc uratować nieodzowną choćby dla zrozumienia Pisma św. resztkę wiedzy, napisał sędziwy Kasjodor (c. 472 — 570) podręcznik pt. *Kształcenie w naukach Boskich i świeckich*, zawierający wybór potrzebnej przede wszystkim (pośrednio i bezpośrednio) dla celów religijnych i kościelnych wiedzy świeckiej. Wyodrębnił on zespół trzech „sztuk” (gramatyka, retoryka i dialektyka) i czterech „nauk” (arytmetyka, muzyka, geometria wraz z geografą i astronomią) — owo słynne *trivium i quadrivium*. Lecz dopiero w VIII-ym wieku przyjęła się ta koncepcja, stając się fundamentalną zasadą wykształcenia średniowiecznego.

b) Wychowanie klasztorne.

Cechą fundamentalną średniowiecza jest niewątpliwie wspaniały rozkwit klasztorów.

Jest on wyrazem tego zasadniczego podziału na tych, którzy wybrali górny szlak rad ewangelicznych, i — ze stanowiska religijnego — niezdecydowanej masy. W pośrodku pozostaje stan duchowieństwa świeckiego, które, jak wiadomo — dopiero od czasów reform kluniackich zostało skazane na celibat (jako zasadę nie od razu powszechnie i w pełni realizowaną); trzeba pamiętać, że przy organizacji stanowej do stanu duchownego należeli wszyscy inteligenci, uczeni, urzędnicy i prawnicy, którzy często przyjmowali tylko niższe święcenia; z tego stanu rekrutowali się też tak skłonni do buntu — szczególnie moralnego — niedokończeni klerkowie, scholarzy i waganci.

Najistotniejszy problemat wychowania klasztorne wiązał się ze zwyczajem „poświęcania Bogu” dzieci przez rodziców, niezależnie od ich woli i powołania (*pueri oblati*)

¹⁾ Wspaniałą, jaskrawą ale socjologicznie trafną charakterystykę religijności średniowiecznej daje Zofia Kossak w *Krzyżowcach*, szczególnie w pierwszym tomie.

oraz z napływem różnych jednostek słabych i wykolejonych, szukających raczej schronienia niż sposobności do pracy na sobą.

Koncepcją zasadniczą, ideą przewodnią każdego życia zakonnego jest przede wszystkim reguła. Jej sensem jest: 1) zatrudnić zakonnika regularną pracą i modlitwą, by nie miał czasu na „próżne myśli“; 2) zmechanizować przez przyzwyczajanie pewne postawy duchowe i wytworzyć pożądane zwyczaje modlenia się, pozdrawiania, praktyk religijnych, zajęć itd.; 3) zorganizować wzajemne pobudzanie się przez przykład; 4) poddać jednostkę ściśłemu bardzo nadzorowi ze strony zwartej i zorganizowanej grupy konkretnej; 5) stworzyć atmosferę środowiska religijno-wychowawczego; 6) być podstawą wytworzenia się dożywotniej wspólnoty duchowej i materialnej, zapewniającej pomoc duchową¹⁾ w razie upadku moralnego i w dążeniu do doskonałości, oraz dającej absolutne oparcie życiowe.

Indywidualny wysiłek i inicjatywa szukania dróg do zbawienia zostają tu zastąpione wiernością dla przyjętych zobowiązań i akceptowanego wzoru idealnego. — Oderwanie od świata i rodziny (mniej lub więcej ściśle),²⁾ wyrażające się także we wspólnym jednolitym stroju (habicie), ubóstwo, okupione pozbawieniem troski o osobiste potrzeby materialne³⁾ i posłuszeństwo zakonne⁴⁾ — to cechy odróżniające regułę zakonu duchownego od zakonów świeckich (w rodzaju np. tercjarstwa).

¹⁾ Może to być pomoc zinstytucjonalizowana (Sakramenty, opieka nad upadającymi i nowicjuszami ze strony władzy lub odpowiednich funkcjonariuszy lub osobista, samorządna pomoc wzajemna.

²⁾ Mamy tu różne bardzo rozwiązania — od *stabilitas loci* dawnych benedyktynów do franciszkańskiego ideału stałej bezdomności, od ścisłej klauzury do zupełnej swobody współżycia w świecie z luźnym jedynie oparciem o macierzysty klasztor.

³⁾ I tu mamy ogromną rozpiętość różnic między zamożnymi klasztorami, obfitującymi we wszystko, a innymi, które zdają się zupełnie na łaskę Opatrzności i nie mają często zabezpieczenia jutrzejszego obiadu.

⁴⁾ Również bardzo stopniowane: najdalej idą tu wymagania, stawiane jezuitom, którzy winni nawet swe najgłębsze osobiste intencje uzgadniać z intencją zwierzchnika.

Trudności w realizacji tej niewątpliwie genialnej koncepcji,¹⁾ wynikającej z przyjętych raz założeń jako ich konsekwencja, dadzą się sprowadzić do następujących zasadniczych czynników:

1) Opór natury ludzkiej przeciwko ideologii, wymagającej ciągłego samoprzezwyciężania, które aż nazbyt łatwo wiedzie do jawnego lub ukrytego buntu.

2) Brak woli do walki z sobą u tych, którzy nie przyjęli w pełni dobrowolnie reguły lub też uczynili to pod wpływem motywów chwilowych czy ubocznych; pobudzenie tej woli może się oczywiście mniej lub więcej powieść, ale tylko wtedy, o ile natrafi na pewne istniejące już dążenia w tym kierunku.

3) Działanie przykładu ujemnego opieszałych, zbuntowanych czy upadających jednostek, wytwarzających „wzór realny“, który w pewnych ośrodkach mógł się — choćby przejściowo — na niskim bardzo poziomie utrwalić; dążność do przełamania tego „wzoru“ budzi zawsze silny opór, jak uczą dzieje św. Benedykta z Nursji, św. Jana od Krzyża i innych reformatorów.

4) Mechanizacja życia raczej zabija niż pobudza wysiłek własny i inicjatywę także i w życiu duchowym; świętość nie jest nigdy wynikiem działania jakiegoś mechanizmu czy systemu wychowawczego, lecz warunkiem jej jest osobisty wysiłek; reguła może tu jednak dopomóc przez wytwarzanie pewnych pożytecznych przyzwyczajeń, nastawianie we właściwym kierunku i ochronę przed zejściem na bezdroża; jej ścisłe, wierne przestrzeganie jest zawsze okazją do bardzo zasadniczych ćwiczeń, dających sumujące się z czasem wyniki w formie utrwalonej postawy duchowej. Jest to wprawdzie tworzenie typu, a nie indywidualności, która jednak może się w ramach takiego schematu rozwinąć, kto wie, czy nawet nie lepiej, niż w niekrępowa-

¹⁾ Której początki sięgają czasów apostołskich; na razie chodziło tam jednak o wspólność życia i własności... (Dzieje IV, 32). Właściwy rozwój życia zakonnego ze spontanicznego, nie uregulowanego anachoretyzmu zaczął się na wschodzie w II i III wieku, a na zachodzie nieco później. Benedykt z Nursji był pierwszym reformatorem ale nie twórcą zakonów na zachodzie.

nej niczym, nieuporządkowanej swobodzie. Mamy tu w pewnej mierze rozwiązanie zagadnienia: jak pogodzić konieczną dla grupy jednolitość typu — a przynajmniej pewną wspólność określonych treści — z wolnością indywidualnego rozwoju; w rzeczywistości historycznej niewątpliwie jednak rozwój ten bywał często krępowany — albo też rozsadał ramy reguły: równowaga mogła się zachwiać w jednym lub drugim kierunku.

W przełamywaniu oporu stosuje się w klasztorach średniowiecznych na ogół zarówno wobec zakonników jak i uczniów szkół klasztornych — ostre, surowe represje,¹⁾ w których skuteczność wierzy się w średniowieczu, nie różniąc dostatecznie zmiany postępowania (dla uniknięcia złych następstw) i zmiany wewnętrznej intencji. Rady św. Pawła i głęboka psychologia św. Augustyna poszły już w zapomnienie. Różga staje się na długie wieki symbolem szkoły — zakonnej jak i świeckiej. Jedynie w dziedzinie postu zna się ustępstwa dla wieku.²⁾ W wyniku obniżenia się kultury tresura zastąpiła na razie prawdziwe wychowanie. Mimo to klasztory świecą nieraz przykładem wspaniałych cnót, wydają licznych świętych, ratują swą „benedyktyńską“ pracowitością przepisywaczy, nagradzanych odpustami za ich trud, ginące resztki cywilizacji klasycznej, tworzą kulturę gospodarczą, techniczną i artystyczną i rozpalają powoli ogniska nauki, stanowiącej już wartość samoistną. Działa tu niewątpliwie potęga wzorów idealnych, pobudzających do ciągłych konfrontacji z wzorem realnym, oraz inicjatywa wielkich i mniejszych reformatorów; dużo zależy od tego, czy znajdzie się w klasztorze lub i w całym zakonie odpowiedniej miary osobistość o rzeczywistym powołaniu i przodowniczych uzdolnieniach.

Dochodzimy już do kwestii działania sił nadprzyrodzonych, którą się jednak tutaj zajmować nie będziemy.

¹⁾ Reguła 30 benedyktynów nakazuje, że chłopcy, gdy grzeszą „albo zbyt wielkimi postami mają być trapieni albo srogimi chłostami mają być powściągani, aby uzdrowieni byli“ (Tłum. S. Klonowicza, Kraków 1597, Cyt. Bizonia l. c. 53.

²⁾ Reguła 37, tamże.

Pomijając wyjątkowe ośrodki i okresy zepsucia, wzór realny mnicha średniowiecznego jest jednak na ogół o wiele wyższy od wzorów, dominujących poza murami klasztorными.

Zawsze decydującą rzeczą jest tu samowychowanie, oparte na tej czy innej formie ascezy, a także i pracy duchowej i fizycznej. Bez samowychowania nie może być świętości. Nie da się ona z zewnątrz narzucić — choć można wykrzesać na tej drodze, wznoszącej się od fresury do wychowania, szereg naturalnych wartości etycznych jak: posłuszeństwo, pracowitość, obowiązkowość, poszanowanie cudzych prac i inne.

c) Wychowanie w domu obcym.

Ciekawą średniowieczną koncepcją jest wychowanie w domu obcym, które rozwinęło się jako instytucja tradycyjna, znana zresztą już i w starożytnym Babilonie, Egipcie i Rzymie;¹⁾ była to w pewnych warunkach jedynie możliwa, a przynajmniej najprostsza forma nieszkolnego wychowania dla potrzeb stanu i zawodu. System ten przyjął się u dwóch pozornie tak od siebie odległych stanów, jak stan rycerski i rzemieślniczy.

Problemata da się tu sprowadzić do pytania: jak zapewnić ciągłość rozwoju grupy i utrzymanie jej zdobyczy technicznych, związanych z zawodem, a zarazem narzucić młodemu pokoleniu obowiązujące (choćby „realne“) wzory religijno-moralne bez korzystania ze szkoły i bez obcowania z nią pośredniego (przez literaturę) i bez instytucji zawodowych wychowawców, którzy byli zjawiskiem wyjątkowym.²⁾

Nie możemy tu — w ramach nam zakreślonych — zagłębiać się w ciekawą problematykę tej formy wychowania. Podkreślimy jedynie kilka jego zasadniczych rysów:

Wychowanie, dokonywujące się w domu obcym, zapewnia w porównaniu z domem własnym większy obiektywizm (wyeliminowanie czynników uczuciowych, związanych

¹⁾ Dr Józef Chałasiński: *Wychowanie w domu obcym jako instytucja społeczna*, Poznań 1928, str. 36.

²⁾ Ib. 95.

z pokrewieństwem) i zaspakaja pewien głód nowych wrażeń, znamionujących każdą młodzież. Prawo przyjmowania giermków względnie uczniów, miał każdy rycerz (względnie mistrz). Braknie tu zupełnie organów kontroli publicznej;¹⁾ sprawdzane były jedynie wyniki (turnieje, powodzenie na wojnie u rycerza, majstersztyk u rzemieślnika). Wychowanie techniczne zyskiwał uczeń przez naśladownictwo, czynny, pomocniczy, coraz bardziej samodzielny udział w działalności swych mistrzów (względnie starszych czeladników, czy giermków) a rzadko tylko osobnych nauczycieli specjalistów (np. w fechtunku). Czasem i przez ćwiczenie, szczególnie u rycerzy, oraz mniej lub więcej bezpośrednie nauczanie. Bodźcem do wysiłku była nadzieja na wyzwolenie, uzyskanie pełnego członkostwa grupy²⁾ oraz współzawodnictwo. Ciekawym jest zjawiskiem uzyskany stosunkowo wysoki poziom kultury umysłowej, a nawet literackiej — analfabetów (pieśni trubadurów, często niepiśmiennych, operujących jedynie pamięcią oraz *Meistersang*).

Wychowanie moralno-religijne w ramach grupy ideologicznie jednolitej, dokonywało się przede wszystkim przez zapoznanie się z tradycją i przykład bezpośrednich mistrzów i towarzyszy — jak też i postaci legendarnych, które — szczególnie u rycerstwa zachodniego — silnie pobudzały wyobraźnię. Pierwsze nauki religijno-moralne dawał dom rodzinny i parafia; spotykamy się też z udzielaniem państw nauk obyczajności na dworach przez damy. Silnym bodźcem była chęć przypodobania się swemu zwierzchnikowi. Decydującym jednak był niewątpliwie nacisk moralny grupy konkretnej, opartej na styczności osobistej.

¹⁾ Ib. 110.

²⁾ Co w stanie rycerskim bynajmniej nie było regułą, gdyż zdarzało się, że nawet książęta do późnego wieku albo i do końca życia nie uzyskiwali pasa rycerskiego. (W. Friedensburg: *Ausgang des Mittelalters* w dziele zbiorowym *Weltgeschichte* pod red. dr J. Pflugk-Harttung t. IV, Berlin 1909, str. 484). Podobnie u rzemieślników coraz częstszy był typ czeladnika, który dopiero na starość zdołał wykonać swój coraz trudniejszy „majstersztyk“, albo też wcale do tego nie doszedł.

d) Szkolnictwo różnych stopni.

Nawiązując do przechowanej głównie w Anglii i Irlandii tradycji starożytnej, rozrasta się szkolnictwo średniowieczne wolno ale organicznie — choć nie bez wypadków recydywy.

Nastąpiła ona szczególnie po zbyt szybkim skoku, wykonanym przez Karola Wielkiego i Alkuina, którzy próbowali wprowadzić coś w rodzaju przymusu powszechnego nauczania — przynajmniej głównych artykułów wiary i modlitw (w języku ojczystym).

Rozwój poszedł po linii stopniowego rozszerzania się kręgu rekrutacji uczniów; w miarę jak podnosi się ogólny poziom umysłowy, powstają — zrazu przy klasztorach — i szkoły zewnętrzne (*schola extranea*), przeznaczone i dla świeckich. Powoli tworzą się obok szkół katedralnych i szkoły parafialne. Ambicja dorabiającego się mieszczaństwa jak i potrzeba szkolenia ministrantów dały początek szkołom miejskim, zrazu o charakterze duchownym a później i świeckim (uczą one czytania i pisania w języku ojczystym oraz arytmetyki). Krucjaty, wpływ filozofii arabskiej i żydowskiej — oraz poznanie całego Arystotelesa — to wszystko poczęło powoli pobudzać bezpośrednie zainteresowania umysłowe, które łącznie z potrzebami praktycznymi zrodziły pierwsze uniwersytety.

Wychowanie szkolne wieków średnich opierało się na interpretacji wszystkich niedociągnięć ucznia — zarówno w nauce jak i w zachowaniu — jako wyniku złej woli, na którą znano jedno tylko lekarstwo: kary, przede wszystkim cielesne; traktowało się je zarazem jako umartwienie i wymierzało nieraz całej klasie na zapas. Był to więc poziom tresury, świadomie wzorowanej na pedagogice Starego Testamentu¹⁾, któremu też odpowiadał typ młodzieży o pierwotnej mentalności i mniej lub więcej nieokiełznanym temperamentem.

Drugim momentem zasadniczym, opartym na założeniu nieufności do buntującego się stale ucznia, był zorganizowany bardzo przemyślnie, oparty na kontroli wzajemnej i donosicielstwie nadzór.

¹⁾ St. Kot: *Historia wychowania*, I, str. 107. Powoływano się również i na inspiracje Boże (por. znane przysłowie, z tych czasów pochodzące „Różdżką Duch Święty dzieci bić radzi — różdżka do nieba dzieci prowadzi”).

Obok kar fizycznych odgrywały dużą rolę i kary hańbiące, jak np. „ośła ławka”, lub „drewniany osioł”, którego uczeń otrzymywał za używanie ojczystego języka i którego musiał nosić tak długo, aż nie złapał innego na tym samym przestępstwie¹⁾.

Szkoła ówczesna nie znała wakacyj, a nauka trwała przez cały dzień. Jedynie święta były ratunkiem młodzieży. Dawano za to w pewnych okresach uczniom możliwość wyładowania nagromadzonej energii — szczególnie przy wycieczce wiosennej, której celem było zebranie zapasu różg — i w słynnym święcie młodzianków, nawiązujących do rzymskich Saturnali, przy którym młodzież obejmowała rządy nad szkołą i dopuszczała się nieraz wielkich wybryków. Pewną rekreację dawało też odtwarzanie fantastycznych baśni na tle historycznym.

Dydaktyka była niesłychanie prymitywna, oparta na mechanicznym wkuwaniu niezrozumiałych tekstów i ślepej wierze w autorytet nauczyciela. Pewne ułatwienia dawała mnemotechnika, oparta na wierszowaniu, nieraz bardzo bezsensownym.

Wprawdzie młodzież mimo wszystko wspominała na ogół i tak pojętą szkołę, jako piękny okres życia; powszechnie znane instytucje i zwyczaje nie budzą bowiem sprzeciwu, nawet gdy są barbarzyńskie i sprzeczne z naturą; bunt powstaje dopiero tam, gdzie uchylbia się obowiązującym wzorom realnym. Mierząc jednak miarą wyników moralnych i intelektualnych,²⁾ trudno się oprzeć wrażeniu, że ze średniowiecznych instytucji wychowawczych szkoła stosunkowo najgorzej wypełniała swe zadania. Nie dotyczy to jednak w tej mierze uniwersytetów, którymi się tu już zajmować nie będziemy.

e) Pedagogika św. Tomasza z Akwinu.

Pierwszą ważniejszą teorią wychowania właściwego średniowiecza jest krótki traktat *Questio XI*, rozprawy św. To-

¹⁾ Ten sam system stosowano w okresie powojennym w Prusach Wschodnich, gdzie dawano dzieciom polskim na tych samych warunkach tzw. „Pollocka”, którego musiały nosić tak długo, dopóki nie schwycały innego polskiego dziecka na polskiej rozmowie.

²⁾ Chodzi tu oczywiście o trudną bardzo, ogólną ocenę, operującą miarą możliwych dla danego okresu osiągnięć.

masza z Akwinu *De veritate*, zwany też *De magistro*.¹⁾ Poza tym genialny ten systematyzator myśli chrześcijańskiej rozrzucił w całej swej sumie różne myśli pedagogiczne. Cel tych rozważań jest jednak raczej teoretyczny. Wywarły one jednak duży wpływ na późniejsze sposoby myślenia.

Teorie pedagogiczne św. Tomasza są zrozumiałe tylko na tle jego systemu filozoficznego. Są to koncepcje o charakterze dedukcyjnym. Mało tu jest mowy o samym wychowaniu.²⁾ Mimo to mamy i w tej dziedzinie wprowadzić abstrakcyjne, ale za to bardzo jasne i syntetyczne pojęcia ogólne, charakterystyczne dla szczytów rozwojowych scholastyki.

Ważne bardzo jest tu rozdzielenie nauczania i wychowania, które na tym połączeniu zawsze najgorzej wychodzi. Dydaktyka jest zastosowaną psychologią, a wychowanie jest stosowaniem zasad etycznych od których się oddzielić nie da — i dlatego pedagogika nie występuje tu jako odrębna nauka.³⁾

Najważniejszą może jest tu interpretacja roli nauczyciela. Gdy święty Augustyn uważał, że właściwym nauczycielem człowieka jest tylko Bóg, św. Tomasz przyznaje ludzkiemu nauczycielowi więcej samodzielności — jako temu, który przeprowadza wiedzę ucznia ze stanu potencji do aktu. Wymaga to doskonałego opanowania przedmiotu nauczania ze strony nauczycieli, pracujących w porządku naturalnym, od których odróżnić trzeba nauczycieli, działających w płaszczyźnie nadprzyrodzonej, z natchnienia Bożego; tu może nieraz prostaczk i nieuk pouczać nawet mędrców, a poddany zwierchników.⁴⁾

W stosunku do św. Augustyna mamy tu za to — ze stanowiska pojęć nowoczesnych — pewne cofnięcie się w innej dziedzinie — o tyle, że tam występowało znacznie silniej zaakcentowanie poznania empirycznego, gdy

¹⁾ Ed. Marietty: Vol. III, str. 269—276, Taurini-Roma 1927 (Cyt. za Kowalskim l. c. 78).

²⁾ O. Jacek Woroniecki: *Paedagogia perennis* (Św. Tomasz z Akwinu a pedagogika nowożytna) Lwów 1924. Odb. z *Przeglądu Teolog.*, str. 6.

³⁾ lb. 8 nast.

⁴⁾ Kowalski l. c. 90.

św. Tomasz bardziej podkreśla *ideas innatas* i wydobywanie z ucznia istniejącej już w nim potencjalnie wiedzy — zarówno „pierwszych zasad” jak i nieopracowanych doświadczeń. Św. Tomasz jest zdecydowanym intelektualistą, akcentującym stale wyższość porządku obiektywnego nad subiektywnym,¹⁾ wolicjonalnie uwarunkowanym.

¹⁾ Woroniecki l. c. 16 nast.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Hitler w terminie.

(U źródeł dyktatury).

Austriackie Alpy posiadają ludność bardzo mieszaną i pochodzeniem różnorodną. Obok rasy nordyckiej zamieszkują je górale dynaryjscy oraz ich pobratymcy z typu alpinoidów, jak jedni tak i drudzy zahartowani do twardego życia, a zwłaszcza do twardej i wytrwałej walki. Potomkowie Ligurów, Illyrów, Celtów, Rzymian oraz Słowian tworzyli na tych ziemiach tubylczą, nie-germańską większość i stawili długotrwały opór obcym dźwiękom teutońskiej mowy, która potrzebowała aż kilku wieków na to, żeby ten opór przezwyciężyć i zakorzenieć się tu na dobre. Na dwa wieki przed narodzeniem Chrystusa Austria była krajem celtyckim; u zarania ery chrześcijańskiej otrzymała pokost kultury rzymskiej; w ciągu wieków VI oraz VII zalała ją niemal całkowicie fala Słowiańszczyzny. Pierwsze wtargnięcie Germanów w okresie powszechnych najazdów barbarzyńskich nie zdołało zmienić w znaczniejszej mierze etnicznego oblicza kraju. Dopiero w czasach panowania cesarzy z dynastii saksońskiej, powoli lecz systematycznie osadnictwo ściągnęło w naddunajskie równiny oraz doliny górskie całą legię bawarskich i frankońskich chłopów-osadników. I dopiero pod koniec średniowiecza ostatnie ślady życia łacińskiego i słowiańskiego zatarły się ostatecznie na obszarach leżących ku północy, za współczesną językową granicą, oddzielającą Niemcy od włoskich i słoweńskich sąsiadów.

Austriacy zatem różnią się od swych nadreńskich a również i północno-niemieckich pobratymców spuścizną odziedziczoną po nie-teutońskich przodkach. Nie doznali

także trwałego wpływu łacińskiej Galii ani zetknięcia z czysto germańską Północą. Ich poczucie narodowościowe nie rozwinęło się pod przemożnym naciskiem sąsiada posiadającego przewagę liczebną, cywilizacyjną i organizacyjno-polityczną. Kształtowało się ono w toku walki z przeciwnikami na poły barbarzyńskimi albo całkiem dzikimi; w toku walki z najazdami azjatyckich hord lub z cichym rabostanem słowiańskim, z tym plemieniem kmiecym, które okazywało uporczywą nieprzyjaźń teutońskiemu mieczowi. Germańskość Austriaków była przedmiotem jeszcze żywszych rozpraw aniżeli nordycka rasowość Saksonii albo Westfalii, zachodnie wpływy przeniknęły tu mniej głęboko aniżeli miało to miejsce u Franków; przy tym nie bez znaczenia były tu różne ważne zdarzenia dziejowe, które w ogniu prób doświadczały nieumocniony jeszcze nalot niemczyzny.

Idea potęgi habsburskiej wzniosła się ponad zagadnienia narodowościowe; miała zatem przeciwnarodowy charakter. Z przyczyn natury praktycznej, administracyjnej i politycznej posługiwała się ustaloną w dziedzicznych krajach „koronnych” jednością niemieckiej mowy. Dynastia myślała „obszarniczymi” kategoriami na wielką skalę, nie troszcząc się o wzięcie na siebie sprawy bodaj jednego z podwładnych sobie ludów. Był to kosmopolityzm uświęcony tradycją świętego Imperium Rzymskiego, niemniej przeżywał spójni pomiędzy Austrią a pozostałymi ziemiami Rzeszy. Poczynając od XVI wieku „germanofoniczne” połączenie ziem pod berłem Habsburgów wkraczają na własne tory losów; stają się obronną basztą chrześcijaństwa w obliczu zakusów islamu, podwaliną dla działań zwalczających reformę, wreszcie jednym z ośrodków walki, jaką przedsięwziął dom Karola V dla zapewnienia sobie światowego wszechwładztwa. Wrogowie Austrii to: Sułtan, Luter, Burboni. A wrogowie Niemiec? Wcale nie istnieją. Albowiem Niemcy składają się z państw oraz państewek, żyjących z dnia na dzień w uczuciach wzajemnej zawiści aż do chwili, kiedy na czele nowego germańskiego zjednoczenia stanie Brandenburgia. Zjednoczenie to zaś zwraca się wprawdzie przeciwko Słowianom i Francuzom, dwom odwiecznym przeciwnikom Austrii,

zwraca się jednak również i przede wszystkim przeciwko Habsburgom. Dąży ono przy tym do wchłonięcia ludności używającej niemieckiej mowy, a mieszkającej poza granicami Rzeszy oraz do gospodarczego i politycznego władztwa nad drobniejszymi narodowościami, wchodzącymi w skład nad-dunajskiej monarchii. Na ruinach dawnego Cesarstwa Rzymskiego powstanie teraz Cesarstwo nowe, a jako trzy czynniki, znaczące jaskrawym nordyckim piętnem ten nowy twór polityczny, należy wymienić: jego geograficzny ośrodek, rasę jego twórców, wreszcie ożywiającego go ducha. Duch ten odepchnie od siebie także i katolicyzm. I gdy Burboni wraz z sułtanem znikną z politycznych widnokręgów Austrii, Luter jednak zwycięży Habsburgów na ich własnych dziedzicznych posiadłościach.

Cesarz Ferdynand I, jego syn Karol Styryjski, oraz wnuk Ferdynand II, wykorzenili herezję. Protestantyzm, który uprzednio opanował Alpy, musiał schronić się w następstwie w zapadłe zakątki wysokogórskie. I tylko od czasu do czasu wieść o prześladowaniach skierowanych przeciwko wyznawcom doktryny „czystej Ewangelii” poruszała opinię publiczną w zreformowanych Niemczech. Wspomnienie pomniejszych wojen religijnych trwało w pamięci wieśniaków austriackich i styryjskich, potomkowie zaś nawróconych lutrów wyznawali wprawdzie religię rzymsko-katolicką, ale jednocześnie żywili w sercach uczucia przyjazne dla swych protestanckich przodków, którzy pod sztandarem reformy walczyli za germańską wolność i jedność niemiecką przeciwko wszechwładnemu absolutyzmowi. Byli oni pierwszymi budowniczymi Trzeciej Rzeszy, dla której istnienia nieświadomie pracowali.

Z tych to bezimiennych bojowników, a zarazem ze skromnego stanu rolników, zamieszkałych w okolicach Zwettl'u, wywodzi się dzisiejszy dyktator Niemiec, Adolf Hitler. Żadna obca domieszka nie zmąciła czystości wieśniaczej rasy, której rodowody po kądzieli i po mieczu ustalił świeżo lipski instytut genealogiczny (*Ahnentafel des Führers — Zentralstelle für Deutsche Personen und Familiengeschichte*). Autor wymienionej pracy zbadał sumiennie parafialne księgi, z których okazało się istnienie w przeszłości długiego szeregu Hitlerów, czy też Hüttlerów (zwykła w dawnych wie-

kach fantazja urozmaicająca pisownię). Hitlerowie, czy Hüttlerowie, żyli ubogo w okolicach Innu, a nazwisko ich dostarczyło uczonym niemieckim nowego tematu do badań, w których chodzi o ustalenie pierwotnego źródłosłowu głośnego już dzisiaj imienia (*hüten* = strzec, a więc: pasterz; albo *Hütte* = chata, a więc: właściciel chałupy). W każdym razie jest pewne, że Hitlerowie żenili się wyłącznie z podobnymi sobie chłopkami, a nawet z krewniaczkami, tak dalece dbali o czystość swego rolniczego rodu. Dlatego też *Führer* jest jak najprawdziwszym Hitlerem po kądzieli i po mieczu. Mało wszakże brakowało do tego, ażeby nazywał się Schicklgruber. Dziadek jego bowiem, zgodnie z obyczajami otoczenia nie śpieszył się ze ślubem, choć potomkowie jego od dawna istnieli na świecie, co stało się powodem, że Hitler ojciec otrzymał nazwisko dopiero w wieku dojrzałym i w drodze legalizacji *per matrimonium subsequens*.

Ojciec ten przeszedł bardzo twardą szkołę życia. Jako dziecko cierpiał nad swoim nieprawym urodzeniem i niedostatkiem, cierpiał również od głodu ambicji, głodu domagającego się w gwałtowny sposób zaspokojenia. Jako młodzieniec zdobył pewien poziom wykształcenia, które przy pomocy bohaterskich wysiłków pozwoliło mu dobić się skromnego stanowiska w urzędzie celnym. Nie śmiejmy się. Była to piękna i chwalebna kariera życiowa; odległość zaś dzieląca nieprawego syna chłopskiego od urzędnika państwowego, paradującego w mundurze, czytającego dzienniki, rozprawiającego o polityce i o całym świecie, otrzymującego pobory szczupłe wprawdzie, ale za to niezawodne, była — być może — większą, aniżeli odległość jaka istnieje pomiędzy tymże urzędnikiem celnym, a kanclerzem państwa. Hitler ojciec wyszedł ze stanu nieświadomości, ze sfer instynktu i wstąpił na próg wiodący do świątyni inteligencji. Proletariusz wiejski przedzierzgnął się w drobnego mieszcza-nina i przestał być niczym, stając się kimś, a to dzięki tylko żelaznej woli, uporczywej gorliwości i życiowemu rozpędowi, które to cechy usposobienia odnajdziemy również i u jego syna. Matka *Führer'a*, słodkie i dobre stworzenie, znacznie młodsza od swego męża, usuwa się w cień wobec energicznego funkcjonariusza urzędu celnego. Syn

zaś pełen czci, podziwu, oraz synowskiej bojaźni dla ojca, ukocha miłością tkliwą jedynie matkę, która była mu aniołem-stróżem w dniach beztroskiego dzieciństwa.

Przyszły kanclerz Niemiec urodził się w Braunau, małej bawarskiej mieścinie, położonej na brzegach Innu, którego fale oddzielały rodzime gniazdo Hitlerów od reszty Bawarii państwową granicą austriacką. Hitler odziedziczył po swych nieznanych przodkach wyżej opisane wady oraz zalety. Był to niemiecki góral, broniący się przed przewagą Habsburgów, wrażliwy natomiast na uroki czystej germańszczyzny cesarstwa. Był to również katolik, słyszał jednak w duszy głosy pradziadów, zwolenników Reformy. I był to jeszcze chłopski syn, który oczekiwał odwetu, wymierzonego przeciwko panom oraz niedobrym władcom Habsburgom. Hitler sam opowiedział nam swe dzieciństwo nie bez kilku uderzających (jakkolwiek niezawodnie umyślnie podkreślonych) rysów podobieństwa do frankfurckich wspomnień Goethego. Pan urzędnik celny, *der alte Herr*, posiada na kartach *Mein Kampf*u rysy Imć Radcy Cesarskiego; pani Hitlerowa zaś odgrywa w skromniejszym zakresie rolę tej, którą zwano *Frau Aia*, tj. pani radczyni Goethe. Mały Adolfeek był chłopcem sprytnym, hardym, krnąbrnym, przy tym przedwcześnie dojrzewającym marzycielem; zawsze pierwszy wśród towarzyszy i kolegów, niekiedy przodował również w nauce, o ile zdradzał po temu ochotę. Odkrywszy we własnej duszy tchnienia artyzmu, obiecuje sobie wznieść się wysoko ponad szarą ludzką przeciętność. A tymczasem Hitler ojciec, przeznacza mu „najpoważniejszą w świecie” karierę urzędniczą. Niezmienny i wieczny ideał Austriaków, urzędnik, *der Herr Beamte* chodził do biura przez jedenaście miesięcy, ale za to w dwunastym, podczas urlopu, zażywał pełnej i nadomiar płatnej swobody; pobierał też każdego pierwszego kwoty bardzo skromne wprawdzie, ale za to niezawodne. Zgięty w służalczej postawie wobec przełożonych hierarchii był tyranem dla swoich podwładnych. Pośmiewisko sfer arystokratycznych, przedmiot nienawiści i pogardy dla bogatego mieszczaństwa, był za to pół-bożkiem dla prostego ludu, nadto zaś partią wielce pożądaną przez piękne dziewczyny, a więcej jeszcze przez matki pięknych dziewczyn ze świata

rzemieślników, sklepikarzy i chłopów. Przy wielkim szczęściu i dobrych plecach urzędnik mógł pójść wyżej, stać się *Hofratem*, radcą dworu, to zaś równało się już karcie wstępu w progi „dobrego towarzystwa”. Rodzina jego mogła liczyć się odtąd do klasy przodującej w społeczeństwie.

Ale Adolf Hitler nie pragnie takiego szczęścia; przesładują go wizje malarskie, nie lubi natomiast ani naukowej erudycji (łacina oraz greka) ani gimnazjalnej humanistyki. Uczęszcza zatem do szkoły realnej (o typie matematyczno-przyrodniczym), w której poznaje języki żywe i do której wstąpił, ażeby rozwinąć swoje artystyczne zdolności. I oto z tej szkolnej ławy wynosi młodzieniec dwie życiowe lekcje, nie przeznaczone dla ucznia lecz dla przyszłego polityka: pierwsza z tych lekcji „uczyni go nacjonalistą”, druga „nauczy go rozumieć sens historii”. Nieprzeniknione zaiste są wyroki Opatrzności. Wyobraźmy sobie losy Europy, gdyby Hitler ojciec nie był porzucił swej posady w urzędzie celnym w Passau, nie był przeniósł się do Lambach a syna swego nie oddał do szkół w Linzu? I jeszcze gdyby wspomniany zakład nie posiadał w gronie nauczycieli niejakiego dra Leopolda Dötscha, którego imię zasługuje stanowczo na pamięć u potomnych.

Pod wpływem szkolnych wykładów historii młody Adolf powziął nienawiść do idei austriacko-habsburskiej i uniwersalistycznej. W ten sposób przyłączył się do niezliczonego zastępu ludzi rekrutujących się bądź z uczelni średnich i wyższych, bądź z innych środowisk młodzieżowych i nienawidzących serdecznie ojczyzny legalnej („Kraje posiadające przedstawicielstwo w Radzie Cesarstwa” — takie było papierowe miano dawnej Austrii w słownictwie urzędowym) przez uczucie wierności dla odwiecznej ojczyzny „niemieckiej”. Echo tych nastrojów odnajdziemy w słowach:

...Bo któż potrafiłby dochować lojalności w stosunku do dynastii zawsze i wszędzie, w czasach przeszłych i teraźniejszych, zdradzającej na rzecz własnych korzyści sprawę narodu niemieckiego? I czyż my, Niemcy, nie wiedzieliśmy o tym od dzieciństwa, że państwo austriackie ani nie żywiło dla nas żadnych uczuć miłości ani nawet nie mogło ich żywić?...

Wstawmy tu kilka dat chronologicznych. Adolf Hitler ujrzał światło dzienne 20 kwietnia 1889 roku. Najwcześniejsze jego wspomnienia odnoszą się do okresu niepokojów w latach 1897—99, kiedy to parlamentarna większość, złożona z katolików niemieckich oraz Słowian, usiłowała po raz ostatni przeprowadzić w Austrii reformę na podstawach federalistycznych. Schönerer i Wolf na czele dwóch pangermanistycznych frakcyj natarli równocześnie na Habsburgów, na ich dwugłową monarchię, na tzw. narodowości „niższe“, na „klerykałów“, wreszcie na Żydów. Ci ostatni zresztą byli również przedmiotem ataków i samoobrony ze strony socjalistów chrześcijańskich pod wodzą Karola Luegera, wielkiego mówcy i burmistrza Wiednia. Pangermanistów, socjalistów chrześcijańskich, niemieckich liberałów, radykałów i socjaldemokratów jednoczyła wspólna nienawiść do rządowej koalicji, której duszą i głową był prezes Rady hr. Badeni. Polski arystokrata cieszył się wielkim uznaniem dla swej energii oraz politycznej zręczności, pomimo tego doznał w końcu porażki, zwyciężyła go bowiem ulica, którą pozwolił podburzyć Lueger. Od klęskowego roku 1866 Austria zażywała spokojnej i szczęśliwej pomyślności w okresie lat trzydziestu. Z tego pomyślnego okresu ciągnęli korzyści: dwór austriacki, koła szlacheckie i wysoko urodzone, Żydzi oraz narody słowiańskie w ogóle, a w szczególności galicyjska szlachta obok wielkiego mieszczaństwa czeskiego. Wszystkie te sfery padły teraz ofiarą walki, wszczętej przeciwko nim przez sudeckich i alpejskich Niemców, występujących pod wodzą intelektualistów, zgłodniałych, ambitnych i zazdrośnych. Badeni upadł ze swoją koalicją rządową; było to pierwsze i niewybaczalne ustępstwo ze strony starzejącego się Franciszka Józefa. Fakt ten zachęcił pangermanistów do zdwojenia swej działalności. Skierowali ją zatem przede wszystkim do młodzieży, opanowywali szkoły, wdzierali się w dziedzinę zagadnień religijnych, dokąd rzucili hasło: *Los von Rom!* Antysemityzmowi zaś nadali ten rasistowski ton, którego prąd ten nie posiadał uprzednio, ujawniając, przynajmniej w Austrii, ściśle miejscowy charakter. *Ohne Juda, ohne Rom bauen wir den deutschen Dom* — brzmiał w r. 1900 odzew pangermanistów. Czy nie mógłby

on stanowić również i dzisiaj przewodniego hasła narodowego socjalizmu?

Chłopcy więc i dziewczęta przypinają bławatki, ulubiony kwiat Wilhelma I, i w ten sposób okazują przyjazne uczucia Hohenzollernom oraz chęć zniewagi Lotaryngo-Habsburgów; śpiewają *Wacht am Rhein* oraz *Der Gott, der Eisen wachsen liess* w oczekiwaniu na chwilę, kiedy będą mogli zaintonować *Horst-Wessel-Lied*, pieśń, która rozplomieni zapalem następne pokolenia. Przechodzą przez sankcje dyscyplinarne Rad szkolnych, złożonych z profesorów a czuwających nad tą wiele obiecującą młodzieżą. Na uniwersytetach przypada w każdą sobotę tzw. *Bummel*, wtedy to studenci wiedeńscy tłuką co się zmieści swych kolegów, katolickich i żydowskich w Wiedniu, podczas gdy w innych miastach toczy się zorganizowana walka z wrogiem narodowym, a więc z Czechami w Pradze, a z Włochami (sic!) w Innsbrucku. Dzienniki takie jak: *Deutsche Zeitung*, *Deutsches Volksblatt* oraz nieskończona ilość prowincjonalnych pism szerzą poglądy ultranacjonalistyczne, nienawiść Słowian i semitów, co nie wpływa wszakże na pogorszenie doli jednych i drugich. Nawet po dymisji hr. Thun-Hohenstein'a, ostatniego premiera Słowianina rodem, Polacy oraz Czesi zasiadają w gabinecie, zarówno za hr. Clary jak za v. Koerbera. Żydzi zajmują również niepoślednie miejsce w życiu społecznym i państwowym, mają swych przedstawicieli w Radzie Państwa, opanowują banki, prasę, teatr, piśmiennictwo, sztukę. Nie pozbawiony prawdy był dowcip, który kazał tłumaczyć litery wyszyte na żołnierskich czapkach: F. J. I (Franz Joseph I) przez słowa *Führ Jüdische Interessen*.

Wszelkie polityczne walki oraz istniejący obok nich stan stałego zamętu w parlamencie, na uniwersyteckich wydziałach i w tych kilku „newralgicznych punktach” przez które przechodziła granica językowa; a dalej jeszcze, rosnące ustawicznie napięcie i obok niego źle ukrywany pesymizm, na którego gruncie dojrzewały proroctwa o nieuniknionym upadku Austrii, wszystko to jednak nie dawało się we znaki w codziennym życiu Wiednia, stolicy pięknej, bogatej, olśniewającej blaskiem wspaniałości, wielkiej austriackiej Mekki,

dokąd pielgrzymowano ze wszystkich stron kraju, szukając szczęścia w cieniu Wielkiego Słońca, tj. Cesarskiego Dworu.

W tłumie roznamiętnionych zapalem pielgrzymów znalazł się niejaki Adolf Hitler, 17-letni sierota bez matki i ojca. Przybył do Wiednia z myślą o wstąpieniu do Szkoły Sztuk Pięknych, ale nie przyjęto go do niej. Nie zrezygnował, lecz ruszył do celu inną drogą. Nie miał bowiem z czego żyć. Więc choć był uczniem szkoły realnej, choć pragnął zdobyć maturę, wiodącą w Austrii ku zaszczytom, a nawet uprawniającą do urzędowego tytułu „pan” (osobnik nie dyplomowany był tylko Iksińskim lub Igrekiem bez „państwa”) — jął się pracy rąk własnych, żeby zarobić na chleb powszedni. I tak: jako rzemieślnik, rysownik oraz pokojowy malarz na przemian, spędził w Wiedniu pięć lat od 1907 do 1912.

Znowu powracamy do Goethego. Autor *Fausta* umieścił w nagłówku *Wahrheit u. Dichtung* grecki aforyzm głoszący, że jedynie doświadczenia i przejścia życiowe zdolne są ukształtować pełnego człowieka. Oto wyznanie Hitlera w *Mein Kampf*ie:

...w tym, co mi się wydało naonczas okrucieństwem losu, widzę teraz mądrość Opatrzności. Albowiem grożący mi zmiażdżeniem uścisk bogini nędzy, sprawił, że wzrosła we mnie wola odporności i wola ta na koniec zwyciężyła.

Malarz pokojowy, żywiący w głębi duszy nadzieję, że zasiędzie kiedyś w gronie najbardziej wziętych artystów i ulubieńców wiedeńskiej publiczności, przez długie miesiące stawiał czoło dotkliwej nędzy. Obcował wówczas jedynie z proletariatem, istotami ogłupiałymi i oddanymi wyłącznie zwierzęcym instynktom. Wśród tych stworzeń, w których zaledwie po twarzach można było poznać człowieka, rej wiedli buntownicy oraz agitatorzy; ci ostatni sięgali wzrokiem nieco wyżej ponad poziom elementarnej pożytkowości pierwotnej. Z nimi też dyskutował niedoszły maturzysta, szukając swej własnej życiowej drogi. Był on człowiekiem energii i czynu, był również „pochłaniaczem” i to „hurtowym” pochłaniaczem książek. Czytał nieprawdopodobnie wiele bez wyboru, ale i bez przerwy. Był typowym samoukiem, jakiego nieraz można było spotkać w wiedeńskich

środkach robotniczych lub drobnourzędniczych. Otoczenie uważało takie jednostki i nienawidziło ich, jednocześnie zaś wyśmiewało nie rozumiejąc. Z drugiej znowu strony wykształcone mieszczaństwo, urzędnicy i akademicy patrzyli z pogardą i bez odrobiny choćby życzliwości na zapaleńców nauki pozbawionej metody i mistrzów. Hitler wyczuwał u ludzi i jedno i drugie: niezrozumienie obok obojętnej pogardy. Pierwszego wybaczył, drugiego nie zapomniał nigdy.

Mieszkańców ówczesnego Wiednia można podzielić na cztery klasy: najwyższa konserwatywna, katolicka i praktykująca, ale lekkomyślna i niezdolna do zgłębienia jakiego bądź zagadnienia; zażydzone wielkie mieszczaństwo, wolnomyślne, wykształcone i kulturalne, a dzierżące w swych dłoniach istotną władzę nad krajem, władzę której zewnętrzne pozory przynależą do kół dworskich; dalej drobne mieszczaństwo, chrześcijańskie, socjalistyczne, a przy tym na wskroś przesiąknięte pikanterią i, na koniec, wyzuty z wszelkich chrześcijańskich poglądów, zdemoralizowany proletariatus, całkowicie zaprzędany socjalnej demokracji. Nigdzie nie było tam silniejszych przejawów narodowego poczucia niemieckiego, lecz za to patriotyzm austriacki, wprost przeciwnie, zaznaczał się bardzo silnie w trzech pierwszych spośród wymienionych klas społecznych. W ostatniej natomiast istniał w stadium elementarnej podświadomości. Jedynie studenci wraz z profesorami wyższych oraz średnich uczelni okazywali się w Wiedniu zwolennikami owego germanizmu, który na prowincji panował niemal powszechnie z nieznacznym wyjątkiem, spowodowanym przez „przestarzałych klerykałów“. Otóż Hitler poczyną nienawidzić naddunajskiej stolicy, czarującej i kuszącej swym powabem:

...wstrętem napawało mię to zbiorowisko przeróżnych ras, wystawione na pokaz przed całym światem, ta mieszanina Czechów, Polaków, Madziarów, Rusinów, Serbów i Kroatów, wśród których płatali się wszędzie odwieczni sprawcy rozdzźwięków w łonie ludzkości, Żydzi, i zawsze, nieustająco, Żydzi. Olbrzymie miasto wydało mi się ucieleśnieniem zbrodni przeciwko krwi.

Otóż i mamy ją, tę straszną hitlerową zmoję, wiekuiściego Żyda Tułacza, „przyczynę pierwszą, jedyną i nieustar-

jąca wszystkich nieszczęść przeszłych, teraźniejszych i przyszłych". Pod szatą lekko zretuszowanego opowiadania zdradza nam *Mein Kampf* pobudki, które z syna wolnomysłnego i liberalnego „celnika” uczyniły antysemitę i rasistę, dzikiego i wyzutego z litości. Przede wszystkim przywódcy socjalizmu w Austrii, socjalizmu, który spychał tamtejsze rzesze robotcze w objęcia poniżającego zmaturalizowania życiowego, byli niemal wszyscy bez wyjątku Żydami. Trzeba było czytać w ciągu lat *Arbeiterzeitung* (kierowniczy wiedeński organ marksistowski), by powziąć pojęcie o niskiej demagogii, o nabijaniu sieczką głów, o nienawistnych napaściach na tradycyjne świętości, wreszcie o systematycznym zatrutowaniu dusz prostych i naiwnych, co wszystko razem wzięte czyniło z austriackiego proletariatu równie wojowniczy jak barani orszak przeróżnych: Adlerów, Ellenbogenów, Austerlitzów oraz innych Izraelitów, niewiernych swej własnej wierze lub świeżo przyjętemu chrześcijaństwu, wrogów wszelkiej duchowości, bojowników i szermierzy jak najbardziej płaskiego eudemonizmu. Pośród nich Wiktor Adler miał nawet szlachetną duszę, tkwił jednak w podwójnej niewoli: własnej ideologii oraz współtowarzyszy społecznej walki. Dwaj Aryjczycy i synowie ludu, socjalistyczni przywódcy: Engelbert Pernerstorfer oraz Franz Schuhmeyer, byli szczerze oddani sprawie robotniczej i wspierali marksizm własną popularnością, nie wywierali wszakże żadnego wpływu na stronnictwo w jego kierowniczym zakresie. Taktyczne zadania w partii podejmowali bądź adwokaci, bądź kierownicy syndykatów, odwołujący się ustawicznie do niskich popędów proletariatu, do zawiści, nienasyconej żądzy posiadania, uraz, mściwości, głupstwa, chępliwości, a nawet pożądlivosti zmysłowej. Czymże bowiem jest wolność? Możliwością „wyżycia się” i smakowania wszelkich życiowych rozkoszy. Jak ją urzeczywistnić? Wyzuwając bogaczy z ich dóbr, wypijając ich wina, zasiadając u ich stołu, dzieląc łóżę z ich żonami i córkami. A religia? Opium, podstęp klas posiadających mający na celu zaszachowanie tłumów. Nie głoszone wprawdzie przytoczonych poglądów w tak brutalnej formie, ale pomimo tego przebijały one wszędzie z treści afiszów wyborczych i ze słów mówców na zebraniach. Dwaj semiccy

teoretycy, Otto Bauer (późniejszy przywódca stronnictwa po Wielkiej Wojnie) oraz Karol Kautsky, gromadzili w swoim czasopiśmie *Kampf* naukowe dowody, mające ugruntować i uzasadnić ich odrażający materializm. Czyżby Hitlerowy *Mein Kampf* był pisany z myślą o tamtym?

Nieznacznie opuszczamy dziedziny rozumowe, ażeby zbliżyć się ku sferze popędów i uczuć. Młody malarz pokojowy mógł oprzeć swój wstręt do Żydów na możliwych do uznania przesłankach logicznych: „ponieważ wiedli oni aryjski proletariąt do zatracenia moralnego i umysłowego, bez nich zaś ci sami austriaccy robotnicy staliby się polem dostępnym dla germańskich ideałów, a więc trzeba znieść przyczynę zła i w ten sposób otworzyć drogę dla dobrej sprawy”. Jednakże do tego logicznego rozumowania przyłączyły się dwa potężne czynniki zupełnie odmiennej natury. Hitler żywi fizyczny wstręt do Semitów, których dzieli tylko na dwie kategorie: biedni i brudni rażą jego estetykę oraz zamiłowanie do czystości, bogaci i kosztownie strojni budzą w nim zazdrość. Tu właśnie mieści się zagadnienie, którego autor *Mein Kampf*u dotyka w sposób niezmiernie wstrętniejszy, ale które koniecznie wypada nam tu zaznaczyć. Miłosne zdobycze Izraelitów wśród pięknych dziewcząt wiedeńskich sprawiają Hitlerowi formalne cierpienie pod wpływem jego fizycznej odrazy do „brudasów”. Cała tragedia niezaspokojonego erotycznego głodu kryje się w kilku jego zdaniach poświęconych tej kwestii (*Mein Kampf*, str. 63—4).

Nie będziemy patrzeć na historię przez okulary *Tallé-
mant des Réaux* ani *Paris-Soir*. Winniśmy jednakże położyć tu nacisk na prawdopodobieństwo smutnej przygody miłosnej, która musiała ciężko zaważyć na życiu Adolfa Hitlera. Wiarogodni świadkowie opowiadali mi, że gdy bezpośrednio po *Anschlussie*, *Führer* odbył pierwszy swój triumfalny wjazd do Wiednia, udał się niezwłocznie na główny cmentarz miejski, który przy tej okazji otoczono gęstym kordonem policyjnym. Hitler z wiązką pasowych róż w dłoni przekroczył samotnie progi przybytku umarłych, a gdy stamtąd wychodził, miał oczy pełne łez. Czy był to smutny epilog jakiegoś młodzieńczego uczucia, w którego dziejach nieznanym nam synu narodu wybranego odegrał mało zaszczytną

rolę szczęśliwego współzawodnika? Tak czy inaczej, Hitler, który z równą siłą umiał kochać i nienawidzić i u którego wszystko w życiu urastało do rozmiarów bohaterstwa, nie cierpiał Semitów może dlatego, że zagrodzili mu drogę do szczęścia u boku jakiejś błękitnookiej Wiedenki, na pewno zaś dlatego, że stanęli w poprzek jego wielkiej miłości do niemieckiego narodu Austrii. Po dwuletnim okresie, w czasie którego książkowy humanitaryzm walczył w duszy przyszłego kanclerza z antysemityzmem, opartym na przeżyciach, Hitler dochodzi do przekonania, które odtąd stanie się głównym ośrodkiem jego poglądu na świat (*Weltanschauung*): „broniąc się przeciwko Żydowi, walczę za sprawę Pańską“.

Nędza, cierpienie oraz zetknięcie się z wydziedziczonymi świata napełnionego rozkoszą i zbytkiem, nauczyły *Führer'a* patrzeć na życie nie z wysokości mównicy, ale z pośrodku ciżby. Szybko porzucił też fałszywy humanitaryzm pewnych skrajnych ośrodków mieszczańskich, uznał bowiem prawo klas „niższych“ do opieki ze strony zorganizowanego społeczeństwa i to także, że nakaz tej opieki społecznej winien pochodzić od silnej i rzeczywiście autorytatywnej władzy, inaczej lud nie odczuje najmniejszej wdzięczności dla swoich opiekunów. Oto poglądy Hitlera:

...Dusza tłumu żywi niechęć do wszystkiego cokolwiek jest pół-środkiem albo słabością. Jest ona podobna do kobiet, które w uczuciach kierują się mniej przesłankami oderwanej inteligencji, a więcej nieokreśloną tęsknotą za jakąś siłą dopełniającą ich własne jestestwo i raczej ukorzą się przed siłą aniżeli opanują słabość. Podobnie i tłumy przekładają władztwo nad błagania i wolą doktrynę bezwzględną, która obok siebie żadnej innej nie znosi od wszelakich ustępstw czy kompromisów... Doktryna przeciwstawiająca się socjal-demokracji zwycięży, jeżeli na drodze prawdy zdobędzie nad tamtą przewagę, posługując się przy tym równą jak poprzednia brutalnością.

Te znamienne zdania wymagają pewnych komentarzy. Hitler kształtował swoje pojęcia w Wiedniu, gdzie tłumy odznaczają się szczególniejszą wrażliwością i są podatne do kierowania nimi, nadto miękkie, chwiejne i łatwo ulegające sile, buntownicze zaś wobec perswazji. Terror marksistowskich syndykatów zyskiwał tym większe powodzenie, im

mniej go miało wytworne miłosierdzie, zrodzone na podłożu religijnym lub doktrynalnym. Pamiętam scenę, której zapomnieć nie podobna, a która miała miejsce w tej epoce, kiedy Hitler odbywał „w życiowym terminie” podwójną praktykę robotnika i działacza politycznego. Zbliżało się właśnie Boże Narodzenie; przed przytułkiem X (*Wärmestube*) stołecznego okręgu zgromadziły się tysiączne rzesze ubogich, podczas gdy wytworne damy zajeżdżały powozami i samochodami, przywożąc starannie przygotowane podarki, które miały być rozdane jako „gwiazdka” pod olbrzymim świątecznym drzewkiem. Przybyłe panie należały wszystkie do śmietanki wiedeńskiego towarzystwa. Imponująca liczba policjantów konnych i pieszych z trudem utrzymywała porządek. Sam komisarz podszedł do jednej z pań „opiekunek” prosząc na wszystko o pośpieszne załatwienie sprawy. Tego wszakże nie umiały pojąć oburzone „dobrodziejki”. „Czyż byłoby to możliwym u Boga, żeby ci niewdzięcznicy chcieli urządzić tu burdy! Przynosimy im przecież te piękne podarki, które kosztowały nas niejedno słodkie spojrzenie w stronę najgrubszych ryb przemysłowych, przyjeżdżamy ślicznie wystrojone żeby własnymi rączkami rozdawać cacka, a ta hałastra jeszcze nie jest zadowolona?” Ale posłuchajmy głosów przeciwnego brzegu: „o, jak te... okradają biednych, chowają dla siebie największą część tego co wyżebrały u Żydów.” Zbytecznym byłoby dodawać, że wyżej wspomniane hrabiny oraz żony wielkich przemysłowców nie myślały oczywiście o przywłaszczeniu sobie bawełnianych sztuk bielizny męskiej, ani grubych fartuchów lub prostackiego obuwia, które w stosie podarków oczekiwały na swoją kolej. Jedna z kobiet, będąca przy nadziei gardłowała tak mocno aż w końcu komisarz wezwał ją do siebie. Po krótkiej lecz więcej niż dosadnej wymianie słów na temat folgowania zmysłom w różnych sferach społeczeństwa, hałas począł wzmacniać się coraz więcej, tłum przestał krzyczeć, lecz wyjąc i rycząc gotował się do natarcia na lokal i na własne opiekunki. Policja odpowiedziała oczywiście natychmiastową szarżą, zbiegowisko rozproszyło się w mgnieniu oka. Oficerowie odprowadzili do pojazdów damy tonące we łzach, wytracone z równowagi, gniewne i złe na uliczną gawiedź. A podarki? Rozdali je

dozorcy przytułku. Miałem na tych pocziwych funkcjonariuszów okropne posądzenie, że sprzedali wszystkie rzeczy handlarzom, hardy zaś lud wiedeński wołał odkupić od przekupniów te same przedmioty, których nie chciał pokornie przyjąć z rąk szlachetnych pań.

Czy Hitler był kiedykolwiek świadkiem podobnej sceny? Czy słyszał może tę rozmowę, której wiarogodność również całkowicie poręczam. W pewnym zakładzie fryzjerskim toczy się rozmowa na temat antysemityzmu, którego zwolennikiem jest obecny tam w danej chwili klient. „Nie rozumiem, czego właściwie chcecie?” odpowiada na wywody ostatniego właściciel zakładu, „Żydzi są też ludźmi i znam między nimi wspaniałe typy, taki pan doktor Wolf, albo radca Dworu, pan Schwarz”... „Pan broni tak gorąco Żydów, panie Nowotny, zaczynam przypuszczać, że sam do nich należysz”.... „Co! co! powtórz pan jeszcze raz! Ubliża mi pan w moim własnym sklepie. Wynosić mi się stąd jak najprędzej! Panowie, ten niecny osobnik wymyśla mi od Żydów! Precz stąd!”

Nie są to jednak tematy do żartów. Pobyt w Wiedniu stał się dla Hitlera źródłem dwóch podstawowych pierwiastków jego doktryny: socjalistycznego oraz antysemickiego. Co dotyczy zaś nacjonalizmu, uczeń dra Pötscha (nauczyciela historii w szkole realnej w Linzu) był do gruntu przepojęny ideologią swego mistrza, wystarczyło mu tedy tylko przeciwstawić ideę germańską wiedeńskiej rzeczywistości, w której pierwiastek słowiański przeważał nad niemieckim, Żydzi gromadzili bogactwa, a dwór, pozbawiony jakichkolwiek niemieckich uczuć rządził i panował przy pomocy parlamentu, tej Izby, gdzie rozkrzyczany i rozgestykulowany tłum drwił bezkarnie z wszelkich usiłowań przywrócenia porządku („stary nieszkodliwy wujaszek” w osobie przewodniczącego Wysokiego Zgromadzenia), tego „Domu posłów”, który w pojęciu wiedeńczyków łączył się z instytucjami rozrywkowymi w rodzaju *Kasperltheater* i dokąd publiczność szła, żeby dobrze się uśmieć... Nic dziwnego, że taka karykatura politycznego przedstawicielstwa nie mogła wzbudzać w uważnym obserwatorku, jakim był syn celnego urzędnicy z Braunau, głębszego uznania dla parlamentarnych

systemów rządzenia krajem. Wiedeńska Izba Posłów była targowiskiem próżności oraz interesów nieraz bardzo podejrzanych; od czasu do czasu przeistaczała się w diabelski kiermasz, na którym wzajemne nienawiści i gniewy wyładowywały się przy odgłosach piekielnej muzyki (trąby, piszczałki, pulpity!) Najgorsze, że nikt nie brał tych uczuć na serio, bójki i zniewagi kończyły się w bufecie braterskimi uściskami dłoni, a zadzierzgnięte tamże kunsztowne sploty interesów (słynna trafika wpływów!) łączyły przedstawicieli najróżniejszych odłamów.

Hitler mógł być zwrócić się do dynastii, by szukać ratunku w cesarskim absolutyzmie. Najpoważniejszy jej przedstawiciel, arcyksiążę Franciszek Ferdynand byłby był pierwszym z powojennych dyktatorów, gdyby żył i gdyby wojny nie było. Ale austriacki następca tronu uchodził za człowieka oddanego Słowiańszczyźnie, co stanowiło niewybaczalną plamę, przynajmniej w oczach przyszłego *Führer'a*. Miał on więc do wyboru dwie drogi w równym stopniu nacechowane antysemityzmem i autorytetem: pangermanizm Schönerera (Wolf różnił się tylko w odcieniach) oraz chrześcijański socjalizm Luegera. Pierwszy był dla Hitlera za mało społeczny, zbyt bliski inteligencji; wdawał się przy tym w walki religijne, które Hitler potępiał z zasady, uznając je wyłącznie w charakterze ściśle politycznego środka działania. Lueger miałby jego sympatię bez zastrzeżeń (*Führer* podziwiał go jeszcze dzisiaj), gdyby nie oszczędzał neofitów oraz nie popierał dynastii, co równało się zdradzie sprawy czystej germańszczyzny.

Lueger praktykował antysemityzm po wiedeńsku, *gemäßlich*; nie czuł żadnej nienawiści do Słowian, kochał nade wszystko Kościół katolicki oraz swoją austriacką ojczyznę, był dobrym Niemcem, ale nie miał w sobie nic twardego. Był człowiekiem bardzo bezinteresownym, wielkim mówcą i nadzwyczaj zręcznym działaczem. Te zalety staną się wzorem dla Hitlera, który zresztą uświadomi sobie, że musi sam wykuć swoją doktrynę od a aż do zet. Wykuje ją też istotnie później na polach bitew oraz w walkach powojennego okresu. Podstawy jej wszakże będą sięgać swymi korzeniami do „terminatorskich“ lat *Führer'a*:

...Wiedeń był dla mnie szkołą najtrudniejszą, ale zarazem najgłębszą. W mieście tym zdobyłem podstawy światopoglądu na wielką skalę oraz myśli politycznej na małą. Później uzupełniałem te podstawy, nigdy już jednak nie odszedłem od nich.

Przyszły kanclerz liczył lat 23, gdy po odbyciu gruntownego politycznego „terminu” jako mały urzędniczek-rysownik uszedł z czarodziejskiego i kuszącego miasta na wiosnę r. 1912. Udał się wtenczas do Monachium, które stało się dlań wyjściowym punktem bezprzykładnej w dziejach świata drogi wzwyż.

Dr F. Walczyński.

Niefortunne dzieje Koźmianowego Ziemiaństwa.

I.

Bez przesady powiedzieć można, że w okresie walki klasyków z romantykami nie było rozmowy (oczywiście literackiej), w której by bodaj na marginesie nie wspomniano o dwóch sprawach: o poezji Mickiewicza i o poemacie Kajetana Koźmiana pt. *Ziemiaństwo polskie*. Młodzi oczywiście wychwalali Mickiewicza pod niebiosa, a starzy widzieli w nim ni mniej ni więcej jak tylko upiora w stylu romantycznym, który jedynie pò to się zjawił, aby na spokojnym Parnasie warszawskim, wiernie trzymającym się zasad Horacego, wprowadzić zamęt i spustoszenia, nad czym, oczywiście, tylko ręce załamywać należało. Bo co jak co, ale żaden klasyk warszawski nie miał najmniejszej wątpliwości, że wiersze Mickiewicza są nie tylko bez wartości i zupełnie niepoetyckie, ale wprost szkodliwe. Otóż aby na wieki wieków tej szkodliwej poezji przeciwdziałać i romantyzmowi zadać nieuchronny, a z pewnością również ostateczny cios, z upragnieniem oczekiwano tej chwili, gdy Koźmian skończy swój poemat pt. *Ziemiaństwo polskie*. Pseudoklasycy zgodnym chórem uznawali, że jest ono arcydziełem, a romantycy opowiadali po Warszawie, że Koźmian rymuje przepisy gospodarskie wedle recepty Wergiliusza, że napisał np. tysiąc wierszy o sadzeniu grochu, a nawet w zapale poetyckim złamał kodeks Horacego, ową biblię każdego pseudoklasyka, bo swój poemat pisał dwa razy dłużej niżeli autor *De arte poëtica* zalecał (blisko trzydzieści lat). A Koźmian,

któremu skwapliwie o tych romantycznych plotkach donoszono, rzucał gromy na młodych poetów i niczym się nie zrażając pisał wytrwale, wierząc najmocniej, że poemat jest potrzebny jako ostatnia deska ratunku dla gasnącej świetności starego reżimu literackiego. Zresztą nawet gdyby w to nie wierzył, jego przyjaciele nie pozwoliliby mu inaczej myśleć; widział również, jak to podczas obiadu u Mostowskiego, gdy Osiński czytał fragmenty jego utworu „kobiety się spłakały, a mężczyźni czuli wszędzie Wergiliusza” — jak zapewnia syn jego Andrzej Edward Koźmian w liście do Fr. Morawskiego z dn. 7 grudnia 1824¹⁾ A. E. Koźmian prawdę mówiąc nie przesadzał, bo przecież poza zdecydowanymi romantykami, a tych było w Warszawie niewiele, wszyscy, jak znowu mówi F. S. Dmochowski: „spodziewaliśmy się, że całość będzie bardzo znakomitym dziełem”.²⁾ Wiele jednak lat upłynęło nim *Ziemiaństwo* ukazało się w druku. Wprawdzie pseudoklasycy do ostatniej chwili pocieszali się, że ostatecznie Koźmian powstrzyma niebezpieczny napór romantyków, ale stało się inaczej, nad poematem wodza starej szkoły na gruncie warszawskim zawisło jakieś fatum, które go poprowadziło dziwnymi drogami. Gdy pierwsza redakcja była już prawie gotowa wypadki polityczne zmieniły światopogląd Koźmiana, co skłoniło go do gruntownych przeróbek, które trwały aż do wybuchu powstania listopadowego. Gdy znowu w r. 1830 zaczęto w Puławach druk poematu, rewolucja zahamowała wydawnictwo. Po upadku powstania, aż do przesady ostrożna, wręcz bojaźliwa polityka Koźmiana, zmusiła go do dalszych przeróbek, wskutek czego, gdy wreszcie w r. 1839 *Ziemiaństwo* ujrzało światło dzienne, o pseudoklasykach już dawno zapomniano.

II.

Ścisłe określenie daty, kiedy Koźmian zaczął pisać swój poemat wymyka się wszelkim poszukiwaniom. Wiemy o tym to tylko co on sam mówi w swoich *Pamiętnikach*, a to jest jeszcze bardzo niewiele.

¹⁾ Rks 2035 Pol. Akad. Umiej.

²⁾ F. S. Dmochowski: *Wspomnienia literackie z dawnych czasów*, Bibl. War. 1866. II. 241.

Gdzieś koło r. 1802 poznał się Koźmian z Anną Mossakowską, przyszłą swoją żoną. Zainteresowania literackie, naówczas dość żywe, towarzyszyły afektom miłosnym, bo jak sam wyznaje, ze swoją przyszłą żoną czytał np. modnego wtedy *Delille'a*, nawet zaczął tłumaczyć pierwszą pieśń *L'Homme des champs*, lecz dowiedziawszy się, że tym przekładem zajął się również Feliński, porzucił go; wtedy prawdopodobnie powstał projekt poematu pt. *Ziemiaństwo polskie*, bo jak znowu stwierdza, w pierwszym roku małżeństwa (1802) zaczął pisać pieśń pierwszą.¹⁾ „Żyjąc z naturą, z rolnictwem, z rolnikami, zamierzyłem śpiewać to życie i ten kunszt, przy którym byłem tak szczęśliwy” (str. 277). Praca musiała się żwawo naprzód posuwać, bo, jak dodaje, wkrótce kilkaset wierszy pokazał swojemu bratu. Inne jednak jego wyznania psują ten porządek chronologiczny, który w przybliżeniu dałby się określić na podstawie jego *Pamiętników*. Oto w tomie drugim tych samych *Pamiętników* znowu twierdzi, że „gdy już zaczęto urządzać z Warszawy Galicję zachodnią przyłączoną do Księstwa Warszawskiego”, wtedy otrzymał od swojego brata, podówczas infułata zamojskiego, wiadomość, że Rada Stanu chce go mianować referendarzem, jednak zaraz dodaje: „nie dogadzało to wszystkim moim zamiarom”, ponieważ wtedy miał niektóre prace na ukończeniu, jak np. przekład *Bukolik* Wergiliusza, *Elegij* Tybulla, a „nawet już pierwszy wątek zasnułem *Ziemiaństwo polskie*”.²⁾ Ponieważ Galicję Zachodnią przyłączono do Księstwa Warszawskiego po pokoju w Schönbrunie 14 grudnia 1809 r., przeto datę początku *Ziemiaństwa* należałoby o kilka lat przesunąć. Tym jednak razem Koźmian niewątpliwie się mylił. Zachował się rękopis pierwszej redakcji pierwszej pieśni poematu, rzucający bardzo ciekawe światło na początkowy okres twórczości Koźmiana i na genezę *Ziemiaństwa*.³⁾ Nie jest to cała pieśń pierwsza, ale jej pierwsza połowa, złożona z 440 wierszy, z których 328 zostały przepisane przez nieznanego kopistę, z dość licznymi własnoręcznymi poprawkami Koźmiana. Poemat po-

1) K. Koźmian: *Pamiętniki*. Pozn. 1858. I. 277.

2) *Pamiętniki*. II. 70.

3) Rks 2054 Pol. Akad. Umiej.

przedza „Przedmowa“, która wskazuje, że jest to fragment, czytany przez autora na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie dn. 30 kwietnia 1812 r. Otóż we wspomnianym wstępie, który Koźmian odczytał przed recytacją pierwszej pieśni swego poematu, oświadcza, że *Ziemiaństwo*, składające się z czterech pieśni jest „bliskie ukończenia“, choć jeszcze dalekie „od tej poprawy i gładkości, tak co do rzeczy jak w rymie, które słaby talent zwykł i powinien podpirać mdłość ducha twórczego“. Nawet wyjątek, który właśnie przedstawia „nie jest wolnym od sprawiedliwych zarzutów“, ale „nim wyjdzie na widok publiczny, zostanie oczyszczony z tego wszystkiego, co bezstronna krytyka, niegodnym umieszczenia uzna“. O ile więc ta „Przedmowa“ mówi bardzo wiele, a szczególnie jasno dowodzi, że już koło r. 1812 Koźmian swój poemat kończył, o tyle zachowany autograf pierwszej pieśni tłumaczy, że pierwsza redakcja *Ziemiaństwa*, które później ogólnie skwalifikowano jako „drewniany“ poemat, różniła się zasadniczo od tekstu drukowanego, i gdyby Koźmian istotnie, jak początkowo pragnął, w tej formie ogłosił go drukiem, niewątpliwie rzuciłby inne światło na całą swoją twórczość literacką, i nawet „drewniany“ Koźmian nabrałby rumieńców natchnienia. W każdym razie trudno przypuszczać, aby *Ziemiaństwo*, tak rychło skończone, zaczął pisać dopiero w r. 1809.

Pierwsza redakcja poematu zasługuje szczególnie na uwagę ze względu na inwokację (w. 1 — 116), która nigdy się w druku nie ukazała. Z tekstu na ówczesnym posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk odczytanym, ukazał się tylko fragment z pieśni pierwszej (w. 387 i następne), oraz koniec pieśni pierwszej pt. „Spotkanie rolnika z rycerzem“, ¹⁾ który następnie za zgodą autora przedrukowano bez zmiany w *Wandzie* ²⁾, zaś w druku z r. 1839 kończy pieśń czwartą, tzn. ostatnią. Otóż to wszystko jasno wskazuje, że pierwsza redakcja *Ziemiaństwa* została nie tylko gruntownie przereobiona, ale również przebudowana pod względem kompozycji fabuły.

¹⁾ Dodatek do *Gazety Korespondenta*. Warszawa, 1812. Nr. 36.

²⁾ *Wanda*, Warszawa, 1821. II. 83 — 90.

Ale nie to jest najważniejsze. Pieśń pierwsza w pierwszej redakcji zaczyna podobnie jak potem w druku, oświadczeniem, że nie powstał w nim nigdy zamiar tak zuchwały, aby „z wieńca Wergila szukać listka chwały”. Mniejsza o pewną korekturę słów, które następują po pierwszych czterech wierszach (tej samej treści co w druku), a które jednak potem zupełnie zostały zaniechane. Koźmian oświadcza, że gdy Wergiliusz śpiewając w Rzymie śpiewał dla całego świata, „słowiańskim pieśniom losy zakres dały ścisły”. Otóż te właśnie słowa prowadzą do zagadnienia, które ogólnie oświeśla znakomita rozprawa prof. Ign. Chrzanowskiego, przedstawiająca *Czym był Wergiliusz dla Polaków po utracie niepodległości* (wyd. 3. Kraków, 1930). Koźmian wyraźnie stwierdza, a co jeszcze lepiej akcentują wiersze następne, że poezja Maronowa dla słowiańskich narodów, ściślej mówiąc dla Polski, miała większe znaczenie i większą wartość nie tylko artystyczną, ale również ideową. Wiary w głębszą rolę cierpienia („Troja na to upadła, aby Rzym zrodziła”) nie znajdziemy w pierwszej pieśni poematu Koźmiana, który był zbyt wielkim realistą, aby mógł się w tak szerokim zasięgu przejąć ideologią mesjanistyczną, niemniej jednak, może jedynie poza Woroniczem, w jego ówczesnej poezji znajdziemy najsilniejsze akcenty właśnie mesjanistyczne. Niewątpliwie na tę drogę, obok nastrojów, które wtedy gdy zaczął pisać *Ziemiaństwo* panowały, zarówno w literaturze jak też w usposobieniu społeczeństwa polskiego, skierował go Wergiliusz. Wpływ Wergiliusza na poezję porozbiorową był głęboki, dość wspomnieć *Smutki* Kołłątaja, poezje Morelowskiego, *Barda* Czartoryskiego, który motto znalazł wprawdzie nie w *Eneidzie*, ale w *Bukolikach* (*Nos patriae fines, nos dulcia liquimus arva*), albo *Grenadiera - filozofa* Godebskiego, aby zrozumieć, jak silny oddźwięk miała poezja Wergiliusza w duszy ówczesnego społeczeństwa polskiego, pozbawionego ojczyzny i szukającego słów otuchy w pieniach starożytnego pisarza.

Czy kultu dla Wergiliusza nie rozniecił w Koźmianie autor *Świątyni Sybilli* nie wiadomo, ale tego rodzaju przypuszczenie niekoniecznie byłoby fałszywe. W swoich *Pamiętnikach* poświęcił Koźmian Woroniczowi osobny

ustęp (t. II. 145—165), w którym opowiada o nim z najwyższym entuzjazmem, kładąc szczególny nacisk na patriotyzm i nastroje religijne jego poezji. „Pełen Bożego ducha — mówi — pełen poezji religijnej, ukarmiony pismem świętym i pieniami wyniosłymi jego proroków, był to prawdziwy Jeremiasz polski, w samych swoich płaczach i narzekaniach narodowy poeta i prorok, wołający na lud obłąkany: *Veh tibi Jerusalem, veh tibi Betsabee*“ (str. 146 — 147). Taki odźwięk posiadała poezja Woronicza w duszy Koźmiana jeszcze w r. 1849, gdy pisał te słowa, jakież więc głębokie echo budziła wtedy, gdy tworzył pierwszą redakcję *Ziemiaństwa*? Jak w dalszym ciągu wyznaje, z Woroniczem łączyły go bardzo bliskie stosunki, bo „wchodziłem w jego świątobliwe i najzacniejsze uczucia“ — dodaje w formie wyjaśnienia. Wspomniał też o nim pod imieniem Fenelona w *Ziemiaństwie* (str. 151). Niech będzie więc wolno przypuścić, że ten bliski stosunek z autorem *Hymnu do Boga* nie pozostał również bez wpływu na *Ziemiaństwo*, podobnie jak niewątpliwie odbiła się na poemacie ogólna atmosfera, panująca w ówczesnej Polsce, sprzyjająca różnym mesjanistycznym koncepcjom. Prognozyki i przepowiednie cieszyły się wtedy wielkim powodzeniem (w r. 1809 powstały słynne *Przepowiednie Wernyhory*), wróżby sybillijskie, wiersze o mesjanistycznej treści krążyły w licznych odpisach,¹⁾ będąc doskonałym świadectwem uniesień patriotycznych, którymi żyło społeczeństwo polskie po utworzeniu Księstwa Warszawskiego. Koźmian przebywając w atmosferze mesjanizmu Woronicza uległ również ogólnym nastrojom i swoje *Ziemiaństwo* zaczął obszernym wstępem, doskonale harmonizującym z ówczesnymi nastrojami.

Ojczyzno ukochana! gdy w szczęśliwsze lata,
Karmiłaś Twoim łonem ledwo nie pół świata,
Gdy śmiały Genuęńczyk po morskich powodziach
Na ciosanych w twych gajach świat powiększał łodziach,
Któżby wtedy przewidział jakie Ci nagrody,
Żywnone twoim chlebem gotują narody.

¹⁾ St. Piłgón: *Przepowiednie Wernyhory. Przegląd Współczesny*. Warszawa. 1937, styczeń.

Już w tym kontraście między Polską a innymi narodami, które, jak mówi w dalszym ciągu „jedni się zaprą“ (jak Piotr Chrystusa), a inni „staną ci się zdradą“, dostrzec się można dość wyraźnie nuty, która potem tak silnie brzmiała w mesjanizmie romantycznym. Słowa o zdradzie narodów prowadzą również, choć w dość odległej perspektywie, do słynnej wówczas *Wieszczby dla Polaków w roku 1763 napisanej*, która nie tylko w druku, ale również w licznych odpisach krążyła wtedy między najszerszymi warstwami społeczeństwa polskiego. Autor *Wieszczby* (przypisywanej ks. Markowi) mówi również o zdradzie sąsiadów i o klęskach, które spotkają Polskę, potem zaś o zwycięstwach, które otworzą jej złotą erę. Stara się jednak swoją profecję ująć w fakty konkretne. Tymczasem Koźmian (podobnie zresztą jak Woronicz. w *Zjawieniu się Emilki*) posługuje się ogólnikami, nie pragnie swojej przepowiedni ustroić w proroctwa dodatki, do czego ani z usposobienia ani z realnego oceniania życia nie był zdolny. Wprowadza tylko bardzo naówczas modny motyw katastroficznego. Mówi o rozdarciu Polski i o ofiarach, które kosztował „zwrot jej ułamków“, a potem dodaje:

Lecz tak chciała twych losów niezmienna ustawa,
Widzę jak wschodzi bytu twego zorza krwawa,
Widzę nie wrzód twę plemię z nicości się dźwignie,
Aż oręż na twym łonie los świata rozstrzygnie.
Przyjdą nieznane ludy, rodem i nazwiskiem,
Staniesz się celem mordów i walk bojowiskiem,
Rzeki co były niegdyś twych bogactw nadzieją,
Stękną pod tłumem zbrojnych i krwią się nabrzmięją.

W dalszym ciągu mówi o zniszczeniu Polski, ale już nie snuje wątków profecyjnych, dodaje tylko, że po dniach klęski i zniszczenia Polska podniesie się z upadku, lecz choć może będzie

...mniej płodną, mniej chojną, mniej żyzną,
Witaj droższa nad wszystkie, skoroś jest Ojczyzną,
Witaj luba siedzibo Sarmatów plemienia,
Niech cię zemsta sąsiadów w pustynię zamienia,
Niech jeszcze raz na ciebie ich dzikość srożeje,
Niech cię raz jeszcze naszą i swoją krwią zleje,

Dopóki ich nienawiść, zazdrość i potęga
Ciebie niszczy, lecz Ducha mieszkańców nie sięga,
Dopóki siedlisk naszych i swobód wydzierca,
Ostatniemu Sarmacie nie przeszyje serca,
Cóż, że cię znowu gruzem i trupem zaściele,
Zakwitniesz, bo powstaną z krwi naszej mściciele.

Motyw o powszechnej wojnie ludów, o której później będzie marzył Mickiewicz, widząc w niej jedyny moment, który podniesie ojczyznę z upadku, zjawia się u Koźmiana po raz pierwszy i po raz pierwszy w naszej literaturze. Wiąże się on z obrazem katastrofy, która poprzedzi odzyskanie niepodległości Polski. Wprawdzie katastrofa nie tyle jako warunek, ile nieodzowne akcesorium następstwa złotego wieku, zjawia się w postaci poprzedniczego fła gruntowniejszych przemian, może nawet wojny ludów, zwłaszcza w polskich profecjach, nigdy jednak nie pojawił się on w formie tak jasnej konsekwencji jak u Koźmiana. Poezja mesjanistyczna, niemal zawsze, jawi się na tle katastroficznych przeobrażeń i jest wynikiem psychologicznego przeciwieństwa, nieodzowną koniecznością tęsknoty za czymś lepszym i doskonalszym, od tego co człowiek przeżywa. Wiara, że po drugiej stronie teraźniejszości nastąpić musi epoka odprężenia, złoty wiek, wiązała się zawsze z wszelką formą mesjanizmu. Znana była u nas jeszcze w XVII w., że tylko wspomnieć M. Paszkowskiego *Wykład bogiń słowiańskich* z r. 1608; odnajdujemy ją również w *Wieszczbie* z r. 1763 i w poezji napoleońskiej.¹⁾ Szczególnie epoka napoleońska, pełna burz, gruntownych przeobrażeń politycznych, sprzyjała tym dążeniom. Spodziewano się, że po dokonanej ruinie nastąpić musi jakiś okres szczęścia. W Polsce te stosunki wzmogły się i zaostrzyły; trudna do uwierzenia klęska ojczyzny budziła wiarę nieodpartą i konieczną, aby wśród duchowego rumowiska nie zaginać; wierzone, że Polska musi powstać z upadku i znowu odzyskać niepodległość. Koźmian jednak nie umiał się zdobyć i nawet nie był do tego zdolny, na mesjanistyczne marzycielstwo, wiedział, że odzyskanie niepodległości jest możliwe jedynie

¹⁾ Zob. St. Pigoń: *U kolebki poezji mesjanistycznej. Na wyżynach romantyzmu*. Kraków, 1936.

podczas „powszechnej wojny narodów“, a że tego rodzaju wojna musi spowodować zniszczenie kraju, więc i on, jak inni profetycy polscy, przedstawia kraj w powszechnej ruinie. A więc, znowu odmiennie niżeli tradycyjne wieszczbiarstwo już nie tylko polskie ale i gdzie indziej, nie przewiduje nagłej odmiany, nagłej epoki szczęśliwości, lecz sądzi, że Polska po powszechnym zniszczeniu będzie „mniej płodną, mniej hojną, mniej żyzną“.

Najbardziej charakterystyczny jest ostatni wiersz, w którym przepowiada, że „powstaną z krwi naszej mściciele“. I znowu Koźmian nigdy nie przypuszczał, że te słowa powtórzy dopiero Mickiewicz w *Konradzie Wallenrodzie* (choć w nieco zmodyfikowanej formie: „z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości“), oczywiście również za Wergiliuszem: *exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor* (IV.625). Ten „realizm“ profecyjny Koźmiana jest zupełnie zrozumiały w świetle jego nastawienia psychicznego. Nie mógł on mówić o powołaniu Polski do wielkiej misji dziejowej, ani też o Polsce jako narodzie wybranym, choć o tym naówczas często, za przykładem Woronicza, wspomniano nie tylko w poezji mesjanistycznej, ale również w spokojnych rozważaniach, że bodaj wspomnieć nie tyle Staszica broszurkę *O statystyce Polski*, ile rozprawę J. K. Szaniawskiego pt. *Wezwanie z powodu pisma o statystyce Polski*.

III.

Po upadku Napoleona zmienił się również stosunek Koźmiana do ówczesnych zagadnień Polski. Dawny rewolucjonista i entuzjasta cesarza Francuzów, który natchnął go do najpodnioslejszych ód, stał się zwolennikiem cara Aleksandra I, a nawet jego wielbicielem i obrońcą stanu rzeczy, który się po kongresie wiedeńskim ustalił. Koźmian spotkał się z Aleksandrem we wrześniu 1814 r. w Puławach i od tej chwili jego poglądy polityczne uległy gruntownej przebudowie. Zresztą i o tym powiedzieć należy, że nie on jeden widział w Aleksandrze zbawcę Polski i jej największego dobroczyńcę. Można by przytoczyć bodaj entuzjastyczne mowy dla cara dwóch profesorów wileńskich: Gołańskiego i Poczubuta, albo mowę rektora Strojnowskiego,

wyłoszona z okazji koronacji cara w r. 1811, albo tu i ówdzie wyłoszane, choć spokojne, jak na powaóną instytucję przystało, mowy w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Warszawie, nie mówiac już o takich jej członkach jak Jan Kossakowski; nawet eksrepublikanin Dmochowski w *Nowym Pamiętniku Warszawskim* chwalił Aleksandra, a C. Godebski w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* z aprobatą mówił o młodym „monarsze, przyjacielu ludzkości i nauk”. Albo znowu Euzebiusza Słowackiego można by także postawić na pierwszym miejscu wśród tych chwalców cara, doś bodaj przytoczyć odę wielce patetyczną, którą wyłosił w r. 1812 na cześć złotych i srebrnych orłów, co mu zupełnie nie przeszkadzało, że w następnym roku nie dał się nikomu zdystansować, gdy szło o powitanie Aleksandra.

Tej ogólnej atmosferze łatwo poddał się również Koźmian, który oceniając sytuację zimno i spokojnie, jak na trzeźwego klasyka przystało, widział więcej korzyści dla Polski w przyjaźni „dobroczyńcy ludzkości”, niżeli w mesjanistycznym marzycielstwie. Równocześnie z tym zmienia się gruntownie jego stosunek do *Ziemiaństwa*, które zostało teraz w całości przerobione. Profecje pierwszej redakcji zniknęły bez śladu. Koźmian przekreślił przede wszystkim wieszczbiarską inwokację z pierwszej pieśni, bo to co się znalazło w drugiej redakcji poematu na końcu pieśni trzeciej, mimo głębokiej nuty patriotycznej, zostało zupełnie oczyszczone z wszelkich nutek mesjanistycznych.

Koźmian opowiada w tym fragmencie, że wśród lasów żył pewien starzec, który, jak się okazuje, znał cudze kraje, więc najpewniej służył w Legionach Dąbrowskiego. Starzec chętnie otaczał się młodzieżą i jeszcze chętniej śpiewał jej przy wtórze nieodzownej lutni o ojczyźnie (niczym potem Halban w *Konradzie Wallenrodzie*). Szczególnie, gdy

...zanucił ostatni dzień ojczyzny zgonu,
Łez potok po kędziorach śnieżnej spadał brody
A za nim rzewnie płakał cały orszak młody.
A on śpiewał: „Ojczyzno! gdy w szczęśliwe lata
Karmiś twojem łonem pól znanego świata”...

ltd. kilka wierszy, ze zmianami stylistycznymi, jak w pierwszej redakcji aż do miejsca, w którym mowa o powszechnej wojnie ludów, bo ten ustęp, razem z przepowiednią o zniszczeniu Polski i o powstaniu „mściciela” został starannie z tekstu wykreślony. Mimo to jednak w opowiadaniu starca odzywa się nuta głębokiego bólu patriotycznego, który wiąże się z silnym akcentem rezygnacji.

Dzieliłem te zapasy, te mordy i boje,
I czemużem nędznego życia nie postradał,
Gdy ostatni obrońca swobód naszych padał;
Biada temu, wierzącemu na te liczne blizny,
Kto jeden dzień żył dłużej od lubej ojczyzny.
Bo i cóż nam zjednały walki z przeznaczeniem,
Te dziesięć lat tułactwa za ojczyzny cieniem,
O, jak próżno się z losy zawziętymi spierać,
Potrzeba było ożyć by znowu umierać,
I doświadczyć przez srogą zmiennych losów zdradę,
Że jest cios okropniejszy nad śmierć i zagładę.
Bóstwo, jeżeli nie gardzisz prośbą od lemiesza,
Był czas gniewu, niech chwila litości pospiesza.
Już przesiąkła ta ziemia, łzami i krwią bratnią,
Jeżeli to była pomsta, niech będzie ostatnią.

Następnie prosi „bóstwo”, aby uciszyło zawiści, aby Polska wróciła do cichego zagonu, bo „kto kocha wieś rodzinną, ten kocha ojczyznę”.

Ostatnie przytoczone wiersze, w których Koźmian mówi o przelanej krwi bratniej i powtórnej śmierci po chwilowym odzyskaniu wolności, prowadziłyby do całkiem uzasadnionego przypuszczenia, że mógł on ten fragment napisać po upadku powstania listopadowego, ale dalsze dzieje *Ziemiaństwa* z równym powodzeniem temu przeczą, a nawet nasuwają większą pewność, iż Koźmian wprowadzić przerabiał swój poemat jeszcze po raz trzeci, ale jedynie w tym celu, aby patriotyczny nastrój nie drażnił rządu rosyjskiego. Następnie znając jego wiersze pełne niepokohamowanej nienawiści, skierowane przeciwko powstaniu listopadowemu i jego uczestnikom, wątpić należy by był zdolny do tak daleko posuniętego umiarkowania, i aby uczucie patriotyczne wzięło górę nad niechęcią, zbyt głęboko zakorzenioną, nie tylko w sercu, ale również w jego światopoglądzie na zimno zbu-

dowanym. Bo nigdy o tym zapominać nie należy, że rozum u Koźmiana zawsze brał górę nad uczuciem. Wreszcie, a to już zdaje się sprawę ostatecznie rozstrzyga rękopis, który jak się okazuje z porównania z drukiem dwóch pieśni drukowanych w Puławach, był właśnie czystopisem dla drukarni, a tutaj w czystopisie wspomniany fragment został przekreślony, zaś nad nim Koźmian dopisał tekst, który już bez zmiany znalazł się w druku z r. 1839 (w. 839 i następne do końca pieśni trzeciej). Ten właśnie czystopis (pisany ręką nieznanego kopisty) jest pełen własnoręcznych poprawek Koźmiana, które tworzą trzecią i już ostatnią redakcję poematu.

Druża redakcja *Ziemiaństwa* to nowy okres w twórczości Koźmiana. Był on wtedy nieoficjalnym wodzem warszawskiego Parnasu pseudoklasycznego. Ponieważ jego poemat miał być środkiem zaradczym przeciwko romantycznej zaborczości chuchano nań ze wszystkich stron. Żaden utwór w całej literaturze polskiej nie miał tylu kucharzy i doradców. Koźmian przyjmował rady z powagą, skromnie poddawał się ostrej cenzurze przyjaciół, sądząc, że wartość jego poematu co najmniej dościga wysiłki i pracę, którą poświęcono na jego poprawianie. Był zadowolony z pomocy Franciszka Morawskiego, uznawał jego dobre chęci, ale podejrzewał (w czym zresztą wcale się nie mylił) we wszystkim raczej przyjacielską pobłażliwość. Cenił sąd Jana Tarnowskiego i Ludwika Osińskiego („doskonali znawcy klasycznej poezji” — pisze w *Pamiętnikach*, Krak. 1865. III. 378), którzy chwalili wiersz, ale ganił treść, i za ich głównie radą zmienił pieśń pierwszą, a z trzeciej usunął epizod o Chmielnickim. „Tym dwom moim przyjaciołom i trzeciemu Krasińskiemu winno *Ziemiaństwo*, że wyszło w tej formie, duchu i treści, jak wydrukowane zostało”.¹⁾ Prawdę mówiąc to Koźmian powinien był sobie raczej powiedzieć: chroń mię Panie Boże przed przyjaciółmi. Wreszcie przed oddaniem rękopisu do drukarni Puławskiej wręczył go jeszcze raz Osińskiemu, który udzielił ostatecznie swego imprimatur.

Prawdopodobnie jednak *Ziemiaństwo* najwięcej zawdzięczało Morawskiemu, bo Osiński i W. Krasiński raczej cen-

¹⁾ K. Koźmian: *Pamiętniki*. Krak. 1865. III. 378—379.

zurowali treść, a Morawski wygładzał wiersz. Morawski, szczerze (zapewne również nie bez przyjacielskiej pobłażliwości) entuzjazmował się poematem Koźmiana. „Ziemiaństwo! Ziemiaństwo! Krzyczeć będę w każdym liście. Kończ, dla Boga, tak dla spokojności, sławy, jak i dla dobra Polski” — pisał do Koźmiana,¹⁾ a te słowa doskonale charakteryzują jego stosunek zarówno do Koźmiana jak i do jego poematu. W innym znowu liście do A. E. Koźmiana: „Czytałem wstęp do pieśni 3, bardzo ładny i już porządkiem wysuwa się obraz po obrazie. Pisz, proś, aby pisał i kończył”.²⁾ A gdzie indziej znowu: „Niechże twój ojciec dojedzie już do końca trzeciej pieśni. Nie naglij go, nie wołaj, ale często z zapalem rozmawiaj o tym, co ma teraz pisać, a wzniesiesz niezawodnie chęć i ogień. Użyj tylko tego środka, a pewno ujrzysz wkrótce skutek pożądaný” (tamże). I wreszcie jeszcze jeden list tym razem do K. Koźmiana: „Nie mogłeś mi większej przyjemności uczynić, jak donosząc o ostatniej pieśni, nad którą pracujesz. Będzie więc to wzorowe dzieło skończone i ja w nim przez najlepszego przyjaciela i poetę wspomniany. Przez ciebie moje imię dojdzie do nieśmiertelności, i w jakich jeszcze rymach!!! Kończ, kończ, cóż to za radość będzie dla ciebie, mnie, Drusia, gdy już ostatni wiersz położysz. Czeka cię sława i pokój” (tamże).

Jak wielkie było zainteresowanie poematem świadczy również list Jana Śniadeckiego do Koźmiana, który zapytując kiedy *Ziemiaństwem* obdarzy publiczność dodaje: „Obowiązki publiczne wiele zabierają czasu, nie zawsze są natchnieniom poetyckim przyjazne, ale że tamte są znikome, te zaś zostają się z imieniem autora, i dla nauki i dla przyjemności warte są, żeby ich dlatego nie zaniedbywać”.³⁾ Koźmian też nie zaniedbywał się, nie zrażały go nawet tego rodzaju insynuacje Morawskiego, że już chyba całkiem został romantykiem, bo nawet posługuje się wyrazami, których nie powstydziliby się poeci z pod znaku nowej sztuki. Np. donosi A. E. Koźmian Fr. Morawskiemu dn. 1. I. 1829 r., że ojciec jego pisząc o karczowaniu lasów i ścinaniu dębów,

¹⁾ List bez daty. Rks 2032 Pol. Akad. Umiej.

²⁾ Rks 2034 Pol. Akad. Umiej.

³⁾ Rks 2031 I, Pol. Akad. Umiejętności.

oświadcza, iż trzeba być bardzo ostrożnym, bo przecież rolnik obalając dąb „kilka wieków ścina“, ¹⁾ jakby to powiedział również najbardziej prawomyślny romantyk. Trzeba przy tym zaznaczyć, że A. E. Koźmian odgrywał naówczas rolę wcale dwulicową, przyklaskiwał Morawskiemu, gdy ten buntował się przeciwko poetyckiemu niewolnictwu klasycznego Parnasu, a równocześnie szczerze się radował, gdy ktoś karmił romantyków. To też nie należy wątpić, że pisząc o romantycznych „skłonnościach“ swego ojca, niewątpliwie poważnie się martwił.

Koźmian troskliwie polerował każdy wiersz swego poematu, dokładał wszelkich starań, aby nawet przez szkło powiększające nie można było dostrzec jakichkolwiek uchybień przeciwko rymowi, albo, broń Boże, przeciwko dobremu gustowi. Pracował też w pocie czoła i przy największym wysiłku, jak donosił Morawskiemu, pisał codzień po sześć lub najwyżej osiem wierszy. ²⁾ Jak dalece posuwał ostrożność aby niczemu nie uchybić świadczy inny znowu list do Morawskiego, ³⁾ w którym, przysyłając końcową część ostatniej pieśni, prosi go o gruntowne poprawki i dodaje: „Czy tylko wiek nie ma za długiego ogona, przeczytaj go łowczemu naszych lasów Wincentemu, zdaje mi się, aby się w niczym od natury nie oddalił“.

W tym samym liście donosi również, że do skończenia poematu ma już tylko około trzydziestu wierszy, ale potem, na żądanie przyjaciół, zaczął znowu przeróbki i skrócenia, wskutek czego dopiero dn. 23 paźdz. zawiadamia swojego syna, że *Ziemiaństwo* — skończone. ⁴⁾ Teraz wszyscy energicznie zaczęli się krzątać koło druku. Na życzenie ojca A. E. Koźmian zawarł umowę z Karolem Sienkiewiczem, zarządcą drukarni puławskiej w sprawie druku poematu. Czartoryski, Niemcewicz, Maksymilian Fredro, a nawet Brodziński mieli naglić aby druk został przyspieszony. ⁵⁾ Mini-

¹⁾ Rks 2035 Pol. Akad. Umiej.

²⁾ „ 2036 „ „ „

³⁾ „ 2035 „ „ „

⁴⁾ „ 2036 „ „ „

⁵⁾ A. E. Koźmian: *Pamiętniki z dziewiętnastego wieku*, Poznań 1867.

ster Grabowski (stałe przez Niemcewicza przezywany: monseigneur Staś, a przez ogół ministrem ociemnienia) osobiście zajął się cenzurą rękopisu i również osobiście na egzemplarzu dał pozwolenie na druk. Wedle ogłoszonej prenumeraty wydawnictwo miało być luksusowe, ponieważ jednak drukarnia puławska nie posiadała pięknych czcionek, przeło zamówiono nowy skład z zagranicy, a tymczasem przystąpiono do tańszego wydania, przeznaczonego głównie dla szkół (min. Grabowski niewątpliwie postarałby się, aby *Ziemiaństwo*, „bicz Boży“ na romantyków, powędrowało do szkół). To ostatnie wydanie robiono z ogromną szybkością, bo w ciągu dwóch miesięcy złożono dwie pieśni czyli połowę dzieła. Wydawnictwo w ten sposób pomyślnie zbliżało się do końca, gdy wtem wybuch powstania listopadowego (tak jak przed piętnastu laty upadek Napoleona) znowu Koźmianowi gruntownie pokrzyżował wszelkie rachuby. Oficyna puławska oczywiście przerwała druk w połowie poematu, tzn. po dwóch pieśniach, które dziś w tej edycji należą do białych kruków (egzemplarz posiada Biblioteka Jagiellońska).

IV.

Rewolucja, a z nią równocześnie zwycięstwo ideałów romantycznych oraz gruntowne pogrzebanie starych zasad pseudoklasycznej estetyki — to wszystko zdawało się z gruntu przesądzać sprawę powtórnego wydania *Ziemiaństwa*. Pamiętać także i o tym należy, że po upadku powstania kraj ogarnęła apatia i zupełna prostracja, zgasło dawne życie, pozostały tylko ruiny. Ale Koźmian niczym się nie zniechęcał i wkrótce po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie, dowiedziawszy się, że Osiński stara się znowu wypłynąć na powierzchnię życia, odzyskać utracone wpływy i wygodnie się urządzić wśród nowych warunków bytu stolicy, dn. 22 lutego 1832 r., pisze do niego list — w sprawie *Ziemiaństwa*. Że dręczy go zobowiązanie, jakie wziął na siebie wobec prenumeratorów jego poematu. Bo gdy rozpoczął druk w Puławach, rozpiśtał subskrypcję na wydawnictwo i zyskał 800 prenumeratorów, od których z góry przyjął opłatę. Chciał się więc jak najrychlej wywiązać z tego zo-

bowiązania i możliwie szybko pozbyć ciężaru. Równocześnie jednak namyślał się, czy może jednak nie należałoby egzemplarz znowu oddać do cenzury, zwłaszcza, że rękopis z imprimatur min. Grabowskiego gdzieś zawieruszył Sienkiewicz.¹⁾ Ale ta propozycja Koźmiana była Osińskiemu nie na rękę. Właśnie wtedy starał się on odzyskać utraconą przez powstanie pensję profesora uniwersytetu (na możliwość wykładania skwapliwie machnął ręką), bał się więc narazić rządowi rosyjskiemu, to też bardzo chętnie pochwycił sprawę cenzury i długo a szeroko zaczął Koźmianowi tłumaczyć, że istotnie nie jest obecnie pora na to, aby *Ziemiaństwo* drukować. Osiński pamiętał dobrze, że w poemacie Koźmiana znajdowało się sporo patriotycznych akcentów, więc poparcie tego rodzaju poematu mogło by jemu (przecież nie Koźmianowi) zaszkodzić. Prawdę mówiąc, realista Osiński, lepiej ocenia położenie w jakim się literatura polska po powstaniu znalazła i zdawał sobie z tego sprawę, że pseudoklasycyzm, a z nim razem również poemat Koźmiana, to sprawy należące już do niepowrotnej przeszłości. W tym samym liście z 10. III. 1832 r. pisze, że należało by wziąć pod uwagę nie tylko cenzurę, ale — i sam poemat. „Sądziłem ja zawsze — argumentuje — i Pan zdanie moje potwierdzać raczyłeś, że wyższego rzędu pisarze nie stroją dzieł swoich w czarowne ozdoby, nie modzie hołdują, ale naturze i prawdzie. Takie jest *Ziemiaństwo polskie*, widać w nim tylko zawsze i wszędzie mieszkańca tej krainy i raczej okoliczności codzienne sprawdzać będą to, co on czuje i mówi, niż jemu było w myśli od chwilowych okoliczności pożyczyć natchnienie”. Aby zaś te zawile słowa nie nasunęły Koźmianowi jakichś fałszywych interpretacji Osiński wprost zapytuje: „Co Pan odpowiesz cenzurze, jeżeli przez wzgląd na czas obecny zażąda jakich popraw, odmian, poświęceń? Nie będzie jej można za złe poczytać niektórych, a może i bardzo wielu trudności”. A wreszcie wprost mu poradził, aby tę sprawę na razie odłożył, czasy się przecież wyjaśnia, „a tymczasem i same dzieło zyska na tym”, bo można będzie to i owo, szczególnie w przypiskach poprawić.²⁾

¹⁾ Rks 6233 Bibl. Jagiell.

²⁾ Rks 2031. I. Pol. Akad. Umiej.

Ale Koźmian nie dał się tak łatwo zniechęcić i koniec końcem *Ziemiaństwo* oddał do cenzury, a Osiński, choć niechętnie, musiał się tą sprawą zająć. Jakie były dalsze dzieje poematu — nie wiadomo; że cenzura zażądała poprawek to pewne, ale jakich — pozostanie pewnie tajemnicą. W każdym razie Osiński nie tylko zdołał ostatecznie namówić Koźmiana, aby na razie przestał myśleć o wydaniu swego dzieła, zaś cenzura napędziła mu takiego strachu, że znowu kilka lat minęło, zanim sprawa ta jeszcze raz wypłynęła na porządek dzienny. Tym razem jednak Koźmian już nie czekał na skreślenia cenzury, ale sam starannie swój poemat jeszcze raz przeczytał i sumiennie usunął każde słowo, które by bodaj cień niechęci w niej mogło obudzić. Wtedy to zmienił również zakończenie trzeciej pieśni, wykreślając wiersze, w których istniały ślady głębszych uczuć patriotycznych. W ten sposób poemat po tylokrotnych przeróbkach, ostatecznie pozbawiony wszelkich piękniejszych ustępów, stał się suchy i bardzo daleki od ówczesnej uczuciowości społeczeństwa polskiego. Taki poemat oczywiście nie mógł poruszyć w jego duszy żadnej struny.

Że *Ziemiaństwo* w ogóle ujrzało światło dzienne miał to Koźmian do zawdzięczenia Morawskiemu, który wprowadzić ani na jotę nie ustąpił ze swoich dawnych literackich poglądów, ale zawsze miał najcieplejsze słowa dla poematu swego przyjaciela. To też w r. 1838 (po śmierci Osińskiego) zajął się sprawą druku, zainteresował tą sprawą Raczyńskiego, który zgodził się całą imprezę sfinansować. Teraz jednak Koźmian wysunął różne zastrzeżenia. „Widzę z twego listu z daty lutego — pisał do niego Morawski — że pomyśl ten nabawia cię nieco trwogi, widzę, że wołałbyś wcale nie być drukowanym, niż gdyby dzieło twe miało w czym ściągnąć nieukontentowanie rządu, pod którym zostajesz [Koźmian mieszkał wtedy w Piotrowiczach, a Morawski w Luboni w Poznańskim] i spokojność twoją zakłócić. Cały więc list zapisałeś, abyśmy w przypadku druku koniecznie wymazali wszystko, co tylko osądzimy jako niesłuszne do obecnego stanu rzeczy”. Morawski wprowadzić przyrzekł, że będzie starał się dogodzić jego życzeniu, ale stanowiska swego przyjaciela, mimo wszystko, nie mógł zrozumieć. „Nie wiem

przecież — pisał w tym samym liście — skąd ta trwoga twoja jest tak wielką, przecież znanym zawsze byłeś z twoich spokojnych zasad i cichości w świecie... A wreszcie tyle pochwał i tak sprawiedliwych dałeś w twym piśmie bratu śp. cesarza Aleksandra, że każdy widzieć może, że sama tylko chęć dobra, sama prawda piórem twojem kierowała, a nie przewrotne zasady ni namiętności zgubne¹⁾. Lecz w liście do syna Koźmiana nie był Morawski tak spokojny, oburzał się na trwożliwość swego przyjaciela i otwarcie oświadczył, że „takiem lęklivem oglądaniem się na wszystkie strony musi cała poezja pójść w kąt; jeżeli poezję odbierzem *Ziemiaństwo*, które właśnie najwięcej jej potrzebuje, cóż to będzie? Będą to *disiecta membra*, których tym sposobem sam diabeł nie pozeszywa. Wyrwij serce człowiekowi zostanie trup, tak też i z tym dziełem będzie. Zostaną także piękne formy, barwy, lecz tego co wiodło do pisania, tego co było duszą i najbardziej za duszę chwytało — nie będzie.“²⁾ Ten list Morawskiego jest najdoskonalszym komentarzem do poematu Koźmiana w tej formie w jakiej ukazał się w druku. *Ziemiaństwo*, które ostatecznie ukazało się w druku w r. 1839 we Wrocławiu; przeróbki, a szczególnie ostatnia redakcja pozbawiła je naprawdę duszy. To też teraz wzruszano ramionami i jednogłośnie stwierdzono, że poemat Koźmiana dzisiaj jest przeżytkiem, nadaje się tylko do lamusu. H. Rzewuski oświadczył w *Mieszaninach*, że dla poematu Koźmiana byłoby trudno znaleźć czytelnika, K. Wł. Wójcicki, autor *Historii literatury w zarysach*, stwierdził, że *Ziemiaństwo polskie* nie jest wcale polskie, a uznanie Koźmiana za genialnego poetę jest zupełnie nieprzystojnym pochlebstwem; że przy pięknym stylu i języku nie umiał się zdobyć na oryginalne dzieło, ale „pełzał śladami Wergiliusza“, okazując równocześnie całą nieznajomość własnego narodu. Zaś Hoffmanowa stwierdziła, że *Ziemiaństwo* jest płaskie, jak droga z Warszawy do Błonic, i że każdy włościanin, któremu ten poemat został poświęcony³⁾ wolałby kupić cielę,

¹⁾ Rks 2031. II. Pol. Akad. Umiej.

²⁾ List z 3. III. 1838. Rks 2034. I. Pol. Akad. Umiej.

³⁾ Koźmian pisał we wstępie „Do wieśniaków polskich“: „Jeżeli kiedy dzieci wasze czytały lub młodzież za pługiem powtarzać je będzie, o jakże nagrodzonym zostaną za kilkunastoletnią pracę moją“. Str. X.

niżeli to poświęcone mu dzieło. A wreszcie Majorkiewicz więcej zdolności przyznawał wyśmiewanemu Jaksie Marcinkowskiemu, jak autorowi *Ziemiaństwa* (to samo niegdyś powiedział Koźmian o Mickiewiczu). Ta ostra krytyka jeszcze silniej rozgoryczyła starego klasyka — wprawdzie Morawski pocieszał go jak mógł, ale to nic nie pomogło, Koźmian jeszcze gruntowniej odwrócił się od społeczeństwa polskiego, którego i tak nienawidził od chwili wybuchu powstania listopadowego.

Adam Bar.

Powietrze, słońce i moralność.

W ub. r., październikowym zeszycie *Przegl. Powszech.*, ukazał się artykuł ks. St. Podoleńskiego,¹⁾ omawiający przemiany obyczajowe czasów, jak się zwykle mówi, powojennych, a w rzeczywistości ostatnich lat co najmniej czterdziestu, bo już pod koniec zeszłego wieku zaczął się ujawniać ruch, mający doprowadzić do tych objawów, którymi w swoim artykule zajmuje się ks. Podoleński.

Od innych wypowiedzi na podobny temat, ograniczających się najczęściej do głoślownych inwektyw, artykuł ks. Podoleńskiego wyróżnia się korzystnie umiarem i dobrą wolą zrozumienia omawianych przemian i uznania tego, co w nich jest dobre i słuszne. Zarazem jednak przypomina on raz jeszcze, jak sprawy w istocie swojej proste i oczywiste o charakterze wyłącznie praktycznym, a tu w szczególności zdrowotnym, wskutek nieszczęśliwych skojarzeń i nawyków niefortunnie się komplikują i jak wskutek tego dostosowanie stroju letniego do koniecznych wymagań czystości i higieny urasta do rozmiarów skomplikowanego problemu obyczajowego.

Ks. Podoleński rozpoczyna artykuł swój od analizy fizjologicznego działania promieni słonecznych, dając jego ocenę lojalną i obiektywną, podnosząc zarówno działania zbawienne, ożywcze i uzdrawiające np. w krzywicy i gruźlicy kości, jak i niebezpieczeństwo nasłoneczniania, gdy jest stosowane nieopatrzenie i nadmiernie, zwłaszcza u ludzi mających predyspozycje do niektórych chorób. Tak

¹⁾ „Więcej powietrza i słońca”. *Przegl. Pow.*, październik 1938.

więc naświetlanie może doprowadzić do ujawnienia się istniejącej już, ale utajonej gruźlicy, może podobno nawet, u osób do tego predysponowanych, spowodować rozwinięcie się jakichś rakowych zmian skóry. Dodać jeszcze można, o czym ks. Podoleński nie wspominał, że intensywne naświetlanie pełnym światłem słonecznym nie działa dobrze przy wysokich ciśnieniach krwi, a więc np. u osób chorobliwie otyłych itp.

Nie przeszkadza to jednak, że normalnie i przeciętnie na organizm zdrowy i — dodajmy — stopniowo przyzwyczajony słońce działa korzystnie i że pod względem zdrowotnym zwyczaj plażowania i noszenia latem choć nieco lżejszych i swobodniejszych ubrań dał w sumie rezultaty na ogół na pewno korzystne. Zwyczajowi temu zawdzięczamy w każdym razie to, że o blednicy, którą niedawno jeszcze przechodziły niejako obowiązkowo niemal wszystkie dziewczęta, jakoś się dziś nie słyszy i że się nie widuje pałakowatych nóg dzieci chorych na „chorobę angielską”. Jeśli też kliniki notują jakieś pojedyncze wypadki gruźlicy, ujawnionej wskutek naświetlania słońcem, to za to odpadły setki i tysiące wypadków suchot, nabywanych dawniej szczególnie przez kobiety wskutek unikania słońca dla zachowania „delikatnej” cery i wskutek sznurowania klatki piersiowej. To są na pewno objawy dodatnie, korzystne i pocieszające, które zawdzięczamy nie czemu innemu, jak właśnie modzie na opaloną cerę, a które równoważą z grubą nawiązką rzekome czy nawet rzeczywiste szkody, jakie mogą sporadycznie wynikać z nierozsądnego nadużywania słońca.

Trudno zresztą nie zauważyć, że szkodliwe chwilowo nadużywanie słońca jest najczęściej wynikiem jego stałego niedostatku. Ludzie pozbawieni przez większą część roku możliwości korzystania ze słońca i powietrza na skutek warunków pracy, chcą powetować sobie odczuwany brak w ciągu krótkich tygodni urlopowych, czy też rzadkich letnich niedziel i właśnie wskutek tego ulegają dokuczliwym i niepotrzebnym, rzadko zresztą niebezpiecznym oparzeniom. Umożliwione zmianą obyczaju powszechniejsze i częstsze korzystanie ze słońca byłoby więc radykalnym a najskuteczniejszym lekarstwem na te „nadużycia”.

Co do tego bowiem, że skóra stopniowo przyzwyczajona wytrzymuje już potem dowolne ilości słońca, nie tylko bez szkody, ale z wyraźną korzyścią dla organizmu, nie może być chyba żadnej wątpliwości. Każdemu przecież muszą przyjść na myśl starożytni Grecy czy Egipcjanie, którzy pod silniejszym od naszego słońcem południowym chodzili stale nieomal że bez ubrania, a już całkiem obnażeni na słońcu pracowali całymi dniami na roli czy koło winnic, w warsztatach portowych i na okrętach, maszerowali i gimnastykowali się, i mieli się przy tym, o ile sądzić możemy, nie gorzej, lecz znacznie lepiej od stale i ciężko ubranych ludzi nowoczesnych. Trudno też nie wspomnieć, że również bez ubrania chodzą pod tropikalnym słońcem i dziś jeszcze liczne ludy egzotyczne i że zaczynają chorować i wymierać na różne europejskie choroby degeneracyjne właśnie dopiero wtedy, gdy się zaczynają ubierać w „przyzwoite” stroje europejskie.

Co się tu zresztą odwoływać na tak odległe przykłady. Wie już dziś przecież z własnego długoletniego doświadczenia niejednen człowiek w późniejszym wieku doskonale się czujący, że bez powstrzymującego parowanie skóry ubrania można dźwigać, kopać, rąbać czy wiosłować nie tylko bez zmęczenia, ale z intensywnym uczuciem zadowolenia fizycznego przy temperaturze, na którą człowiek ubrany, nawet stosunkowo lekko wedle dotychczasowych pojęć, pocąc się i sapiąc, uskarża się jako na upał podobno „nieznośny” i „nie do wytrzymania”.

Ci ludzie paru wyznaczonymi godzinami „kąpieli słonecznej” na ogrodzonej plaży zadowolić się nie mogą i muszą dążyć, oczywiście nie do przeciągania w nieskończoność bezczynnego plażowania „w stosownych warunkach”, ale do noszenia w czasie upałów strojów jak najbardziej zredukowanych, możliwie wszędzie i przez jak największą część dnia, nie tylko nad brzegiem wody, ale także przy wszelkiej pracy w polu czy w ogrodzie, podczas jazdy łodzią czy kajakiem i podczas niejednej wycieczki pieszej lasami, miedzami i grzbietami górskimi, jak się to już dziś często praktykuje.

I dążności tej z punktu widzenia zdrowotnego nie można w żaden sposób odmówić słuszności.

W ogóle powiedzieć trzeba, że z punktu widzenia zdrowia i higieny, bardzo wiele z tego, co bywa zwalczane jako „złe obyczaje“ epoki powojennej jest słuszne, pożądane a w znacznej części nieraz po prostu konieczne. Musi się też obiektywnie stwierdzić, że zdrowotne skutki dotychczasowych, choć wciąż jeszcze połowicznych przemian, pomimo niestosownych i nierozsądnych nadużyć i wykolejeń są jednak w sumie na ogół dodatnie.

Ale przeciwnikom obyczajowych, czy raczej tylko ubrańowych nowości chodzi nie o wyniki zdrowotne „mody plażowej“, ale o jej wpływ na rodzaj i poziom obyczajowości. Jest to oczywiście zagadnienie doniosłe.

Spróbujmy jednak zdać sobie sprawę, o co tu właściwie chodzi? Człowiekowi wyraźnie zaangażowanemu i zorientowanemu przychodzi to z pewną trudnością, ale lojalność wymaga, aby zdobyć się na wysiłek obiektywnego zrozumienia działających tu motywów, choć się ich subiektywnie już nie odczuwa.

„Stan faktyczny“ dyskutowanej sprawy przedstawia się, zdaje się, mniej więcej tak: przez półtora tysiąca lat, tj. od końca starożytności klasycznej człowiek „cywilizowany“ odzwyczaił się od widoku ciała odsłoniętego. Dlatego ciało wbrew długoletniemu przyzwyczajeniu znowu odsłonięte, a nawet jakaś niewielka, ale zwykle zakryta część, jak np. stopa, wprawia go w zakłopotanie, „razi go“, a zarazem budzi ciekawość i powoduje skojarzenia pewnego specjalnego i wiadomego rodzaju. O to w gruncie rzeczy chodzi przeciwnikom prostszych i lżejszych form ubrań letnich, plażowych i kąpielowych. Obawiają się oni po prostu, aby zredukowanie ubrań pod wpływem dążenia do słońca i powietrza nie wprawiało ludzi w jakiś stan nieustającego podniecenia erotycznego, co oczywiście nie tylko z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej byłoby wysoce niepożądane.

Otóż przyznajmy lojalnie, że tak zrazu mogło być i że tak może jeszcze niekiedy być. Jakżeż jednak można nie widzieć, że są to objawy chwilowe i przejściowe, dziś

już w znacznej części należące do przeszłości? Jakżeż można nie spostrzegać, że przemiany obyczajowe, sprowadzające to niebezpieczeństwo, są zarazem na nie najskuteczniejszym lekarstwem?

Niezależnie od tego jak się ktoś subiektywnie odnosi do zwyczaju plażowania, jedno wydaje się obiektywnie pewne: plaża oswaja ludzi z widokiem odsłoniętego ciała. U wielu ludzi, dziś już bodaj czy nie u większości, widok ten, jako widok całkiem zwykły przez szereg miesięcy letnich, nie budzi zakłopotania, tym mniej zgrozy, ani nie wywołuje żadnych w ogóle szczególniejszych uczuć.

Usłyszę zapewne zarzuty, że jestem zbyt optymistą. Zdaje mi się jednak, że kto się obracał w środowiskach ludzi nawet nie specjalnie kulturalnych, ale po prostu wiosłujących, pływających i jeżdżących na nartach, przyzna mi sporo racji.

Nie popadajmy zresztą w przesadę i nie twierdźmy, że się już dziś odsłoniętego ciała w ogóle wcale nie spostrzega. Wystarczy to, że się patrzy na nie bez zakłopotania i że piękną muskulaturę torsu ocenia się tak samo jak klasyczny profil, czy wdzięczny owal twarzy.

Kto pamięta atmosferę plaży sprzed lat nie więcej jak trzydziestu, ową obrzydliwą atmosferę podglądania i lornetowania, ten zaszle od tego czasu zmiany odczuwać musi z głęboką ulgą jako ogromne oczyszczenie moralne atmosfery i szczerze się radować, że danym mu było dożyć tak zasadniczego przewrotu.

I teraz znów nie przesadzajmy i nie próbujmy dowodzić, że nowe formy życia towarzyskiego, jakie się wytworzyły na plaży, na przystani wioślarskiej czy na obozowisku wycieczkowym są zawsze i zupełnie wolne od wszelkiego pierwiastka erotycznego, bo ten w stosunkach między osobami płci odmiennej zawsze pewną rolę odgrywać będzie. I nie o to w końcu chodzi, żeby go nie było, tylko żeby nie był powodem moralnej szkody i krzywdy. Otóż pod tym względem atmosfera plażowa, czy sportowa, jest niewątpliwie bez porównania czystsza, niż wspomniana mimochodem przez ks. Podoleńskiego dawna atmosfera salonowa. W „salonie” bowiem gra erotyczna, mniej lub więcej zamaskowana,

stanowiła, obok towarzyskiej plotki prawie jedyny motyw częstego zbierania się i przebywania razem w „wytwornych”, tj. bardzo niedogodnych strojach i dusznych zamkniętych lokalach, podczas gdy na plaży, na łodzi, na obozowisku nad brzegiem rzeki, na skraju lasu, czy na stoku górskim, erotyka schodzi na plan drugi, czy zgóła dziesiąty wobec radości, jaką daje wysiłek na otwartym powietrzu i słońcu.

Tych zasadniczych zmian wrażliwości i jak się dziś mówi „wartościowania”, ludzie piszący o sprawach obyczajowych zdają się nie spostrzegać i dlatego wnioski, jakie wyprowadzają z trafnie zresztą zaobserwowanych faktów, nie we wszystkim odpowiadają rzeczywistości.

Å już wprost przeciwnym rzeczywistości jest, jak sądzę, wszystko to, co dość powszechnie mówi się o zmniejszonym jakoby dzisiaj szacunku mężczyzn dla kobiet i o rzekomym u tych ostatnich zaniku poczucia godności osobistej.

W rzeczywistości bywa na ogół raczej przeciwnie i jeśli to nie jest dostrzegane, to tylko dlatego, że obserwowanym objawom zewnętrznym przypisuje się znaczenie symboliczne, jakie one niedawno jeszcze miały, ale jakiego skutek wspomnianych wyżej przemian obyczajowych już dziś najczęściej nie mają.

Jeśli więc dawniej mężczyzna nie śmiał w obecności kobiety zdjąć marynarki, a dziś w czasie upału towarzyszy jej bez skrępowania w rozpiętej pod szyją sportowej koszuli, to bynajmniej nie dlatego, żeby szacunek dla kobiet w ciągu ostatnich lat czterdziestu się zmniejszył o tyle, o ile zmniejszyła się waga dźwiganego na sobie ubrania, ale tylko dlatego, że okazywanie komuś szacunku przepoconym na upale ciężkim ubraniem, choć siłą bezwładności trwa wciąż jeszcze jako „obowiązujący przepis”, przecież przez coraz liczniejszych ludzi zaczyna być uważanym za to, czym jest w istocie, tj. za zwyczaj bardzo nierozsądny, a nawet — powiedzmy oględnie — co najmniej niehigieniczny.

Podobnie jeśli kobieta ośmiela się pokazywać w kostiumie dość zredukowanym, oczywiście w miejscach w których warunki na to pozwalają, to nie dlatego, że zmniejszyło się jej poczucie godności osobistej, ale dlatego, że jest przeoko-

nana, iż żaden mężczyzna, jako tako kulturalny, nie odważy się wziąć lekkiego, zdrowego sposobu ubrania za jakąś zachętę i upoważnienie do wcale niepożądanego poufałości.

Te objawy większej swobody, nie do pomyślenia lat temu czterdzieści, — gdy szczytem marzeń najbardziej śmiałych higienistów było skasowanie gorsetu, powłóczystych, ubłoconych sukien i krochmalonej bielizny przy ubraniach męskich, — świadczą więc nie o obniżeniu, ale o wyraźnym podniesieniu się (przynajmniej na tym odcinku) kultury nie tylko fizycznej, ale i obyczajowej, a nawet moralnej, o którą entuzjastom zdrowotności chodzić musi na pewno jeszcze bardziej niż ludziom odnoszącym się do niej obojętnie.

To, że te nowe formy zachowania się, czy sposobu ubierania się nie odpowiadają formom dotychczas przyjętym, nie może być argumentem przeciw nim, jeśli obiektywnie i rzeczowo z punktu widzenia użytkowego, a w tym wypadku zdrowotnego, uznać je musimy za rozsądne i słuszne.

Formy i obyczaje, w przeciwieństwie do praw natury czy Boga, nie są przecież czymś absolutnym i niezmiennym. Zmieniają się one zależnie od warunków, poczucia bezpieczeństwa, poziomu wiadomości i ogólnej kultury, i cieszyć się tylko możemy, jeśli obyczaje szkodliwe i bezcelowo dokuczliwe ustępują miejsca łagodniejszym, rozsądniejszym i zdrowszym.

Jest rzeczą oczywiście słuszną, że z obyczajami istniejącymi liczyć się w pewnej mierze trzeba nie tyle może z jakiegoś obowiązku moralnego, ile po prostu z konieczności, nie chcąc np. kogoś obrazić, albo w krępujący sposób zwracać na siebie uwagę, ale to liczenie się nie może być jednak rezygnacją z postulatów rozsądnych, a moralnie obojętnych na rzecz nierozsądnego i szkodliwego obyczaju. Jeśli wysuwamy hasło „więcej powietrza i słońca“, jeśli uznajemy jego słuszność, to nie możemy się żadną miarą obronić przed wyciągnięciem z przyjętej przesłanki tego oczywistego i nie dającego się ominąć wniosku, że „więcej powietrza i słońca“ znaczy „mniej niepotrzebnego ubrania“, a w ostatecznej konsekwencji jest odrzuceniem w czasie lata tego ciężkiego i szczelnego ubrania w istocie swojej zimowego, którego żądały do niedawna przyjęte, a dziś

coraz silniej kwestionowane normy obyczajowe, odrzuceniem nie na parę godzin dziennie, co jest zupełnie niewystarczające, ale właśnie stale i wszędzie, i to nie tylko na lotnisku, ale całkiem tak samo w rozprężonym w czasie lata mieście.

Oczywiście, że musi to być dokonane oględnie, stopniowo i z odpowiednim taktem. Żle jest jednak, gdy zbyt wielka „delikatność” każe rezygnować ze słusznych wymagań zdrowotnych i zatrzymywać ubiór dotychczas „przyjęty” wówczas nawet, gdy jest on najoczywiściej o wiele za gorący. Należyte bowiem rozwiązanie tego problemu obyczajowego dać może tylko stopniowe wprowadzenie strojów na p r a w d ę całkowicie lekkich, które jednak przy swej lekkości nie sprawiałyby wrażenia negliżowego. I tu trzeba podkreślić fakt zasadniczo ważny a niedostatecznie uświadomiony, że pewne bardzo drobne zmiany nawet nie ilości użytego materiału, ale tylko kroju, a nawet samego koloru zdolne są zamienić strój „plażowy” na „skautowski”, albo negliżową piżamę na strój „kolonialny”, równie lekki i higieniczny a nie rażący nie tylko na tarasie mleczarni w uczęszczanym lotnisku, ale nawet na wielkomiejskiej ulicy.

Sądzę, że to, co tu mówię, nie będzie sprzeczne z intencjami ks. Podoleńskiego, który wyraźnie przecież dopuszcza „lekkie higieniczne ubranie w porze gorącej”, nie określając tylko dokładnie wymaganego, jego zdaniem, składu takiego ubrania, a to jest jednak w praktyce rozstrzygające i musi być wyraźnie określone.

Ubranie kobiece, jeszcze przed laty trzydziestu kilku właściwie wprost potworne pod względem praktycznym i zdrowotnym, uległo w okresie wojny takiej ewolucji, że na ogół nie może już budzić sprzeciwów, i byle tylko nie uległo ewolucji wstecznej (jak to widzimy np. w zakresie strojów wieczorowych), nie wymaga też dalszego „reformowania”. Sukienka krótka i luźna, z lekkiego porowatego materiału, bez kołnierzyka i bez rękawów jest prawie tak samo lekka i chłodna, jak kostium plażowy i nawet w czasie wielkich upałów może być uważana za strój „racjonalny”. Pożądane mogłoby być co najwyżej ostateczne zlikwidowanie w czasie lata na nic wówczas niepotrzebnych, z konieczności przepoconych i zakurzonych pończoch i bardziej powszechne,

niż to dotychczas widzimy, zastąpienie bucików czy pantofli zupełnie przezroczystymi rzemykowymi sandałami. Nie podobna bowiem czuć się podczas upału zupełnie swobodnie i szczęśliwie, nie mając stóp z wierzchu zupełnie odsłoniętych.

W zakresie ubrania męskiego, pod wpływem sportu, pewne tendencje „racjonalizacyjne” zaznaczyły się również wcale wyraźnie, nie są jednak dostatecznie rozpowszechnione ani też, jak dotychczas „oficjalnie” przyjęte. Jasnym jest, że tzw. kompletny garnitur męski, choćby uszyty z cienkiego materiału, nie jest wcale na lato „lekki i higieniczny”. Jest to ubranie odpowiednie dla człowieka nieruchomego w tzw. temperaturze pokojowej 16—20° C. W gorący dzień letni, przy temperaturze powyżej 25°, jest to jednak stanowczo o wiele za dużo. Przy takiej temperaturze konieczne się staje odrzucenie kurtki czy marynarki (tak jak się to robi z żakiem przy tzw. kostiumie damskim) i zredukowanie ubrania do samej tylko koszuli i spodni z paskiem. Przy tym koszula pod szyją musi być koniecznie rozpięta i najlepiej z krótkimi rękawkami, a spodnie najlepiej krótkie tzw. szorty. Pożądane również, a przy odrobinie śmiałości często możliwe już do przeprowadzenia jest zastąpienie bucików odkrytymi zupełnie z wierzchu sandałami.

Większa ilość odzieży w czasie upału nie da się uzasadnić żadnymi względami użytkowymi. Trudno nawet twierdzić, żeby była wymagana przez ustalone pojęcia przyzwoitości. To, że jej żądały do niedawna przyjęte normy tzw. dobrego wychowania, nie jest żadnym argumentem za jej utrzymaniem. Norma, która narzuca coś oczywiście szkodliwego, jest normą niemądrą i nieuczciwą. Nie należy się do niej stosować, ale trzeba ją stopniowo usunąć i zastąpić inną uczciwszą i rozumniejszą. Nie jest to żadne przestępstwo ani żadna niewłaściwość, ale raczej obowiązek, właśnie w myśl „dalszego pogłębiania... zdobytej pracą wieków kultury”, na którym, jak słusznie pisze ks. Podoleński, powinno nam zależeć.

W gruncie rzeczy zadanie, jakie przy tym rozwiązać należy, jest całkiem inne i znacznie ciaśniejsze, niż się powszechnie mówi i pisze. Nie chodzi przy tym wcale o żadne

„podstawowe zasady moralności“, których wcale nie ma potrzeby kwestionować, ale prawie wyłącznie o pewne szczególności natury, powiedzmy technicznej, albo jeszcze ściślej kra- wieckiej, przez „moralistów“ nie brane pod uwagę, a w rzeczywistości decydujące.

Jeśli więc mężczyzna do niedawna nie odważał się w obecności pań zdjąć marynarki, to nie dlatego, żeby koniecznie aż trzy warstwy odzieży były konieczne dla zachowania przyzwoitości, ale po prostu dlatego, że to, co noszono pod marynarką, nie było przeznaczone do oglądania. Kamizelka „z fałszem“, koszula z odmiennym przodem, szelki etc., wszystko to, wydobyte na wierzch, wygląda niekompletnie i nieporządnie. Pokazanie się publicznie w podobnie niezupełnym ubraniu może być słusznie uważane za lekceważenie otoczenia. Jednakże np. sportowa koszula do spodni, jaką coraz częściej nosi się w biurze, sklepie a nawet na ulicy, nie ma żadnych „odwrotnych stron medalu“ i wygląda ze wszystkich stron jednakowo skończenie i porządnie. Może też doskonale, bez rażenia czyichkolwiek oczu, służyć za ubranie zwierzchnie. Nazwijmy ją bluzą, nie koszulą, a zaakceptujemy ją z łatwością nie tylko na letnisku, ale i w mieście.

„Moralizowanie“, nie uwzględniające takich „materialnych“ szczegółów, nie prowadzi do niczego i wpływ jego na rozwój form obyczajowych musi być albo żaden, albo tylko szkodliwy. Stwierdzić zaś, niestety, trzeba, że mniej więcej wszystko, co na temat obyczaju bywa popularnie pisa- ne (w znacznej niestety części a niesłusznie pod firmą religijną) ogranicza się najczęściej do gwałtownego i uporczy- wego potępienia każdej innowacji obyczajowej w istocie swojej słusznej i pożytecznej, każdej formy ubrania zdrowszej i wygodniejszej, każdego przede wszystkim odsłonięcia jakiegoś kawałka skóry dla dopuszczenia do niej słońca i powietrza.

Pochodzenie tej zaciekłej nienawiści do widoku odsło- niętej skóry jest szczególnie osobliwą zagadką. Tylko czło- wiek bardzo ciemny i bezmyślny może uważać tę niechęć, nienawiść i niepomiarłą trwogę za coś, co „rozumie się samo przez się“ i nie wymaga żadnego wyjaśnienia. Wystarczy bo- wiem trochę bardzo elementarnych wiadomości z etnografii

i historii kultury, żeby wiedzieć, że ta niechęć i obawa bynajmniej nie zawsze i nie wszędzie była podstawą obyczajowości. Nie podobna zwłaszcza nie pamiętać, że Grecy epoki klasycznej, twórcy kultury, za której spadkobierców tak chętnie się podajemy, obawy tej nie odczuwali wcale i nawet uważali ją za specjalnie godną pogardy oznakę azjatyckiego barbarzyństwa. Trudno się też na to zgodzić, żeby pojęcia dowodzące, jeśli je brać na serio, jakiejś nieustającej obsesji seksualnej i zmuszające tak często, wbrew odruchowej dążności ludzkiej psychiki, do działania na własną, nieraz dotkliwą szkodę, mogły być uważane za „naturalne” i normalne.

Pochodzenie pojęć, żądających skrupulatnego okrywania koniecznie całego ciała kilku warstwami nieprzezroczystej odzieży bez względu na temperaturę — pojęć uważających takie często nadmierne i szkodliwe ubranie za koniecznie potrzebne dla zachowania przyzwoitości i godności osobistej, dla zaznaczenia wyższej pozycji społecznej i okazania szacunku osobom innym jest też niewątpliwie raczej tajemnicze. Zbadanie genezy tego zjawiska ogromnej, kulturalnej doniosłości byłoby zadaniem zarówno dla etnografów i socjologów, jak i dla psychoanalityków o wiele ważniejszym i ciekawszym od grzebania się w jakichś zboczeniach wyjątkowych i kulturalnie obojętnych. Musimy jednak tymczasem radzić sobie bez nich i na własną rękę odtworzyć tok powstawania tych po dziś dzień działających, choć przez plażę i boisko coraz bardziej osłabianych pojęć i odczuć rzekomo „tradycyjnej przyzwoitości”.

Na początku postawić zapewne trzeba warunki klimatyczne, zmuszające do noszenia cieplej i szczelnej odzieży przez znaczną część roku, choć przecież nie przez cały rok. Jako ogniwo drugie przychodzi abnegacja i niechłujstwo sprawiające, że odzież w składzie swoim zimowa zachowywana jest także i na lato, i że ciało nigdy nie odkrywane staje się czymś nieznanym i tajemniczym. W dodatku to ciało zakryte i zaniedbane, pozbawione wody, powietrza i słońca, zaczyna marnieć i chorować. Widok takiego ciała bladego i nalanego, jeśli je przypadkowo odkryć, staje się rzeczywiście przykrym dla otoczenia i poniżającym dla jego

właściciela. To subiektywne uczucie zawstydzenia i poniżenia człowieka przez własną niedbałość fizycznie upośledzonego, podniesione, jak to często bywa, z wielu innymi „urazami“, do godności ~~człowieka~~ obowiązującej reguły, to właśnie owo pojęcie „przyzwoitości“, ciężące potem takim ponurym ciężarem nad całą kulturą obyczajową, utrzymujące nadal niechlujstwo i charłactwo, z którego pierwotnie powstało, i ciągnące za sobą cały długi szereg dalszych urazów psychicznych, brutalnych form obejścia i żalosnych a nikomu na nic niepotrzebnych wyrzeczeń.

Powszechne niechlujstwo, ciężkie warunki egzystencji, degeneracja fizyczna, rozpowszechnienie zniekształcających schorzeń, wszystko to sprawia, że te pojęcia i reguły utrzymują się i trwają, jako w tych warunkach dla wielu ludzi poniekąd nawet dogodne. Przyzwyczajenie i umysłowy automatyzm, ów bodaj najpowszechniejszy motyw ludzkiego działania, sprawia, że stosują się do nich, a nawet bronią ich ludzie, nie mający do tego żadnych powodów osobistych. I tak te pojęcia i przepisy obyczajowe trwają i stają się tradycjami, i już z tego tylko powodu pretendują do nienaruszalności.

Jeśli jednak w jakimś środowisku obudzi się potrzeba czystości i zrozumienie dla kultury fizycznej, jeśli podniesie się choć trochę przeciętna kondycja fizyczna, jeśli przy tym obyczaje nieco złagodnieją i osłabnie chamska nachalność mężczyzn, zmuszająca specjalnie kobiety do skrupulatnego okrywania się i ukrywania, wówczas te przedtem poniekąd dogodne normy stają się dokuczliwe i krępujące. Zaczyna się rzucać w oczy ich szkodliwość i budzić sprzeciw ich bezcelowa dokuczliwość.

Pojęcia i normy dotychczas „obowiązujące“, to znaczy przyjmowane biernie i bez zastanowienia, zaczynają być rozpatrywane, kwestionowane, atakowane i odrzucane.

Taki proces odbywa się właśnie w naszych czasach. Nowe, a raczej na nowo tylko rozbudzone elementarne i odwieczne potrzeby stają wobec szeregu nałogów myślowych, uporczywych skojarzeń i przyzwyczajeń często tylko wzrokowych.

Stają naprzeciw siebie dwa przeciwne sobie uczuciowe nastawienia.

Jedni ludzie patrzą z radością na coraz liczniejsze plamy odsłoniętej, opalanej skóry, błyszczące w słońcu, na tle wody, zieleni łąk i lasów, a nawet miejskich parków i promenad.

Inni, jak czasem słyszymy, a częściej jeszcze czytamy, patrzą na to z niesmakiem, z oburzeniem i ze zgorszeniem.

Walczyć z takimi uczuciami, perswazją czy dyskusją jest niesłychanie trudno. Nie podobna „logicznie” wytłumaczyć, że brak przy letnim ubraniu rękawów czy pończoch, czy choćby tylko watowanej marynarki nie musi nasuwać jakichś skojarzeń koniecznie... sypialnianych człowiekowi poza tym niekiedy zupełnie rozumnemu, któremu jednak na skutek wychowania w pewnych określonych pojęciach i warunkach takie właśnie skojarzenia uporczywie się narzucają.

Na szczęście walczyć z nimi można w sposób inny, pośredni, wprawdzie powolny, ale jak to już dziś zaczynamy widzieć, pewny i skuteczny.

Już w roku, jeśli się nie mylę, 1882, Edmund de Goncourt notuje w swoim dzienniku, nie wiem pod wpływem jakiej obserwacji, ale jak gdyby z pewnym zaniepokojeniem, że „tradycyjne pojęcia przyzwoitości i wstydlivości nie dadzą się utrzymać wobec zwyczaju codziennej kąpieli”.

Otóż widzimy rzeczywiście, że rozpowszechnienie się większej schludności, choć wciąż jeszcze niedostateczne, zwłaszcza wśród warstw tzw. szerszych i niższych, doprowadziło powoli do osłabienia obawy przed częściowym obnażeniem, do powolnego rozpowszechnienia się w lecie ubrań lżejszych i do powstania instytucji „plaży”.

Po prostu dla coraz liczniejszych osób, przyzwyczajonych od dzieciństwa do oglądania odsłoniętego ciała własnego lub cudzego nie w żadnych okolicznościach drażliwych i krępujących, ale przy codziennej kąpieli i gimnastyce, widok ten przestał mieć jakieś osobliwe i szczególniejsze znaczenie. W tych warunkach odrzucenie podczas upałów cięższej odzieży, jak to się dzieje na plaży, staje się rzeczą równie naturalną, jak naciągnięcie w czasie mrozu kożucha i grubych butów, o ile tylko jakiś człowiek nietaktowny,

grubiański czy po prostu nieuczciwy przez swoje zachowanie się nie położy specjalnie akcentu na tym, co powinno być dyskretnie przemilczane, a nawet w ogóle „zepchnięte pod próg świadomości”.

Że ludzi nieuczciwych, grubiańskich, czy tylko nietaktownych jest wciąż jeszcze dużo, z tym oczywiście liczyć się trzeba i to nakłada zawsze pewne ograniczenia. Ale to liczenie się nie może być rezygnacją z tego, co jest skądinąd słuszne i usprawiedliwione. Przy zachowaniu wszelkiego umiaru, „złotego środka” i stopniowania, do którego całkiem słusznie nawołuje ks. Podoleński, zapominać jednak nie można, że ostatecznym celem nie jest takie dostosowanie sposobu ubrania do niskiego poziomu moralnego i umysłowego, aby nawet najgorszy rozpustnik i grubianin „nie miał się czego ucześcić”, bo taki z a w s z e czegoś czepiać się potrafi, ale przeciwnie celem jest takie stopniowe wychowanie wszystkich ludzi, aby ci w sposobie ubrania zdrowym i rozsądnym przestali się doszukiwać czegoś koniecznego zdrożnego i podejrzanego.

Zdaje mi się, że to żądanie nie jest tak beznadziejne, jak przypuszczają pesymiści, i że dość może niezależne od ogólnego poziomu moralności (która jest czymś znacznie bardziej złożonym i daleko wykraczającym poza zakres obecnych moich rozważań obyczajowych) wychowanie pod tym względem dość znacznie postąpiło za pamięci niekoniecznie nawet przysłowiowych „najstarszych ludzi”; a i dalsza ewolucja w tym kierunku wydaje się być przygotowana i czeka tylko na ludzi śmielszych i bardziej pod tym względem przedsiębiorczych.

Wbrew temu, co by można wnosić zarówno z pewnych dotychczas popularnych conceptów, jak i ze spotykanych niekiedy, przeważnie zakrzepłych w ustalonym szablonie i dość chyba automatycznych „wyrzów oburzenia”, przekonać się można i przekonałem się nieraz osobiście, że pewna dość daleko idąca śmiałość w lansowaniu lżejszych form ubrania spotyka się często wcale nie z oburzeniem, ale właśnie z niewątpliwym i nieraz otwarcie wyrażanym uznaniem ze strony ludzi, którzy sami z różnych względów na taką śmiałość się nie odważają.

Nawet ów „lud wiejski“, o którego niechęci do lżejszych form ubrania pisze ks. Podoleński na str. 71, przekonawszy się jaką ulgą przy pracy na upale jest strój zredukowany do rzeczywiście koniecznego minimum, zaczyna takiego stroju, właśnie w swym składzie „plażowego“, sam coraz częściej używać.

Jadąc w pierwszych latach po wojnie na południe, przez dawną Austrię, byłem uderzony widokiem wielkich partyj robotników, pracujących przy torze w samych tylko spodniach.

Ten widok przedtem niespotykany i bodaj, że niemożliwy do pomyślenia sprawił mi prawdziwą radość. Jednocześnie jednak myślałem z niejakim smutkiem, że zapewne nieprędko coś podobnego będę mógł zobaczyć w kraju. A otóż wpływ wyklinanych zrazu plażujących letników, wioślarzy i kajakarzy, wpływ rozrzuconych po wsiach obozów junackich i harcerskich, wpływ zapewne także wojska, w którym ćwiczenia gimnastyczne i cięższe fizyczne prace przybyły ze wsi rekrut wykonuje coraz częściej w stroju mniej lub więcej plażowym, sprawił, że już od dobrych kilku lat, zarówno na Podhalu jak i pod Lublinem widzieć możemy nieraz chłopów koszących, orzących, zwożących siano etc. w takich właśnie strojach plażowych. Czytałem nawet wierszowaną korespondencję w *Gazecie Świątecznej*, w której jakiś parobek gdzieś spod Siedlec tę „nową modę“ bardzo sobie chwalił, jako oszczędzającą zarówno przyodziewku jak i zmęczenia.

Dziś zresztą widzimy już w mieście nieraz na rusztowaniach, przy robotach ziemnych i brukarskich itp. robotników, zwłaszcza młodszych, pracujących w samych spodniach i z odsłoniętymi torsami. Otóż zwyczaj taki ustalony i zupełnie powszechny byłby dopiero tym, do czego dążyli i o co walczyli od wielu dziesiątek lat ludzie rozumniejsi i odważniejsi, którym wrodzona większa potrzeba czystości i swobody nie pozwalała się godzić na „powszechnie obowiązujące“ czy raczej tylko powszechnie a bezmyślnie przestrzegane obyczaje, będące wytworem środowisk chorych fizycznie i psychicznie, z tą chorobą pogodzonych i rezygnujących z jakiegokolwiek z nią walki.

Nie o to bowiem chodzi, żeby beczynnie „plażowali” przez półtorej godziny dziennie na ogrodzonej i opłaconej plaży ludzie mający dużo czasu i pieniędzy, ale o to, żeby ze świecącego za darmo słońca mogli korzystać wszyscy, wszędzie i zawsze, gdy tylko pogoda na to pozwala, a przede wszystkim przy każdej pracy fizycznej pod otwartym niebem.

Dopiero obyczaj, umożliwiający takie codzienne i powszechne, każdemu dostępne korzystanie ze słońca i powietrza, a więc obyczaj dopuszczający strój naprawdę higieniczny zawsze, wszędzie i przez całe lato, nazwać można obyczajem uczciwym i mądrym, dopiero taki obyczaj dowodzi prawdziwej i rzetelnej, patologicznymi „kompleksami” nieupośledzonej kultury.

O taki też obyczaj walczyć musi i walczyć jest obowiązany wszystkimi dostępnymi środkami każdy człowiek, który te rzeczy rozumie i który poczuwa się do odpowiedzialności za także i przez niego przecież współtworzoną kulturę.

*

Takie są ostateczne wnioski moich długich wywodów i jeszcze znacznie dłuższych doświadczeń i rozmyślań nad obyczajem i tym jego najwybitniejszym wyrazem, jakim jest przyjęty w pewnym środowisku sposób ubierania się.

Wnioski te w zasadzie i w ogólnym zarysie wydają mi się słuszne, widzę jednak dobrze, co w praktyce utrudnia nieraz ich urzeczywistnienie i poniekąd tłumaczy niechętny stosunek niektórych ludzi do całokształtu tworzącej się stopniowo „nowej” obyczajowości.

Entuzjasta słońca i powietrza, uradowany i słusznie uradowany zdobytymi na koniec możliwościami, odczuwający możliwość pozbycia się krępującego ubrania jako zwolnienie z niehigienicznego więzienia, łatwo o tym zapomina, że słuszne i pożyteczne nowości obyczajowe pojawiły się równocześnie z nowościami innymi, które ani słuszne ani pożyteczne nie są, a są przyjmowane do wiadomości pod jedną i tą samą idiotyczną etykietą „nowoczesności”.

I tak np. rozpowszechnił się jeszcze w czasach wojny sposób ubierania się wygodniejszy i zdrowszy, i to jest nie-

wątpliwie dobre. Jednocześnie jednak rozpowszechniło się nieznane przedtem używanie na codzień pudru, szminki i różnych barbarzyńskich zabiegów kosmetycznych, jak np. wyskubywanie brwi, co nie jest ani słuszne ani zdrowe, i co z dążeniem do naturalności i prostoty stoi w rażącej sprzeczności. Podobnie równocześnie z rozpowszechnieniem się zwyczaju plażowania, ze spopularyzowaniem się wioślarsstwa i turystyki pieszej przyszła mania dancinżowa, kawiarniana i specjalnie ponure zidiocenie bridżowe.

Oprócz równoczesności nie mają te zjawiska nic ze sobą wspólnego. Są nawet sobie wrogie i diametralnie przeciwne. Plaża i przystań wioślarska jest zdrowym protestem przeciw „salonowi”. Kawiarnia, dancinż i bridż są dalszym ciągiem „salonu”. Inni też ludzie tworzą i podtrzymują te równoległe, ale przeciwne sobie zjawiska obyczajowe. Człowiek uczciwy i rozsądny z niewypowiedzianym uczuciem ulgi pozbywa się wszelkich kołnierzyków, marynarek, pończoch, butów i innych krępujących akcesoriów ubrania i gdy tylko może ucieka nad wodę, do lasu, czy w góry na otwarte powietrze i pod świecące słońce. „Salonowy” głupek o tych świeżo zdobytych możliwościach, których potrzeby wcale nie odczuwa, przeważnie nic nawet nie wie. Przesiaduje też nadal w zamkniętych i zadymionych lokalach, ogłupiając się bridżem tak samo, jak niegdyś również ogłupiał się wintem, a dawniej jeszcze jakimś faraonem. Podtrzymuje skrupulatnie tradycje „dotychczas obowiązujących norm obyczajowych” i zewnętrznej, powierzchownej „elegancji”, pokrywającej, w sposób symboliczny dla całej w ogóle moralnej i umysłowej kultury „salonu”, brak rzeczywistego i rzetelnego porządku.

Ale dla oczów stojącego na uboczu „moralizatora” te oddzielne i sprzeczne z sobą prądy zlewają się widocznie w jedno na pozór jednolite koryto „nowoczesnego zepsucia”.

Takie bałamutne sądy są tym bardziej możliwe, że te sprzeczne i wrogie sobie prądy niekiedy się nawet z sobą mieszają. „Salon” spływa niekiedy na „plażę” jak zawartości miejskich kanałów do czystej wody rzecznej. Z chwilą gdy „plaża”, wywalczona przez entuzjastów powietrza i słońca,

stała się każdemu dostępnym dobrem powszechnym, zjawiają się oczywiście na niej, czy to przez ciekawość, czy przez proste naśladownictwo także i ludzie, którzy z pierwotną ideologią „plaży” nie mają nic wspólnego. Zjawiają się tam i urodzeni „salonowcy”, przynoszący wiadome swoje zainteresowania... i te obyczaje i sposoby zachowania się, które ks. Podoleńskiemu słusznie się nie podobają, ale które on niesłusznie uważać się zdaje za nowy wytwór „plaży”, podczas gdy są to bardzo stare pozostałości dawnej obyczajowości „salonowej”, ukazujące się tylko w uczciwym świetle słonecznym we właściwej swojej a moralnie niechlujnej postaci.

Przyznać też trzeba i to, że głupota ludzka z rzeczy najsluszniejszej potrafi niekiedy zrobić coś najzupełniej niedorzecznego i całkowicie sprzecznego z intencjami ludzi, którzy pierwotnie rzecz tę wprowadzali. I tak swobodne używanie słońca i powietrza może się niekiedy zmieniać, jak o tym pisze ks. Podoleński (na str. 65), w skomplikowany, mozolny, nudny i krępujący zabieg kosmetyczny, ale i słuszną zasadą umiarkowania w jedzeniu i piciu bywa niekiedy stosowana w ten sposób, że niektóre osoby przez usilne głodzenie się i odchudzanie, dla zachowania tzw. „linii” doprowadzają się do ciężkiej choroby, a nawet i śmierci.

Takie wypadki swoją jaskrawą niedorzecznością rzucają się w oczy, wywołują krytykę i przesłaniają wypadki bez porównania jednak częstsze, gdy te same zasady stosowane są w sposób rozsądny i użyteczny, i właśnie dlatego nie narzucający się uwadze.

W ten sposób, przy użyciu prawdziwych lecz raczej wyjątkowych faktów, powstaje w świadomości piszącego i czytającej publiczności potworny skarykaturowany obraz obyczajowości tzw. „nowoczesnej”, w którym wyjątkowe zboczenia tej obyczajowości całkowicie przesłaniają to, co jest w niej znacznie powszechniejsze a słuszne i pożyteczne.

A przecież nie wyjątkowe wykolejenia są tutaj ważne, i nie one są nowe, bo wykolejeń, i to znacznie groźniejszych nie brakło i dawniej. Ale te zdobycze słuszne a do niedawna niedostępne, które stały się dobrem powszechnym

i z których może korzystać każdy, kto ich potrzebę odczuwa.

Ważnym jest to, że możliwym się stało, przy odrobinie śmiałości, ubranie się w lecie rozsądnie i zdrowo, bez narażenia się na aresztowanie i wywoływania zbiegowiska, co nie było możliwym jeszcze lat temu czterdzieści, gdy jakie takie dostosowanie ubrania do rozsądku (np. odrzucenie przez kobietę gorsetu) wymagało wcale wielkiej odwagi cywilnej.

O tych zdobyczach, otwierających zamknięte przez długie wieki perspektywy zdrowia i radości, znacznie bardziej warto by się rozpisywać, z należnym tutaj uznaniem i entuzjazmem, niż o pewnych wykołajeniach ruchu, który jak to przyznaje ks. Podoleński, jest w zasadzie zdrowy i słuszny.

Jest rzeczą zarówno niezrozumiałą jak wysoce drażniącą, że nieomal wszystko, co się na temat ewolucji obyczajowej ostatniego czterdziestolecia zdarza przeczytać, ogranicza się, z bardzo rzadkimi i nieśmiałymi wyjątkami do niepokraczywych, a nieraz brudnych dowcipów, uszczypliwych wzmianek i patetycznych „wyrazów oburzenia” rzekomo moralnego, świadczących o niesłychanym prymitywizmie zarówno obserwacji jak i wnioskowania.

Przydałaby się dla tych elukubracji przeciwwaga w postaci artykułów czy nawet książek, traktujących ten temat w sposób choćby nawet krytyczny, ale rzeczowy i... bardziej inteligentny.

Temat ze wszecch miar na to zasługuje. Ewolucja obyczajowości ostatnich lat czterdziestu jest przecież, bądź co bądź, co najmniej równie doniosła, a także i ciekawa, jak jakaś ewolucja form literackich czy reżyserii kinematograficznej. Dlaczegoż ludzie piszący zdają się jej na ogół wcale nie spostrzegać? Zdaje się, że właśnie praktyczna i realna doniosłość tej ewolucji odstrasza od jej omawiania, sprawia, że ludzie boją się ponieść odpowiedzialność za wypowiedziane zdanie, „zaangażować się”, czy może ośmieszyć.

Toteż ks. Podoleński dał dowód wyjątkowej szczerości poglądów i odwagi cywilnej, ogłaszając na ten niepopularny i niebezpieczny temat poważny artykuł w poważnym piśmie,

i przy wszelkich szczegółowych zastrzeżeniach podkreślając ważność i słuszność omawianego przez siebie prądu obyczajowego.

Żleby było, żeby tak pożyteczna inicjatywa padła jak kamień w wodę, w milczącą i obojętną próżnię, nie wywołując żadnego echa.

Dlatego też nawiązuję do artykułu ks. Podoleńskiego moim artykułem, mającym w każdym razie tę wartość, że omawiam w nim z punktu widzenia szczegółowej praktyki i realizacji ewolucję znaną mi najbliżej nie z zewnętrznej dorywczej obserwacji, dającej okazję do tylu nieporozumień i fałszywych interpretacji, ale z osobistego i bezpośredniego w niej udziału prawie od jej początku.

Może to „odrzucenie piłki” poruszy przecież martwą wodę zupełnego milczenia i wywoła tak pożądaną dalszą dyskusję, która by ludziom uświadomiła bezcenną wartość zdobytego, czy raczej na nowo odzyskanego dobra i nauczyła nie mieszać go z równoczesnymi, ale czasowo tylko z nim związanymi szkodliwymi wykolejeniami obyczajowymi.

Henryk Jasiński.

Holandia w wirze zawieruchy.

Holenderski klimat.

Królestwo holenderskie przedstawia klasyczny typ państwa kupców. Dzisiejsi Niderlandczycy to naród głęboko pokojowy i przygodom niechętny; oddają się z zapałem zajęciom przemysłowym, zarówno jak piśmiennictwu i nauce. Okazując niewielką skłonność do szabli, żywią natomiast w duszy obok antymilitaryzmu poszanowanie istniejącego porządku w dziedzinach wewnętrznej i społecznej podobnie jak w zakresie spraw międzynarodowych. Lubią typową mieszczańską czystość i hodoją swe ciasne mieszczańskie szczęście, które niekiedy przypomina szczęście... małża. Wedle prenazistowskiej terminologii Sombarta, wcielają typ kupca, handlarza, przeciwstawiający się ludziom - bohaterom, rozgorzałym namiętnością walki. *Vivere pericolosamente*, to hasło nie bardzo uśmiecha się przeciętnemu Holendrowi, mniej jeszcze aniżeli jego francuskiemu odpowiednikowi. Wszystko musi być prawidłowe, pewne, przewidziane. Wszystko musi rozwijać się wedle zwyczaju w ramach niewzruszonej praworządności, bez naruszania dobrze zasłużonych praw jednostki, bez pośpiechu, który z konieczności musiałby ranić poczucie wypoczynkowego błogostanu. Ludzie śpieszący się, w bujności swej zmienni, burzyciele uświęconego *status quo*, tracą — przez swój nieprzystojny dynamizm — prawo do najszczytniejszego z przymiotników, określających szanownego i szanowanego Holendra: nie są *deftig*.

Niderlandczycy łudzili się przez czas dłuższy, że ich antywojenne ideały wezmą górę — albo już ją wzięły — nad nieludzkimi i nierozumnymi zachciankami minionych wieków.

I oni przecież walczyli z orężem w dłoni w obronie własnych granic oraz potęgi kolonialnej. Ale już od dawna nastała godzina pożywania owoców przeszłości. *Ich sitze und besitze* — „zasiadam i posiadam” mówiono sobie nad ujściem Renu, podczas gdy w tej samej chwili nowocześni Zygfrzydzi potrząsali groźnie mieczami, gotując się do aktów przemocy nad własnością ludzi słabych i godnych pogardy.

Zaślepieni Holendrzy uwierzyli w Ligę Narodów, w geneński „Covenant”, w Locarno, w gromadzkie bezpieczeństwo, nade wszystko zaś — w pocziwą niemiecką demokrację. Tymczasem jedyne poważne zagadnienie holenderskiej polityki zagranicznej streszcza się właśnie w słowie: Rzesza, ponieważ — jak z wszelkiej oczywistości wynika — żadne z zachodnich mocarstw nie żywiło ani nie żywi w stosunku do Holandii jakich bądź napastniczych zamiarów. Dopóki trwała Republika Weimarska, nie istniała także żadna groźba ze strony Niemiec. Z nastaniem narodowego socjalizmu położenie zmieniło się od a do z. Ideologia rasistowska dąży do zjednoczenia wszystkich germańskich ziem pod berłem *Führer’a*. Dla ustalenia, co mianowicie ma podlegać wcieleniu w granice hitlerowego „imperium”, sięgają Niemcy nie tyle do bliskiej przeszłości, ile do mitycznych pradziejów albo do średniowiecza, dwóch okresów niemieckiej świetności. W obydwu tych okresach Niderlandy stanowiły część germańskiej społeczności, względnie — jak w latach późniejszych — Świętego Cesarstwa. Niderlandczycy byli po prostu jedną z odrośli ludności północno-niemieckiej. Faktyczna niepodległość „Zjednoczonych Prowincyj” datuje się od w. XVI, pod względem prawnym natomiast otrzymała potwierdzenie dopiero na mocy układu Westfalskiego i w r. 1648. W każdym razie mieszkańcy tych ziem stanowią od końca średniowiecza lud oddzielny, o własnym sumieniu gromadzkim oraz poczuciu narodowej odrębności od Niemiec. Ta wszakże niderlandzka przemiana nosi w oczach „czystych” nazistów zbyt świeże piętno, ażeby można było przyznać jej ostateczny charakter; wcześniej czy później Holandia wraz z Flandrią winny „powrócić” do Rzeszy.

Podobne fantazje nie szkodzą nikomu tak długo, dopóki stanowią igrzyszkę teoretyków i uczonych profesorów.

Toteż Holendrzy nie wzruszali się zbyt wymierzonymi w nich elukubracjami, których naukowej interpretacji podjęli się między innymi Banse i Spahn. Czy to w Hadze czy w Amsterdamie rozumowano z wrodzoną flegmą i poczuciem rzeczywistości: że nawet w ustroju tak przesyconym ideologią, jakim jest mesjanizm swastyki, państwo przedsięwzięć wojnę zdobywczą jedynie w warunkach minimalnego ryzyka przy równocześnie istniejących widokach na namacalne korzyści gospodarcze czy strategiczne.

To wystarczyło dla uspokojenia Holendrów. Katolicy, kalwini i niewierzący bez różnicy przejęli się duchem pewnej modlitwy chłopów austriackich: *Heiliger Florian, verschon' unser Haus, zünd' andre an!* „Święty Florianie, oszczędź nasze mienie, rzuć innych w płomień”. Istotnie, zamiary Berlina zwracały się raczej ku Wschodowi. Istniała zresztą pewniejsza rękojmia bezpieczeństwa aniżeli zmienna polityka *Führer'a*: a stanowiło ją kilka zdań z *Mein Kampf'u* stwierdzających niezłomne postanowienie pozostawienia Królowej Oceanów w spokoju.

Przyszło jednak rozczarowanie. Z wielkim żalem stwierdzono upadłość koncepcyjnej „masy” genewskiej. Pozostała więc ostatnia deska ratunku: moralna niedopuszczalność wojny germano-brytyjskiej. Przecież Anglia nie pozwoliłaby nigdy na to, ażeby groźna potęga niemiecka usadowiła się niedaleko od Londynu, wszak Napoleon powiedział kiedyś o Antwerpii: „pistolet wymierzony w serce Anglii”. Można rozszerzyć to powiedzenie na całe państwo królowej Wilhelminy ze względu na istniejące tam idealne oparcia lotnicze oraz niedostępne niemal kryjówki nadbrzeżne, wymarzone legowisko dla łodzi podwodnych i wojennych torpedowców. Czysty zatem instynkt samozachowawczy pobudzi Brytanię do obrony Holandii i zakazania wstępu do niej Niemcom.

Tak przynajmniej wyglądało mniemanie powszechne u Holendrów aż po wiosnę bieżącego roku. Pesymistyczna mniejszość sądziła, że Rzesza cofnie się w obliczu angielskiego veta. Zwarta, optymistyczna większość podzielała przekonanie pewnego długoletniego i poważnego czasopisma zwanego *Nederland*. Wspomniany przegląd drukował jeszcze w styczniu br. co następuje: „Nawet gdyby nie istniały: Anglia,

Francja oraz Ameryka, Niemcy będą równie mało myśleć o zajęciu Niderlandów, jak o aneksji Czech albo o pozostawieniu Słowacji wraz z Rusią Polsce czy Węgrom". Sprawa sudecka Niemcom zaskoczyła a nawet zgorszyła spokojnych *Mijnheer*ów, ale wrażenie trwało krótko i nie przeszkodziło im wrócić niebawem do zwykłej niefrasobliwości: „*Führer*, szermierz nacjonalizmu posiada tym samym odporność na wszelkie aneksjonistyczne zachcianki. I cóżby mieli robić holenderscy zapaleńcy osobistej wolności na pokładzie germańskiej galery?”

Alarm.

Jednakże kilku wtajemniczonych, kilka przodujących umysłów spośród polityków, ekonomistów i wojskowych, dostrzegało nadciągające niebezpieczeństwo. Polityczni przywódcy, między którymi znajdowali się kierownicy prądów pokrewnych narodowemu socjalizmowi, będący jednak zarazem — żarliwymi patriotami, spodziewali się, że rozrost Niemiec nie zatrzyma się u granic językowych, wiedzieli bowiem, że państwo oparte na sile podlega nieuchronnej konieczności rozpościerania się na wszystkie strony i ustawicznego posuwania się naprzód. Finansiści przeczuwali urok, jaki ich ziemia wywiera na Niemców. Jej bogactwo, położenie geograficzne u ujścia trzech najważniejszych dla europejskiego handlu dróg rzecznych, kwitnące kupiectwo, przemysł, banki, hodowla na wielką skalę, a wreszcie kolonie — wszystko to stanowiło o przeznaczeniu Holandii do niecodziennego zaszczytu, aby została połknięta kiedyś przez smoka, któremu na imię: germański *Lebensraum*. Na koniec, pobudki wojskowej czy raczej wojennej natury skłaniały Berlin do stawienia czoła ewentualnym gniewom brytyjskim.

Strategowie *Reichsheer*u badali już od dawna możliwości najazdu na Francję. Ich napastnicze zamysły, podejmujące z pewnymi zmianami wielki plan Schlieffena, uderzają rażąco oczywistością. Jednakże załamują się one na linii Maginota. Toteż generałowie niemieccy mieliby do wyboru pogwałcenie neutralności belgijskiej bądź szwajcarskiej, ażeby za tę cenę ominąć pas ze stali i betonu, umacniający przyrodzoną przeszkodę w postaci Renu i Wogezów. Hel-

wecka hipoteza istnieje, ale jest mniej ponętna. Federacyjne wojsko dotrzymałoby niewątpliwie placu napastnikowi. Posiada ono obecnie niepośledni system fortyfikacyjny, w razie potrzeby zaś znalazłoby oparcie o przedłużenie linii Maginota, zamykające dostęp do środkowych części Francji.

Belgia, zaatakowana wprost, nie byłaby również łatwą zdobyczą. Rozporządza armią doskonale wyćwiczoną, wyborowym materiałem obronnym, dowódcami wysokiej klasy. Na wschodniej swej granicy zbudowała system obronny doskonale przystosowany do miejscowych warunków terenowych. Stanowiłby on — w razie czego — mocną zaporę zdolną powstrzymać nieprzyjaciela przez szereg tygodni i miesięcy, a więc tak długo, dopóki połączone siły franko-brytyjskie nie zdołają zorganizować defensywy.

Głównemu sztabowi niemieckiemu pozostawało jedno jedyne wyjście: ominąć także i fortyfikacje belgijskie i przejść przez Holandię. Aż do jesieni ubiegłego roku Belgowie nie strzegli północnej swej granicy, byłoby rzeczą po prostu śmieszną zabezpieczać się przed holenderskim sąsiadem. Gdyby więc wojska *Führer'a* mogły przejść bez przeszkody przez Niderlandy, miałyby zapewniony szybki dostęp do belgijskiego terytorium oraz do tyłów armii belgijskiej. We wrześniu, ubiegłego roku, wszelki opór ze strony Holandii byłby daremny. Niemcy spodziewali się przebyć błyskawicznie ten odcinek ewentualnego swego pochodu wojennego, a wiedzieli tylko ponadto, że u wybrzeży kanału króla Alberta powita ich z bronią w ręku wojsko belgijskie, oraz, że na holendersko-belgijskiej granicy wyrastają jak za zakłębieniem fortyfikacje. Jednakże pomimo tych zbrojeń i przygotowań, Niderlandy nie byłyby uniknęły grożącego im najazdu, gdyby wojna była wybuchła z powodu Sudetów, na jesieni ub. roku.

Taki był pierwszy alarm. Czujne umysły skorzystały rzetelnie z lekcji. Narodowy ogół skorzystał z niej tylko po to, aby częściowo wpaść ponownie w swój zwykły błógostan: „układy Hitler — Chamberlain stanowią najlepszy dowód, że *Führer* poważa się na wszystko z wyjątkiem zażartu z Anglią i najazdu na Holandię; że kanclerz działał w imię nacjonalizmu, że szanuje „małe” narody i ich nie-

podległość, o ile te nie wyzywają wielkiej Rzeszy, swej sąsiadki i przyjaciółki..." Nauka czeska nie poszła wprawdzie w las, ale zdawała się być rozumianą zupełnie na opak.

Ale ótóż i marcowe Idy 1939. Po Szekspirowskiej nocy Czesi budzą się pod obcym protektoratem. Stara ziemia św. Wacława zaczyna nagle sięgać aż do morza..., tak jak tego pragnął Łabędź z Avonu (Szekspir). Rzesza powołuje się przy tym już nie na głos niemieckiej rasy i krwi, ale na nieboszczyka... święte eks-Cesarstwo. Ruś powraca do Węgier. Czyżby *Nederland* miało swego czasu jasnowidzenie? Czyżby słusznie przepowiedziało wcielenie w niedalekiej przyszłości Holandii do Niemiec? Niebawem rozpadła się w gruzy druga podwalina holenderskiej pewności. Londyn poważnie poróżnił się z Berlinem. Na widnokręgu ukazało się ponownie widmo wojny.

Holandię ogarnęła panika. „Wielki strach“ rozszerzył się od szczytów aż po najgłębsze podstawy społeczeństwa, aż po najdalsze granice Królestwa. Okazało się niebawem, że miał swe uzasadnienie. Oto kilka niezbitych danych. W wyniku niepomysłnych kroków wszczętych przez Rzeszę przy polskiej ambasadzie w Berlinie, jako też w wyniku rumuńskich pertraktacyj p. Wohltata, wytworzył się stan przesilenia, który skłonił rząd brytyjski do poczynienia pewnych wywiadów u kierowniczych czynników holenderskich. Dnia 30 marca doszło do wiadomości tych ostatnich, że Rzesza zaniepokojona wymienionymi posunięciami gotuje zamach na Niderlandy. Za czym pierwszy minister królowej Wilhelminy razem ze swym kolegą z Obrony Narodowej, uczuli gwałtowną potrzebę wypoczynku w Belgii i spotkania tam — niby przypadkiem — kilku znakomitych osobistości.

Wyniki tej sielankowej wyprawy nie były zbyt pocieszające. Cała bezsilność militarna Holandii ujawniła się w pełnym świetle dziennym, skoro tylko poruszono zagadnienie wspólnego oporu belgo-holenderskiego. Niemcy dały znać przez swego przedstawiciela, że będą uważały za akt nieprzyjaźni wszelki sojusz wojskowy pomiędzy Hągą a Brukselą, zarówno jak wszelkie porozumienia zapobiegawcze pomiędzy Holandią a potęgami demokratycznymi.

Słowem naród holenderski zdał sobie sprawę z tego, że nie pozostała mu inna droga, jak naśladowanie belgij-

skiego przykładu i troszczenie się samemu o własną samobronę. Należało odrodzić armię i wojennego ducha, pokazać ewentualnemu napastnikowi, że mógłby się narazić na poważne straty, wreszcie głosić szeroko ideę niepodległości. Sojusze i pomoce zewnętrzne nadejdą w swoim czasie i w odpowiedniej chwili siłą samej logiki faktów oraz wydarzeń: „Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże!” — możliwe, że za pośrednictwem Anglii, Francji czy Belgii.

Lepiej późno niż wcale. Opinia publiczna wysłuchiwała tej rady, a Holandia złożyła nieoczekiwany dowód wspaniałego rozwoju militarnego, który przekraczał niekiedy granice niemal pociesznej przesady. Patriotyzm przejawiał się w gwałtownej złości przeciwko Trzeciej Rzeszy i jej władcom, tym gwałtowniejszej, im silniej obstawano dawniej przy pacyfistycznych złudzeniach.

Holenderskie wojsko.

Od czasu Wielkiej Wojny dokonano niezaprzeczonego i znacznego postępu. Obowiązkowa służba wojskowa, dawniej sześciomiesięczna, trwa obecnie 15 miesięcy dla konnicy, 12 zaś dla innych rodzajów broni, a ma być w bliskiej przyszłości przedłużona jeszcze do 2 lat trwania. Motoryzacja wojska postępuje pośpiesznym tempem. Na koniec pokryto wschodnią granicę siecią robót fortyfikacyjnych. Jednakże poważny czynnik wstrzymywał jeżeli nie udaremniał aż do niedawna wszystkie te wysiłki. Czynnikiem tym było skąpstwo w stosunku do zagadnienia obrony narodowej, wada wypływająca z istoty charakteru współczesnego narodu i państwa holenderskiego.

Nie od dzisiaj przywódcy wojskowi proszą o środki dla stworzenia holenderskiej linii Maginota, wymagają reformy poborowej i zwiększenia ilości żołnierzy. Niestety, samo już utrzymanie armii indyjskiej oraz marynarki wywoływało skargi na niedopuszczalne rozchody budżetowe. Na tę negatywną postawę składał się zresztą wrodzony wstręt niderlandzkich mieszczan do „żołnierstwa” i do wszelkich spraw wojennych. Około 1930 roku, tzn. w okresie lokarneńskim wojsko holenderskie liczyło 16,000 ludzi na stopie pokojowej, gdy sąsiednia Belgia o takiej samej w przybliżeniu

liczbie ludności w tym samym czasie utrzymywała pod bronią blisko 90,000 ludzi. A jednak i ta szczupła liczba nie podobąca się Holendrom. Niedalecy byli już od wzoru duńskiego, od całkowitego rozbrojenia.

W następstwie porzucono te błędy. Jednakże wojsko niderlandzkie cierpi ciągle na dofkliwy niedostatek wykształconych rezerw. Uświadomieni obserwatorzy określają maksimum oficerów i żołnierzy naprawdę użytecznych w polu na 300,000 ludzi w razie powszechnej mobilizacji. Belgia posiada siły trzy razy większe, Szwajcaria liczy 450,000 żołnierza liniowego. (Konfederacja Helwecka posiada dwa razy mniej ludności aniżeli Królestwo Holenderskie). Jeżeli chodzi o formacje wykształcone, te budzą zaufanie, podobnie jak duch armii, najzupełniej jest zadawalający. W razie potrzeby odżyją stare cnoty rycerskie i chwalebne tradycje Batawów.

Jedna z tych tradycji stanowi dzisiaj doniosły, jeżeli nie największy atut w zagadnieniu holenderskiej obrony. Wielkie obszary kraju znajdują się pod poziomem morza. To pozwala Holendrom na użycie ostatecznego środka przeciwko przeważającym najeźdźczym siłom słynnej Waterlinie, utrzymywanej w ustawicznym pogotowiu. Wystarczy zerwać tamy, aby zatopić całe dzielnice. Tak uczyniono w roku 1672 w walce z Ludwikiem XIV, tak zamierza się uczynić dzisiaj przeciwko wojskom *Führer'a* i to „w rekordowym czasie 12 godzin“, jak zapewniał niedawno b. minister belgijski Crokaert. Nie są to widoki świetne, ale lepsze niż dawne „nic“. Tym sposobem Anglia może zyskać na czasie, aby pośpieszyć z nieodzowną pomocą; dla Belgii jest to jeden powód więcej do uspokojenia. Albowiem niemieckie siły, które przez Limburg holenderski natarłyby na kanał Króla Alberta i Leodium, znajdowałyby się pod ustawiczną groźbą narażenia swego prawego skrzydła, tymczasem zaś zachodnia koalicja mogłaby stworzyć potężną i skuteczną wspólną linię obronną.

Zagraniczna polityka holenderska.

Czy nie byłoby lepiej utworzyć blok już teraz w czasach pokoju czy pseudopokoju, którym — jak dotąd — wolno nam się cieszyć? Na pierwszy rzut oka byłoby to

bardzo naturalne i słuszne. Zarówno w Hadze jak w Brukseli sympatia olbrzymiej większości narodu zwraca się ku mocarstwom zachodnim, a przynajmniej antypatie występują bardzo żywo przeciwko Trzeciej Rzeszy. Sposób myślenia, zwyczaje, obyczaje i całe życie codzienne zbliża obydwie państwa, powstałe z dawnych Niderlandów, do Londynu i do Paryża, a oddala je od Berlina. Imperializmy angielski i francuski, cnotliwe i mądre, bo postarzałe i syte, przestały zagrażać Belgii i Holandii, które natomiast mogą obawiać się wszystkiego ze strony Rzeszy. Zjednoczone, mogłyby łatwiej stawić czoło wspólnemu wrogowi. A wreszcie dla czego miałyby wahać się z otwartym ogłoszeniem — za pośrednictwem prawidłowych układów, tego, co urzeczywistniłoby się niewątpliwie w razie wybuchu wojny powszechnej: swojej solidarności z Zachodem? Czyż przyłączenie Holandii do tzw. „frontu obrony europejskiej” nie powiększyłoby możliwości pokoju? Prasa oraz polityczny świat anglo-francuski, powtarzał to niejednokrotnie. Dla niego bowiem zarówno całe postępowanie jak i rzekome wahania holenderskie przedstawiają niewytłumaczalną zagadkę.

Dlaczego Holandia, posiadając tak szczupłe wojsko, mobilizuje swoje 50,000 ludzi przeciwko Niemcom, które w razie zatargu zalałyby ją milionową powodzią arcy-wojowniczych żołnierzy. Holandia rozwija przed światem swą potęgę czy raczej bezsilną militarną. Dlaczego jednocześnie tak szanuje wrażliwości germańskie, tak zapewnia o najściślejszej swej neutralności i wzorowej sąsiedzkiej postawie? A z drugiej strony jakąż nienawiścią przeciwko Niemcom dyszy holenderskie dziennikarstwo, nie tylko czerwone czy liberalne, ale także czasopisma katolickie, protestanckie, konserwatywne a nawet rasistowskie! Dziennikarze zaś ograniczają się jedynie do przytakiwania opinii publicznej! Jej sądy są nienawistne i bezwzględne. Pewien rasistowski przywódca, człowiek wysoce wykształcony, zapewnił mnie ze szczerością dorównującą zapałowi, że sąsiedzi ze Wschodu nie posiadają żadnego wielkiego poety, nie wyłączając Goethego...!

Tak więc Holandia żyje obecnie pod ustawiczną groźbą najazdu. Otrzymuje codziennie świeże transporty nazistow-

skich agentów oraz.. uciekinierów: jak jedni tak i drudzy są zarówno drodzy i „mili” sercu poddanych królowej Wilhelminy. Interesy kupiecko-przemysłowe cierpią na skutek niepewności położenia; wzrastają podatki oraz wszelkie ciężary publiczne. Zapytajcie największego szowinistę albo największego holenderskiego demokratę i antyfaszystę: co sądzi o sojuszu z Francją i Anglią lub o przymierzu obronnym z Belgią? Na pewno odpowie wam: „nie”! Zapytajcie o przyłączenie się do antygermańskiego bloku — odmówi z całą stanowczością. Holendrzy sprzeciwiają się porzuceniu neutralności ponieważ dla nich wiąże się ona nierozdzielnie z niepodległością. Nadto stoją za nimi wspomnienia dziejowe, które niekoniecznie przemawiają na korzyść Francji czy Belgii a nawet Wielkiej Brytanii.

Jak to wygodnie czasami mieć sumienie dziejowe czyste. Potomkowie Trompa i De Ruytera ciągle jeszcze wspominają utratę państwa kolonialnego, które dzisiaj należy do Anglii; pamiętają też kilkakrotne najazdy francuskie a wreszcie uznanie belgijskiej niepodległości, której wprawdzie Francuzi nie zaprzeczają, ale która niemniej przeto wyrosła na podłożu głębokiej wzajemnej antypatii, jaką żywią do siebie dwie bratnie narodowości. Względy gospodarcze potęgują pobudki zaczerpnięte z doświadczenia minionych wieków. Poza tym istnieje jeszcze owa niezgodność holenderskiego usposobienia, którą można stwierdzić natychmiast po przekroczeniu granicy. Holandia to świat osobny, zazdrosny o swoją autonomię i umysłową autarchię. Jeżeli świat ten zgadza się na import z obcych krajów, jeżeli ma oczy otwarte na zagranicę na Ocean i ziemie zamorskie, to wszakże przekształca do głębi i przyswaja sobie na własność wszystko cokolwiek przyjmuje z zewnątrz. Wielorakość stosunków, znajomość wielu języków i wielu obcych cywilizacji zabezpiecza naród holenderski przed uzależnieniem się od jakiegoś jednego narodu. Zachowuje on sobie wolny wybór wpływów i zamierza stosować tę swobodę wyboru także w dziedzinie zagranicznej polityki.

Holender może szaleć z powodu Racine’a czy Corneille’a, może wielbić Ravela albo d’Indy, ale Holender wykształcony jest w każdej chwili panem siebie i może zwrócić

się równie dobrze ku Hölderinowi albo Stefanowi George, ku Wagnerowi czy Straussowi. I doradcy królowej Wilhelminy, a zarazem jej wierni poddani, także zachowują sobie swobodę prowadzenia rozmów: dzisiaj z Francją i Anglią, jutro zaś z Rzeszą, bez uprzedzeń ale i bez narażenia narodowej niepodległości. Te uczucia znalazły oddźwięk w ministerialnych oświadczeniach, które wypowiedziały się przeciwko wojskowym sojuszom z Belgią, jakkolwiek jednocześnie podkreśliły pragnienie dobrych stosunków sąsiedzkich oraz pokojowej współpracy. Te same uczucia doznały potwierdzenia w rozmowach prowadzonych z pełnomocnikami trzech wielkich mocarstw, głównie zainteresowanych Holandią, a także w odmowie przyjęcia jakiej bądź gwarancji, nawet jednostronnej w sprawie holenderskiej niepodległości.

To wszystko, co powiedzieliśmy dotąd, może budzić krytykę lub sprzeciwy. Niemniej przeto stanowi zasadniczy fakt батаwskiej polityki, fakt, którego żadne odwoływania się do rozumu nie zdołają udaremnić. Niech królowa Wilhelmina przyjmuje odwiedziny młodego i urodziwego króla Leopolda III i niech je odwzajemnia; niech Belgia i Holandia obchodzą święto wzajemnej przyjaźni, niech wszystkie dzienniki i środowiska biorą stronę Francji i Anglii przeciwko Niemcom i Włochom, niech publiczność oklaskuje artystów paryskich a przyjmuje sykiem i gwizdami sportowe zespoły berlińskie, niech Holendrzy sami dziś uznają własną słabość i wady swego uzbrojenia: nic to nie zmienia położenia: Holandia zachowa dumną swą samotność aż po ostatnią minutę. Być może, że na tym właśnie polega jej najwyższa mądrość polityczna.

Prawdopodobnie jest to jedyny sposób dla opóźnienia a tym samym uniknięcia najazdu niemieckiego, o ile przez ten czas zajdą w ogólnym położeniu zmiany korzystne dla mocarstw statycznych. Licząc wyłącznie na siebie samą, Holandia usuwa wszelki powód do głośłownych zarzutów i zaczepiek. Zarazem jednak nie traci przy tym wolnej ręki w wyborze sympatii, które u jej obywateli zwracają się głównie ku społeczeństwom antytotalistycznym; nie traci również swobody ostatecznych postanowień na wypadek

wojny. Holandia będzie usuwać się od wszelkich koalicyj, ale nigdy nie przyłączy się do obozu germańskiego ani nie da przejścia obcemu napastnikowi. Gdyby miała paść ofiarą najazdu czy pogwałcenia neutralności, szybko pośpieszą jej na pomoc ci, którzy są jej — z przyrodzenia — sprzymierzeńcami i opiekunami, ale którzy w czasach pokoju nie będą nigdy jej oficjalnymi partnerami.

Taka polityka zagraniczna odpowiada pewnym prawom wewnętrznej natury, prawom których żadne państwo nie może naruszyć bezkarnie. Przeznaczenie olbrzymiej *Maatschappij*, jaką jest królestwo holenderskie, stanowi dyplomacja kupiecka. Dyplomacja ta musi czuwać nad źródłem dobrobytu, Indiami Holenderskimi, które są na łasce Wielkiej Brytanii, dlatego nie może narażać się Anglii, z drugiej zaś strony nie będzie zadrażniać również groźnego sąsiada od wschodu, ten bowiem jest gotów rzucić się z pazurami na metropolię. Rozwaga i ostrożność, skromne dyskretne milczenie, wstręt do wszelkiego udziału w wielkich światowych zatargach, wreszcie stanowcze postanowienie poświęcenia w razie potrzeby wszystkiego na ołtarzu ukochanej wolności — oto jak się wyrażają dążenia holenderskiego narodu.

Wewnętrzna polityka holenderska.

Ani doktryna, ani kasta, ani siła bagnetów, ani żadna inna siła przemocy a jedynie wola narodu określa istotę dyplomacji a tym bardziej i holenderskiej polityki wewnętrznej. Podobnie jak w Belgii, Szwajcarii i w państwach skandynawskich, demokracja nie jest tam pustym słowem, a „panowanie ludu“ nie służy do ukrycia wszechwładzy arystokracji rodowej czy finansowej. Oczywiście dwa te czynniki istnieją również i w Holandii, posiadają wpływy widoczne i niewidoczne, ale doniosłości tych wpływów nie należy przesadzać. Wielka szlachta feudalna i patrycjusze, bogaci i wysoko poważani posiadają niemałe znaczenie w życiu społecznym, pełnią szumnie brzmiące urzędy na Dworze, zajmują prawie wszystkie placówki dyplomatyczne i zdobią swym imieniem niejednen wyższy urząd administracyjny. Faktycznie jednak posiadają niewielką rolę polityczną, nie kierują

losami ojczyzny. Potentaci finansowi cierpią zarzuty sprawowania potajemnej dyktatury, jednakże nie są zdolni do wzmocnienia prądów już istniejących, współpracują ale nie rozkazują. Najlepszy tego dowód stanowi przemiana wewnętrznej polityki holenderskiej. Na czele holenderskiego ruchu nazistowskiego stali opiekunowie tak w świecie finansów potężni jak nieboszczyk Sir Henri Deterding albo p. Roost van Tonningen, a przecież nie potrafili oni zapewnić temu ruchowi powodzenia na wielką skalę a jeszcze mniej przodującego stanowiska w społeczeństwie. Podobnież kilku finansistów żydowskich na próżno wspierało propagandę komunistyczną. Na większość Holendrów działania tych politycznych finansistów nie wywierają żadnego wpływu. Naród w dalszym ciągu chce spełniać własną wolę a nie znosić prawa niekoronowanych królów.

Królowa jest tylko jedna: władczyni z Bożej Łaski i przyzwolenia poddanych, Jej Królewska Mość Wilhelmina. W ramach konstytucji holenderskiej rozwija ona skuteczną działalność, równie dyskretną jak zbawienną. Rozumie się doskonale z własnym narodem, z którym łączą ją węzły wzajemnego zaufania i przywiązania. Węzły te utwierdziły się po czterdziestu latach wzorowego panowania; niejednokrotnie poprawiało ono to, co należałoby zganić a przypisać kaprysom ustroju demokratycznego choćby najbardziej rozsądnego. Korona w Holandii ma stanowisko uprzywilejowane. Jest to rzadkie zjawisko, które odnajdujemy również w Belgii i Skandynawii; wykazuje ono a zarazem i wyjaśnia trwałość oraz życiową sprawność holenderskiej demokracji. Stanowisko to opiera się na tradycji i na uświadomionej przeszłości dziejowej nawet wtedy, gdy natrafia tam na niewygodne uprzedzenia jak to widzieliśmy w polityce zagranicznej.

Wewnętrznie demokracja tradycyjna zasługuje wyłącznie na pochwały. Krótki okres niepokoju nastąpił bezpośrednio po Wielkiej Wojnie, gdy rewolucyjna fala antymonarchistyczna dosięgła granic i... tam Holandii. Ale marynarze umieją okiełznać niebezpieczne prądy, i ten prąd również został szybko skanalizowany. Partia socjalistyczna, która w roku 1918 przygotowywała powódź mającą zmyć

z ziemi tron królewski i ślady po nim, przypomina obecnie cichutką wstęgę wody, jakich setki przerzynają szmaragdowe równiny holenderskie. Poczciwi holenderscy „laburyści” zajmują — na sto — 23 fotele w Drugiej Izbie, a 12 — na pół setki — w Izbie Wysokiej. Nie należąc do rządowej koalicji nie przyczyniają wszakże szkody nikomu, kłócą się między sobą na temat egzegezy marksistowskiego koranu, wygłaszają mowy, zwołują mitingi, na których wszyscy uczestnicy mają wygląd okropnie mieszczański i szanowny; a dalej oświadczają się z niezachwianą wiarą w końcowe zwycięstwo socjalizmu i wkładają cylindry oraz surduty, ażeby swoją obecnością uświetnić ceremonie patriotyczne, nie wyłączając obchodów na cześć dynastii. Z tym wszystkim ci umiarkowani wyznawcy II Międzynarodówki głosili niejednokrotnie o swoich uczuciach narodowych i istotnie przyczynili się do tego, ażeby ich ojczyzna stała się wzorem postępu gospodarczego. Dopomogli do zachowania pokoju społecznego i do zabezpieczenia rzesz robotniczych przeciwko zabójczej propagandzie. Słabą stroną tych skruszonych rewolucjonistów stanowi gwałtowny antyklerykalizm. Na ogół są bardzo zapalczywi, ale szaleją jak byk przed czerwoną płachtą skoro tylko ujrzą przed sobą widmo Kościoła. Jedyne poważniejsze zamieszki, jakie od niepamiętnych czasów miały miejsce w Holandii zostały spowodowane antyreligijnymi manifestacjami, którymi kierowali socjaliści.

Ten antyklerykalizm podszyty złośliwym antyfaszyzmem zbliża pokutujących marksistów do radykalnych demokratów. Ci ostatni stanowią stronnictwo na wskrós żydowskie, z burmistrzem Rotterdamu p. Oude na czele, współzawodniczące z liberałami o głosy wielkomiejskiego mieszczaństwa. Liberałowie zatem, radykali oraz socjaliści, czyli opozycja lewicowa stanowią $\frac{1}{3}$ ciała prawodawczego oraz wyborców i nie zatruwają zbytnio życia gabinetowi. Wszelkie hałaśliwe i jaskrawe przejawy stanowią wyłączny przywilej stronnictw skrajnych: komunistów oraz nazistów.

Komuniści mają na sumieniu strajki wśród marynarzy i robotników w dokach oraz jeden niebezpieczny bunt floty w roku 1933. Trzej bolszewicy posłowie odznaczają się stale „kurtuazyjnym” zachowaniem w stosunku do królowej;

zawsze siedzą wtenczas, gdy J. K. Moś wchodzi do parlamentu. U tych „nieskazitelných“ krawaty *a la Valière*, podkreślają najwyższe zaniechanie w ubraniu. Dawniej niejednokrotnie zapewniali oni o swej antynarodowej niesolidarności. Teraz wilki uznały za stosowne udać pustelników albo jagnięta. Głoszą walkę z Hitlerem i czynią się apostołami holenderskiej idei narodowej.

Groźba z zewnątrz wywołała w całym narodzie jednolitą reakcję; nawet naziści odwrócili się od swoich zareńskich przyjaciół i wzorów. Holenderski *Führer*, p. Mussert, towarzysz p. Degrelle, składał jedno oświadczenie za drugim na temat holenderskiego poczucia obywatelskiego. To nie uchroniło go przed utratą połowy głosów, jakimi rozporządzał w roku 1935, w okresie największej świetności stronnictwa. Kontakty wyznane, jakkolwiek niekiedy niewyznawalne, łączące N. S. B. z niemiecką N. S. D. A. P., uniemożliwiły stronnictwu rozpowszechnienie w ojczystym kraju kilku pożytecznych idei, które mogły być wpłynąć tylko dodatnio na odrodzenie holenderskiej demokracji. Gdyby nie te nieszczęsne „przyczepki“ niemieckie, p. Mussert byłby mógł prawdopodobnie odstąpić z wielkim powodzeniem istnienie pewnych żydowskich czynników, które przeniknęły do holenderskiego bytu w sposób bynajmniej niepożądany. Obecnie wszakże wszystko cokolwiek nawet pośrednio pochodzi z Niemiec przejmują Holendrów wstrętem. Od totalistycznej zmyśli woła bodaj najsłabszy ustrój demokratyczny; woła znosić semicką endosmozę, którą prędzej czy później będą zwalczać sposobami ludzkimi i szlachetnymi, aniżeli naśladować hitlerowskie prześladowanie Izraela. Błędy p. Musserta spowodowały rozłam i powstanie tzw. Frontu Carnego, pozbawionego przedstawicielstwa w Izbach, ale grupującego zespół wyborowy pod względem poziomu umysłowego; jest to prąd ściśle spokrewniony z flamandzkim (belgijskim) *Dinaso*, a poczuwający się równocześnie do pewnych zobowiązań wdzięczności względem *Action Française*.

Koalicja rządowa zagarnęła wszystkie placówki kierownicze. Współczesne jej ukształtowanie datuje się od wiosny 1937 roku. W zasadzie jednak początki jej sięgają 1918 roku. Gabinet p. Colijn opiera się na większości złożonej z trzech

stronnictw: dwóch protestanckich i jednego katolickiego; w polityce wyznaje otwarcie zasady chrześcijańskie, pomimo tego wszakże nie posiada charakteru reakcyjnego, ponieważ jedno z ugrupowań katolickich oraz protestanci „Chrześcijaństwo historyczne” bynajmniej nie należą do konserwatystów. Niemniej przeto, antyrewolucjoniści, pełnomocnicy bogatego mieszczaństwa, które stworzyło holenderski dobrobyt, nadają rządowi piętno kalwińskiego tradycjonalizmu, mimo, że rozporządzają tylko 17 mandatami, tj. połową miejsc w Izbach w porównaniu z katolikami. Prezydentura Rady ministrów oraz najważniejsze teki: Wewnętrzna, Skarbu, jako też Obrony Narodowej zapewniają antyrewolucjonistom niezaprzeczną przewagę.

Katolicy mieliby prawo do stanowiska o wiele świetniejszego, są bowiem liczniejsi aniżeli obydwie stronnictwa protestanckie. Jednakże usuwają się dobrowolnie (po długoletnim piastowaniu teki prezydyjnej w gabinecie), a to dlatego, żeby uniknąć rozpętania kalwińskiego *furor evangelicus*. Uczucia antypapizmu żyją jeszcze w Niderlandach, nie tylko żyją, ale są jeszcze dostatecznie potężne, ażeby uniemożliwić chrześcijańskiemu rządowi, który wyszedł z koalicji o katolickiej większości, prawidłowe i stałe stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską! Holenderscy katolicy patrzą trzeźwo. Nie kuszą się o usunięcie głęboko zakorzenionych wstrętów u swych protestanckich współziomków. Dla dobra kraju, dla uniknięcia przesilenia, które mogłoby pogrozić cały ustrój chrześcijański, zadawalniają się stanowiskiem drugorzędnym. Postawa ta nie cieszy się powszechnym uznaniem. Prawe skrzydło *Roomsche Katholieke Staatspartij* godzi się na wszystkie ofiary, byleby nie rozzerwać bloku z konserwatystami. Natomiast katolicka lewica pod wodzą Ministra Sprawiedliw. M. C. M. J. F. Goselinga wolałaby stworzyć nową większość zrzeszając katolików, „Chrześcijaństwo historyczne” oraz socjalistów i w której *R. K. Staatspartij* objęłaby rolę kierowniczą, prezydenturę Rady oraz najważniejsze departamenty.

Rozwiązanie tego zagadnienia zależy wyłącznie od szerokich warstw ludności. Pewne wskaźniki, a zwłaszcza zachowanie „Chrześcijaństwa historycznego” podczas wyborów

gminnych, każą przypuszczać, że trójporozumienie stron-
nictw dałoby się urzeczywistnić z wyłączeniem antyrewolu-
cjonistów p. Colijna w niedalekiej przyszłości. Dla Holendrów
zwrot ten stanowiłby niepowседневną sensację.

— — — — —

W swojej rezydencji, wspaniałej zarazem i skromnej,
szlachetna królowa Wilhelmina czuwa nad swym krajem
i narodem. Jest ona żywym uosobieniem tradycji monar-
chistycznej, ostatnim potomkiem chwalebnej rasy Stadhou-
derów oraz dwóch Wilhelmów. Księżniczka następczyni,
Juliana, wraz z maleńką Beatrycze stoją na straży dziejowej
ciągłości holenderskiej.

W starych zamkach, oraz na królewskim dworze, prze-
wija się arystokracja ziemiska jako świadectwo przeszłości
dawniejszej aniżeli sama dynastia królewska, mniej popular-
nej jakkolwiek bynajmniej niezapomnianej. We wspaniałych
prywatnych rezydencjach oraz budynkach rządowych, żyją
i trudzą się następcy Oldenbarneveltów i De Wittów; jest
to ustawicznie bijące serce „kupieckiego państwa”. W czystych
i wygodnych domach mieszkalnych, w czystych i równie dzi-
wacznych jak oryginalnych domkach wieśniaczych i rybac-
kich, wreszcie w czystych lecz pozbawionych wyrazu bu-
dowlach osiedli robotniczych, pracuje, troszczy się o proste
swe przyjemności i rozrywki, stosuje się do ustanowionego
porządku i ładu, i godzi się na jego obronę w razie osta-
tecznej potrzeby — spokojny i niezależny — naród holen-
derski. Jedynie katastrofa, cios wymierzony z zewnątrz zdo-
łałyby wstrząsnąć tym odrębnym mieszczańskim światem,
królestwem kupców.

Dr Fr. Bitnicki.

Literatura litewska.

Pierwotna literatura litewska składa się z wielkiego bogactwa dajń, baśni ludowych, przysłów i zagadek. Zbiory dajń, zestawione przez obcych, głównie Niemców i samych Litwinów są bardzo znaczne i wciąż wzrastają. Twórczość ludowa nie ustaje. I teraz rodzą się na wsi dajny — pieśni liryczne.

Brak jednakże prawie zupełnie pierwiastka epicznego w tej twórczości, może dlatego, że lud sam stał się bezdziewowym. Nawet ballady przechodzą w lirykę. Przewagę pierwiastka lirycznego można tym wytłumaczyć, że pieśni tworzą i śpiewają w Litwie młode dziewczęta, kiedy np. u Finnów śpiewają je starcy. Dlatego w pieśniach litewskich tak dużo mówi się o miłości.

B. Sruoga (Dainu poetikos etiudai, Kowno 1927) wprowadza dajny z prastarego tańca. Są w tych pieśniach wykrzykniki i onomatopeje, które powstawały w tańcu w ruchu, przy pracy: kadijela — kadiju, cziulado — cziuladyta, saduto, ruto, lingo, tato! Tańce ludowe litewskie, które pokazano niedawno na zlocie harcerstwa i na Olimpiadzie narodowej w Kownie, mają charakter zbiorowy. „Blezdینگėlė“ (jaskółeczkę) tańczą dwa szeregi: chłopców i dziewcząt z chustkami w rękę, którymi powiewają rytmicznie, naśladując ruch skrzydeł. „Kepurele“ (czapeczka) tańczy się z kapeluszeniami w rękę, którymi chłopcy kłaniają się do samej ziemi. Jest też cały szereg innych gier ze śpiewem i tańcem, przedstawiających uprawę maku (Aguonele — maczek) albo też życie roślin i zwierząt. Za to „Suktinis“ jest tańcem warstw kulturalnych, przeniesionym na wieś.

Tańce są przeplatane śpiewkami — z rytmu tańca wyszły pieśni ludowe. Rzadko i przypadkowo znajdujemy w nich rytmy i to w pieśniach nowszego pochodzenia. Dajny dzielą się na strofy, ale w starszych pieśniach są strofy nieprawidłowe i niewyraźnie oznaczone. Wydzźwięk tej poezji, oparty na długich i krótkich głoskach, przypomina utwory greckie i rzymskie. Mógł też Duonełajfis z powodzeniem pisać po litewsku heksametrem.

Innym źródłem dajn jest prastary rytm pracy. Zachowały się dajny, ułożone przy przedzeniu, przy obracaniu żarn: Śpiewa się przy żarnach: Malu, malu viena, pasiżuriu — diena (miele, miele sam, obejrzę się — dzień). A prządka przyśpiewuje:

Przędłam ozdobnie, tatatela,
po wiązce, tatatela,
mocno nitkę, tatatela,
czołenko po czołenku, tatatela.

Pierwszy zbiór dajn z przekładem niemieckim wydał Ludwik Rheza, Litwin z mierzei Kurońskiej w r. 1825. Zachwycali się dajnami Lessing, Herder, Goethe, nasz Mickiewicz. Przełożył ich sporo Kraszewski. Mają one moc uczucia, liryki wyrażonej w formie naprawdę poetyckiej. Cechują je liczne słowa zdrobniałe, stałe epitety (ruta zielona, stara mateńka). Znajdujemy w nich czasami pierwiastki mitologiczne. Prócz liryki miłosnej, są wśród nich pieśni obrzędowe, weselne i pogrzebowe (raudy). Te ostatnie są dawnego pochodzenia, wszak zawołanie na pogrzebie należało do zwyczajów pogańskich.

Ten skarb poezji ludowej jest niezwykle i tak piękny w porównaniu z nowszą poezją litewską, przedstawia się jak tkany pas ludowy obok kawałka fabrycznego perkalu, chociaż i ten może być gustowny. Z litewską poezją ludową można się zapoznać dzięki Kraszewskiemu, więc wyjątków i przykładów nie przytaczam. Zbiory te pisarze litewscy wciąż pomnażają, objaśniają. Opierają się na tej twórczości ludowej nowsi poeci litewscy. Dajny ludowe (zwane w Małej Litwie giesmes) wywarły wpływ na całą twórczość narodu, odbiły się w jego muzyce. Twórczość ta nie jest zamknięta: Jonas Norkus wydał w r. 1927 dajny z czasu Wielkiej Wojny.

Wpływ dajń na poezję nowoczesną Litwy — oto temat do głębszego studium, na które za mało mam miejsca. Nowsi pisarze nawiązują swą twórczość do ludowej. Już w r. 1910 nawiązywała Zofia Cziurlionisowa, by nawrócono do dajń.

Do literatury pisanej sam lud litewski nie doszedł. Musieli mu ją zapoczątkować Niemcy. Podczas reformacji Albrecht pruski, mający i u siebie Litwinów, a i szukający dla nowej wiary zwolenników w W. Ks. Litewskim zaczął wydawać druki religijne po litewsku. Wtedy to literami gotyckimi wydrukowano Mażwyda-Vaitkunasa „Catechismusa prasty žadei“. (Katechizmu proste słowa, 1547).

Kiedy katolicyzm znowu wziął górę, jezuici zatroszczyli się o to, by słowo Boże docierało do ludu w jego języku. Biskup Melchior Giedrojć zabrał się do nawracania na chrześcijaństwo w w. XVI Żmudzi, z jego inicjatywy zaczęło duchowieństwo posługiwać się językiem ludu. W r. 1595 kanonik Mikołaj Dauksza przełożył na język litewski katechizm Ledesmy, a w r. 1599 postyllę Wujkową.

Odtąd aż do w. XVIII wychodzą tylko druki treści religijnej, wspomagające pracę duszpasterską wśród istotnie bardzo zaniedbanego ludu. W. XVIII przynosi pierwszego poetę litewskiego, Krystyna Duonelajtisa.

Był on rodem z Małej Litwy, wyrósł pod wpływami niemieckimi. Studiował teologię w Królewcu, zajmował się literaturą klasyczną, był muzykalny i sam komponował. Umarł w r. 1780 jako pastor w Tolminkemen. Dopiero po jego śmierci znany nam już Rheza wydał główne jego dzieło *Rok w czterech pieśniach* wraz z przekładem niemieckim w Królewcu (1818).

Poemat ten, pisany heksametrem, nosi na sobie ślady wpływu Teokryta. Pisany jest z wielkim realizmem i daje prawdziwy obraz ówczesnej pańszczyźnianej wsi litewskiej, ciężko pracującej pod batem junkrów pruskich. Obrazy obyczajów i prac chłopu litewskiego pełne są rysów grubych, ale tym bardziej świadczących o ich autentyzmie. Przyroda litewska i prace sielskie namalowane są z prawdziwą poezją. Jako pastor ludu już od paru wieków luterńskiego, Duonelajtis ulega zapędom moralizatorskim. Chwali pracowitych, gani leniwych, ale widać w udzielanych radach

poważną i życzliwą troskę o dobrobyt kmiotka. Dzieli on wraz z chłopem pańszczyźnianym odczucie ciężkiej jego doli i niechęć do tych, co z chłopskiego wyszedłszy stanu, nadymają się pychą, stroją się w nieswoje piórka i ciemiężą tych, z którymi do niedawna stali w jednym szeregu.

Dopiero wiek XX przyniósł zrozumienie dla wartości tego poematu. Wiek XIX stał pod znakiem romantyzmu, rozbudzonych dążeń nacjonalistycznych, walki z uciskiem Rosji. Zresztą nie było jeszcze wtedy dość bliskich węzłów między Małą a Wielką Litwą.

Okres pierwszego wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego, uniwersytetu Mickiewicza i Filomatów odbił się na stosunku do miejscowego folkloru. Zaczęto się interesować poezją ludową Litwinów i Białorusinów, szereg literatów polskich próbował tworzyć w tych językach. Lelewel, Narbutt i Kraszewski tworzą dzieła, kładące podwaliny pod historię i ludoznawstwo litewskie. Wyrabiają się też pisarze litewscy, którzy nasiakają atmosferą uniwersytetu Wileńskiego i zwracają się ku przeszłości Litwy i ku ludowi.

Szymon Dowkont (Daukantas) w 1845 r. wydaje historię kultury starej Litwy. Książka ta, pisana jeszcze ciężkim stylem, owiana jest tchnieniem romantyzmu historycznego, fanatycznym przywiązaniem do przeszłości narodu. Miała ona wielki wpływ na pokolenie Litwinów, którzy przygotowywali lud swój do niepodległości.

Lżejszy od Dowkonta i bardziej literacki styl miał biskup Żmudzi Wołonczewski (Vałanczius). Korzystając z wielkiej biblioteki po-jezuickiej, napisał on *Historię biskupstwa Żmudzkiego*, pracę źródłową, którą później przetłumaczono na język polski. Pisał on prócz tego dużo książek treści religijnej i powieści popularnych. Takim jest *Józek z Połagi* i *Opowiadania Antoniego Trefininkasa* i in. Ten syn wieśniaka zachował realizm i plastykę wyrażeń czysto ludowych.

Podwaliny literatury litewskiej rzucał też drugi biskup Antoni Baranowski, który był ordynariuszem w Sejnach (1835—1902). W młodości napisał poemat *Borek Anyksztyński* (Anykszcziu szilelis). Pomimo reminiscencji z *Pana Tadeusza*, jest tam oryginalnie odczute piękno przyrody i smu-

tek nad losem ziemi ojczystej. Jak wzgórze, na którym szumiał kiedyś piękny gaj, a potem zostały już tylko pnie zrabane, taką jest Litwa. W drugim poemacie *Podróż do Petersburga* obserwuje bp. Baranowski ludzi, dostrzega niedolę chłopów pańszczyźnianych: „Nie tak wyje trakt szeroki wozem ugniatany, jako jęczy nasza ziemia pod obcemi pany”.

Ciężki cios zadały młodemu ruchowi litewskiemu prześladowania rosyjskie po trzecim powstaniu. W r. 1864 wydano zakaz drukowania książek litewskich czcionkami łacińskimi. Wtedy biskup Wołonczewski powziął myśl drukowania książek litewskich za granicą, z początku w Ragnecie w Prusach Wschodnich, potem w Tylży. Tu nastąpiło zbliżenie inteligencji z Małej Litwy z Wielką Litwą. Książki, przeważnie treści religijnej, kolportowali ideowcy, nieraz ludzie prości, kobiety. Wielu z takich przemytników powędrowało potem na Sybir. Litwini przechowują pamięć o nich, jako o bohaterach narodowych i poświęcili im sporo miejsca w Muzeum Witolda Wielkiego. Stoi tam piękna rzeźba, przedstawiająca człowieka, dźwigającego na plecach worek z książkami. To kolporter — knygneszys. Zebrano też dzięki staraniom p. Rusieckiego dużo fotografii knygneszysów — uderza wśród nich podobizna starej włościanki o twarzy pełnej energii i stanowczości, bohaterskiej kolporterki.

Odebrawszy alfabet łaciński, rząd rosyjski starał się oddzielić możliwie najwięcej Litwinów od Polaków i usunąć ich z pod wpływu polskiej kultury. Dał im gimnazjum w Mariampolu i seminarium nauczycielskie w Wejwerach w Suwalszczyźnie i 10 stypendiów do kształcenia się w wyższych uczelniach Rosji. Synowie włościan uwłaszczonych w r. 1861 mogli kształcić się i wejść w szeregi inteligencji. Nie miał jednak rząd rosyjski z tego pożytku, gdyż z tych stypendystów przeważnie powychodzili działacze litewscy.

Dążenie jednak do pracy nad ludem i do wyższego wykształcenia było silne wśród młodzieży wiejskiej i wielu spośród niej wstępowało do seminariów na księży. Pufinas-Mykolaitis w swojej trylogii: *W cieniu ołtarzy* odmalował stosunki panujące w seminariach przedwojennych, gdzie

nieraz dochodziło do ostrych sporów i do nieporozumień między klerykami na tle narodowościowym.

Raniło to uczucia Polaków, że naród, który trwał z nami i korzystał ze wspólnego dachu w okresie pomyślności dziejowej wyodrębnia się w chwili najcięższej. Litwini odwracali się wtedy od kultury polskiej, czerpiąc raczej z rosyjskiej, idąc w kierunku, w którym ich rząd zaborczy popychał. Było to starcie się dwóch nacjonalizmów, w którym Polacy powinni byli zrozumieć Litwinów i zająć względem ich pochylań stanowisko przychylne. Przykre było zrusyfikowanie młodej inteligencji litewskiej, jej rewolucyjność — podział na dwie narodowości był w owym okresie niemal podziałem klasowym.

Księża-działacze litewscy kierowali w znacznym stopniu ruchem litewskim, oni to rozbudzili wśród ludu poczucie narodowe i wpływ ich był tak wielki, że w chwili wystąpienia Litwinów na forum dziejowe w okresie Wielkiej Wojny jeden z pisarzy niemieckich, przychylny Litwinom, określił ich, jako naród teokratyczny, rządzony przez księży. I chociaż socjaliści i ludowcy (*laudininkai*) dzierżyli prawie wyłącznie ster losów narodu w początkach jego państwowości, chociaż później stronnictwo narodowe (*tautininkai*) osiągnęło wpływ decydujący na rządy, to jednak zawsze katolicy są na Litwie w olbrzymiej większości. Dowiódł tego kongres organizacyj młodzieżowych (*Pavasarininkai*) w lecie 1938 roku, który zgromadził około 70 tys. osób.

W r. 1883 zaczął wydawać dr Basanowicz w Ragnecie czasopismo *Ausra* (Zorza). Zajmowało się ono wciąż z tym samym zamiłowaniem i miłością przeszłością narodu litewskiego, czerpiąc siły ze wspomnień o jego wielkości dziejowej. Był to romantyzm narodowo-religijny. Wyrabiał się przy tym i ujednastajniał język, łącząc w sobie pierwiastki różnych dialektów; powstawał język literacki.

Suwalszczyzna, znajdująca się pod wielu względami w warunkach korzystniejszych, choćby ze względu na litewskie zakłady naukowe, wydała szereg działaczy litewskich. Wspomnieć wśród nich należy Wincentego Kudirkę, młodego lekarza, który, walcząc ciężko dla swej idei, umarł na

gruźlicę w r. 1899. Zaczął on wydawać czasopismo, zajmujące się bardziej zagadnieniami aktualnymi pod nazwą *Varpas* (Dzwon). Kudirka był raczej publicystą, niż literatem, zostawił jednak po sobie słowa i muzykę pieśni, która stała się hymnem narodowym: *Lietuva, Tėvyne mūsų* (Litwo, ojczyzno nasza).

W Litwie niepodległej spotykały się wszystkie formacje narodu litewskiego: i tych, co wyrosli na wpływach rosyjskich, i tych, co byli w Ameryce, i tych z Małej Litwy, którzy kształcili się w uniwersytetach niemieckich, i tych z Wilna i Suwalszczyzny. Różne też były kierunki w nowej literaturze litewskiej, można powiedzieć — różne orientacje kulturalne. Najmłodsze pokolenie, nie mające kontaktu z Rosją Sowiecką, skłócone z Niemcami z powodu Kłajpedy, oderwane całkowicie od Polski, nie znające nawet jej języka, zwróciło się do kultury łacińskiej. Wyjeżdżają więc młodzi literaci i artyści do Paryża, Belgii, Włoch.

Realizm rosyjski, częstokroć tendencyjno-klasowy reprezentowały najstarsze z tego pokolenia autorki: Gabriela Petkiewiczówna (Petkewiczaitė), Julia Beniszewicz-Żymontowa (Žemaitė), siostry Iwanowskie pod zbiorowym pseudonimem: „Łazdynu Peleda“ (Sowa z leszczyzny), Maria Peczkowska (pseud. Szatrijos Ragana — Czarownica z Szatrii — góra ta odpowiada w Litwie naszej Łysej Górze).

Twórczość tych autorek miewa czasem akcenty inteligenckie, kiedy opisuje życie dworów, przeżycia psychologiczne. Ale przeważnie są to opowiadania silnie zabarwione klasowo, opisujące niedolę materialną i niski stan moralny ludu wiejskiego, czasem pracę społeczną na wsi, w czym autorki te przypominają Orzeszkową. Žemaitė posiada doskonałą soczystość i realizm stylu, zna lud z jego obyczajami i poglądami, maluje go równie beznadziejnie, jak realści rosyjscy, Gorkij, Mujżel. Ma ona akcenty wrogości względem Polski. „Kto wróg?“ — to obraz, przedstawiający powstańców, wieszających kobietę, która zdradziła ich Rosjanom. Wieszają ją na żórawiu studziennym w obecności dzieci, które się czepiają sukni matki.

Pod nastrojami rewolucji rosyjskiej 1905 roku pisywał też Jan Billewicz (Biliunas). Obecnie prawie największy pi-

sarz litewski starszego pokolenia — Kreve-Mickiewicz pozostaje pod wpływem literatury rosyjskiej, nawet jeden ze swych dramatów historycznych napisał po rosyjsku. Kreve-Mickiewicz zwrócił się do przeszłości Litwy, wyrażając historyczną myśl, że należało dążyć do potęgi państwowej i zjednoczenia Litwy (*Szarunas, Skirgielło*). Budził przez to uczucia patriotyczne. Polacy przedstawiają się bardzo ujemnie w jego utworach, nie lepiej, niż w historii Łowajskiego.

Tumas-Vaižgantas († 1933) jeden z najpopularniejszych pisarzy i działaczy litewskich był pod wpływem Turgeniewa (ale także Mickiewicza i Kraszewskiego). Gruszas w swych wnikliwych nowelach *Sunki ranka*, Vienuolis-Žukowski są pod wpływem Czechowa, co im zresztą nie odejmuje oryginalności.

Rosja bolszewicka wpływa na niewielką grupę literatów komunizujących, którzy zresztą się rozproszyli, przechodząc częściowo do innych grup literackich. Stoi tylko przy swoim Korsak-Radžvilas, krytyk z *Trecias Frontas* (Trzeci Front), już obecnie rozwiązanego czasopisma literackiego o tendencjach socjalistyczno-komunizujących. Zresztą, pomimo bardzo silnych kontaktów Litwy z Rosją bolszewicką pod względem politycznym i handlowym, a i militarnym także, Litwa broni się energicznie przed komunizmem i pisarze-komuniści, o ile nie siedzą w więzieniu, przebywają w Rosji. Pod wpływem Majakowskiego pisał Tarulis *Niebieskie spodnie*.

Z Niemiec Litwini wzięli ekspresjonizm. Tendencje ekspresjonistyczne wyrażało czasopismo *Keturi vejai* (Cztery wiatry). Jeżeli istnieje współrzędność w każdej epoce pomiędzy twórczością literacką a plastyczną, to Litwini, których plastyka ludowa jest najczystszyim ekspresjonizmem, zwłaszcza, jeżeli chodzi o jej ludowe snycerstwo drzewne, powinni mieć szczególną predyspozycję do ekspresjonizmu. W utworach najnowszych jest w rzeczy samej tyleż ekspresjonizmu, co symbolizmu, o ile chodzi o poezję.

Wpływowi francuskiemu należy przypisać szerzenie się symbolizmu, przebrzmiałego już w innych krajach. Widzimy więc w Litwie szereg poetów-symbolistów obok poetów, dążących do wyrażenia nowoczesnej rzeczowości. Symbolizm

ich wyraża się zarówno w rekwizytach poetyckich, przypominających czasem romantyzm, jak w nastrojach bezkresowości i tęsknoty, owianych mistyką. Takimi są Sruoga, Kirsza, Braždžionis, Putinas-Mikolaiftis, o ile chodzi o jego lirykę. W tych wierszach występuje niejednokrotnie podźwięk dajń. Czasami spotykamy u nich równoważnik poetycki niesamowitej, oszalałej kosmogonią twórczości Cziurlionisa. Przytaczam jeden z nowszych wierszy Braždžionisa, poety wielkiej miary:

Zagadka białej gołąbki.

Patrzę w obliczu zbliżającej się czarnej chmury
W obliczu nieba, które ogień rozdziera,
Patrzę na białą gołąbkę i płaczę,
I świat cały płacze wraz ze mną.

Biała — może poleci, poleci ku krajom mroku,
Może zanieś modlitwę człowieka, który umiera,
Może błyskawica ją ugodzi podczas jej lotu,
Może uwięzi ją ręka niewidzialna i zimna.

Przed zbliżającą się czarną chmurą
Niewolników zebrały się tłumy tysiączne,
I kusi mnie coś, by odgadnąć ich losy,
W chwili, gdy oświetli ich białe skrzydła gołąbki.

W dzień nie ujrzą jasności,
W nocy snów nie zaznają, snów nie zobaczą,
I nie zbuduje gniazda pod belką jaskółka,
I nie wyorze oracz bruzdy głębokiej.

Człowieku, czym jesteś wobec czarnej chmury, co się przybliża?
O, czym jesteśmy wobec białej gołąbki, co w dal odlatuje?
Chmura, co w szale piekielnym uniosła narody,
Oto już wszystkie lądy uniesie.

Kierunek zachodni a zarazem kierunek, dążący do stworzenia zupełnie samodzielnej i oryginalnej twórczości litewskiej w oparciu się o twórczość ludową reprezentuje czasopismo *Naujoji Romuva*. Prowadzi je krytyk o kulturze zachodniej, łacińskiej, Juozė Keliautis. *Naujoji Romuva* grupuje dokoła siebie wszystkich wybitniejszych pisarzy litewskich niezależnie od ich przynależności partyjnej i kierunku literackiego.

Z powojennym obniżeniem kultury, z zanikiem zainteresowań intelektualnych walczył *Piuvis* (Przekrój).

Ale są to szczyty kultury litewskiej. Na codzień mamy realizm, malujący wieś Czwirko (*Žemė maitintoja* — ziemia karmicielka), daje satyrę na stosunki powojenne, kiedy rzeczywistość nie odpowiadała wymarzonemu pierwowzorowi, kiedy niepodległość nie przyniosła ze sobą wyższego typu życia. Takimi utworami są Czwirki: *Frank Kruk*, Gruszasa *Karieristai* (Karierowicze), niektóre utwory Vienuolisa, sztuki Vaicziunasa w rodzaju *Patriotów* itd.

Oczywiście znalazł w literaturze miejsce i uraz psychiczny w stosunku do Polski. A więc czarno maluje nas Kreve, Żukowski-Vienuolis i Vaicziunas piszą o walkach z Polakami, dając w stosunku do Polaków wyraz tym nastrojom, które zapanowały na Litwie od czasów wojny.

Pujda w *Żelaznym wilku* przedstawia, jak należy opanać Wilno przy pomocy tajnej organizacji i terroru.

Wreszcie Marcinkiewicz w *Beniaminie Korduszu* z małą znajomością środowiska polskich ziemian zjadliwie ich maluje, jako niedołęgów, nie umiających się przystosować do nowych warunków, jako hulaków, utracjuszy, śmiesznych snobów. W naszej literaturze, prócz przedwojennej *Unii* Weyssenhoffa nikt jeszcze na tematy litewskich powieści nie pisał. Materiału dla znających stosunki jest niemało.

Tak wciąż wciąż „Cztery wiatry“ po polach literatury litewskiej, z których wiele jeszcze ugoruje, na których wśród ciężkich kłosów złe siły dziejowe nasiały nieraz wiele kąkolu.

Ironią dziejów jest ten ujemny stosunek najmłodszego pokolenia Litwinów do Polaków. Bo wszak jednak fundament kultury litewskiej leży w Polsce. I bez tego fundamentu nie może się obejść kultura litewska, i do niego wciąż wracać musi. Nie chcąc pozostać w ogóle bez fundamentu, przyswaja sobie, anektuje do swej kultury wiele dorobku polskiego, nieraz na tej zasadzie, że to „spolszczeni Litwini“ to i owo napisali. Ale oparte na przesłankach nauki polskiej, napisane w języku polskim dzieła Narbutta, Kojalłowicza, Lelewela, Brücknera, Krzywickiego i in., setki tomów poświęcone historii, sprawom społecznym, gospodarczym,

mitologii, folklorowi itd. Litwy nie pozwalają obejść się bez wyników pracy polskiej.

Byli też pisarze litewscy, zwłaszcza starszego pokolenia, którzy wyszli z literatury polskiej, z pod wpływów wieszczów naszych. Jednym z takich, i to najwybitniejszych był Jan Maculewicz (Maironis), ukształtował się on w atmosferze „Ąszry”. Maironis porusza w swoich utworach stosunek do szlachty polskiej na Litwie, którą chciałby zwrócić w stronę nacjonalizmu litewskiego. Nie żywi on do niej niechęci, jak inni pisarze litewscy, stojący na stanowisku bardziej klasowym i szowinistycznym.

Maironis napisał szereg utworów patriotycznych, które się stały popularnymi pieśniami, a nawet zabłąkały się pod strzechy. Jest u niego tęskne wyczekiwanie mocy, odrodzenia:

Na Litwie śpią jeszcze synowie ojczyzny
Gnębieni przez wieków nieszczęsne spuścizny,
Prorocstwem brzmią tylko mogiły.
Zmęczeni, upadli, bez żadnej pomocy,
Spowici pętami brutalnej przemocy —
O, kiedyż się wzmocnią ich siły?

A Niemen wciąż niesie swe wody przejrzyste,
Nie jemu otworzyć te pęta zamczyste,
Faluje wciąż pełen żalości.
Jak olbrzym się wznosi i bije o brzegi
Na wiosnę, gdy wspomni praoców szeregi
I dni swej własnej młodości.

Jest to wyjątek z poematu *Młoda Litwa*, w przekładzie Jabłońskiej. Odmalował w nim Maironis ruch litewski przed wojną. Są tam i księża-działacze, jak Tumas, wymienieni z nazwiska, ostro zarysowuje się w tym utworze przeciwieństwo między nową inteligencją litewską a ziemiaństwem polskim. Postać Jadwigi, która po stracie ukochanego, który zginął w walce politycznej, oddaje się oświacie ludu, przypomina czasy *Siłaczki* Żeromskiego.

W poemacie *Nasze cierpienia* (Musu vargai) przedstawia Maironis dalszy ciąg rozwoju Litwy niepodległej. Koroną dzieła poetyckiego Maironisa jest wielka trylogia z dziejów Litwy: *Witold u Krzyżaków*. Ceniony bardzo, jako poeta narodowy, umarł Maironis w r. 1932.

Patriotyczny i religijny romantyzm Maironisa, tak samo, jak „Ausry“, tak samo, jak kilku innych pisarzy patriotów starszego pokolenia wyszedł ze źródła naszego romantyzmu, głównie Mickiewicza. U wszystkich autorów, których do-
tąd wymieniliśmy, przynajmniej u większości z nich, nie
wyjmując tak bardzo cenionego dziś w Litwie Putinasa-
Mikolaitisa, są to rzeczy obce, nowe, nieraz nam wrogie.
Ale widać przez ciąg współżycia dziejowego nasiąknęli jed-
nak Litwini wspólną atmosferą duchową. Maironis czerpał
ze starszego romantyzmu, Bolesław Szczesny Herbaczew-
ski — z neo-romantyzmu, z Wyspiańskiego, Przybyszew-
skiego, Kasprowicza. A kiedy dla swych konstrukcyj literac-
kich zechcieli Litwini stworzyć podłoże filozoficzne, wtedy —
ku wielkiemu naszemu zdumieniu — spotykamy ideologię,
która była ideologią polską.

U nas w tej chwili romantyzm zarówno od strony po-
ezji, jak wielkich konstrukcyj myślowych Cieszkowskiego,
Libelta, Gołuchowskiego po prostu nie popłaca. Nie trafia
do młodszego pokolenia, mimo zaczynającego się kryzysu
realizmu. Tylko Hoene-Wroński doznał bezprzykładnego
renesansu i znalazł fanatycznych wyznawców. Tymczasem
w Litwie rudymenta filozofii litewskiej opierają się właśnie
na naszym romantyzmie.

Stanie się to zrozumiałym, gdy sobie uprzytomnimy,
jak silne jest wśród Litwinów poczucie religijne. Ideologia
więc, na której pisarze jej chcą oprzeć rozwój literatury, ma
podstawy chrześcijańskie. Podobnie jak nasz romantyzm i tak
samo z domieszką zmodernizowaną teozofii, która tak silnie
wystąpiła u Krasieńskiego w *Niedokończonym Poemacie*.

Uderza też w pismach tych kilku pierwszych filozofów
niepodległej Litwy wysokie nastawienie etyczne, zbliżające
ich także do naszych romantyków. Występuje ono u Vydunasa, właściwie teozofa, ale przypominającego żywo naszych
romantyków, bodaj nawet trochę Wyspiańskiego; chociaż ten
Wilhelm Storost-Vydunas z Małej Litwy, siedzący w Tylży,
prawdopodobnie literatury polskiej nie zna. Chodziło mu
o stworzenie filozofii narodowości. Jeżeli takim było
jego zadanie, nigdzie nie mógłby znaleźć więcej podstaw do
tego, jak w naszej literaturze. Wszak w czasach niewoli

całe tomy pisaliśmy o tym i tylko o tym. Vydunas, pomimo niemieckich wpływów, (jest i wpływ Nietzschego), czasem przemawia do takiego stopnia językiem naszego romantyzmu, że możemy tylko przypuścić pokrewieństwo duchowe z myślą Polską, nie wiedząc nic o wpływach bezpośrednich.

W poematach swych w formie dramatycznej, niescenicznych, za górnolotnych, zbyt symbolicznych, wyraża pęd do znalezienia wyższej formy życia, albo też zwraca naród ku przeszłości, by stamtąd zaczerpnął siły (*Cienie przodków*). Dużo okruczeństw mitologicznych wplata w swe utwory. Ale utwory te nie miały takiego wpływu, jak pisma jego narodowo-filozoficzne, zwłaszcza książka *Nasze zadania*.

Propaguje on w niej odrodzenie narodowe przez odrodzenie duchowe:

„Ludzkość jest powołana do stania się domem bożym”. „Każdy powinien żyć tak, aby całe życie jego stało się ciągłą modlitwą w duchu i prawdzie. Wciąż powinien żywo odczuwać wejrzenie Tego, który był, jest i będzie. Tak wypełni on swe zadanie. Tak rósć będzie jego żywotność. Tak się uchwaja; uchwaja się, ponieważ będzie wzrastać, a z nim cały naród i ludzkość”.

To już brzmi jak mickiewiczowskie: „O ile rozszerzycie ducha swego...”

I dalej: „Utrwalać w narodzie harmonię jest to wzmacniać jego cnotę, potęgę, a przez to i żywotność”.

Nastawienie pism Vydunasa jest „zachowanie” i „wzmoczenie żywotności” narodu. I tu bardzo charakterystycznymi są rozważania o krwi narodu, której przypisuje się jak największe znaczenie i o jego mowie. Litwini, budząc się ze snu wieków, stanęli wobec faktu ogromnej straty swego stanu posiadania na rzecz narodów współżyjących z nimi. Z ogromnych terytoriów, którymi ongiś władali, została im zaledwie szósta część. Ludzie o czysto litewskich nazwiskach zaliczają się do innych narodowości. Dążąc więc do odzyskania strat, stworzyli swoistą ideologię narodowości. Można być Litwinem, nie mając ani świadomości narodowej litewskiej, ani też nie znając mowy litewskiej. Takie jednostki wynarodowione są Litwinami skażonymi, których trzeba z grzechu pierwotnego odejścia od litewskości poprawić. Taką

ideologię narodową sformułował Vydunas, wskazując na rozdźwięk między krwią a mową, jako na przyczynę osłabienia i wypaczenia ducha ludzkiego.

Vydunas, pisząc gorąco o wzroście narodowości litewskiej, wskazuje drogę od jednostki przez naród do ludzkości. Wskazuje wysoką formę życia najdoskonalszego, które ma naród odrodzić. Odrzuca nienawiść, jako czynnik życia narodowego: „Nienawiść jest zawsze objawem słabości. Dlatego słaby zawsze odczuwa nienawiść do tego, kogo pokonać nie zdoła. A tego nie potrzeba”.

Podobno czasopisma ideologiczne Vydunasa wywarły wpływ na młodzież litewską. Ale przypatrując się życiu współczesnemu Litwinów, musimy przyznać, że więcej chyba wzięli z niego myśli o krwi, uchwaniu się i żywotności, niż o duchu i postępowaniu ku wyżynom ludzkości. Okres ich rozwoju narodowego, wymaga przetrwania zasad własnego nacjonalizmu. Zdaje się, że ogólnoludzka harmonia w trudnych jeszcze warunkach politycznych narodu litewskiego, jeszcze w fazie rozbudowania się nie jest u Litwinów dążeniem na czasie.

Myśl mesjanistyczną spotykamy u innego pisarza — filozofa i krytyka — ks. Aleksandra Dąbrowskiego (Jaksztas, † 1938). Nazywano go sumieniem estetycznym literatury litewskiej. W swych pracach o podłożu filozoficznym wypowiadał Jaksztas zdanie, że Litwie ma przypaść w udziale rola pośrednicząca między Wschodem i Zachodem, stworzenie syntezy z Hoene-Wrońskiego i Sołowjewa, oświecenie kultury światowej duchem chrześcijaństwa.

Jeżeli Vydunas swoje odrodzenie narodu opiera na teozoficznej ewolucji i inwolucji (schodzenie od Boga w świat i podnoszenie się z powrotem ku Bogu), to Jaksztas myśl podniesienia ludzkości do wyżyn doskonałości łączy tylko z chrześcijaństwem.

Tezę Jaksztasa-Dąbrowskiego powtarza Staszys Szałkowski (Szałkauskis) w swej książce, wydanej po francusku pt. *Na pograniczu dwóch światów* (Sur les confins de deux mondes). Opiera się on w niej na ideologii narodowej Vydunasa i Dąbrowskiego, a także na wykładach Mickiewicza w Collège de France.

Takim jest podłoże najgłębszej myśli litewskiej, około której przepływa strumień twórczości realistycznej, codziennej, przyziemnej, jak w każdej literaturze Europy.

Dotarcie do tych prac litewskich było dla mnie prawdziwą rewelacją i niespodzianką, jak niespodzianką było dla mnie objęcie na własność przez Litwinów historii, przeżytej wspólnie z nami, właściwie najpiękniejszych kart tej historii. Znaczy to, iż z tego wyklinanego przez nich życia wspólnego coś im jednak zostało. Może nie jest tak źle, jak się zdaje i może, przy większym wyodrębnieniu i zindywidualizowaniu, przy większym odseparowaniu się Litwy przez własną państwowość, została nam jednak jakaś wspólna karta twórczości i historii do zapisywania.

Anna Zahorska.

Początki orientalistyki na uczelniach polskich.

Początki wykładów języków wschodnich w Europie sięgają jeszcze średniowiecza, gdy z jednej strony znajomość tych języków — po wyprawach krzyżowych — zaczęła być potrzebna dla celów misyjnych, z drugiej zaś strony wiązała się z nauką o Piśmie św. i odczytywaniem tekstów biblijnych. We wczesnym średniowieczu znajomość języka hebrajskiego była rozpowszechnioną głównie wśród Żydów; atoli już w w. XIII Rajmund de Pennaforte, generał zakonu dominikanów wydaje dekret ustanawiający nauczanie języków hebrajskiego i arabskiego w klasztorach dominikańskich. W r. 1311 na soborze w Vienne postanowionym zostało stworzenie katedr języków orientalnych (hebrajskiego, arabskiego i chaldejskiego) na uniwersytetach w Rzymie, Bolonii, Paryżu, Oxfordzie i Salamance, *ut quolibet locorum ipsorum teneantur viri catholici sufficientem habentes hebraicae, arabicae et chaldaee linguarum notitiam*. Plany te nie zostały całkowicie zrealizowane i dopiero renesans przyniósł wzmożenie się studiów orientalnych. Wraz z rękopisami greckimi dostają się do Europy i rękopisy hebrajskie; studia hebraistyczne wiążą się z hellenistycznymi a równocześnie wzrasta i pęd do studiów filologicznych co z innej znów strony wzmacnia zainteresowanie językami wschodnimi. Nauczanie języków wschodnich i ich opracowanie naukowe rozpoczynają dominikanie Jan Reuchlin (1455—1522) i Santes Pagninus, któremu papież Leon X powierzył wykłady języków hebrajskiego i arabskiego. Król francuski Franciszek I sprowadza Augustyna Giustinani biskupa z Nebio i zleca mu

wykłady języka hebrajskiego na uniwersytecie w Paryżu. Znajomość języków wschodnich szerzy się i wśród protestantów jak Buxtorf (1564—1629).¹⁾

W tym czasie zaczyna się zainteresowanie studiami orientalistycznymi na uniwersytetach polskich. Przy komentowaniu tekstu Pisma św. opierano się jeszcze początkowo głównie na Wulgacie, ale już biskup Tomicki interesuje się wprowadzeniem języka hebrajskiego, utrzymując nawet przez pewien czas neofitę, który uczył hebrajskiego duchownych diecezji krakowskiej. Na Uniwersytecie krakowskim zjawiają się pierwsi hebraiści jak Leonard David w 1522, Jan van der Campen 1534—1535. W r. 1536 krakowianin Walerian Pernus, promowany w Paryżu rozpoczyna na wszechnicy krakowskiej wykłady języka hebrajskiego. W r. 1550 powołany zostaje do Krakowa Franciszek Stankar z Mantui, znakomity hebraista, autor *De modo legendi hebr.* (Strassburg 1525), później sprowadzony przez ks. Albrechta do Królewca. Potem następuje jeszcze długi szereg hebraistów jak Jan z Trzciany, Andrzej Troper, Wojciech Buszowski, Jan Porębny, Wacław z Hirschberga.²⁾

Wiekі XVII i XVIII powodują ciągłe pogłębianie się studiów orientalistycznych. Wzrasta potrzeba znajomości tych języków dla celów misyjnych; papież Urban VIII poleca w r. 1627 aby w każdym klasztorze dominikańskim byli misjonarze, którzy by uczyli języków wołoskiego (tj. rumuńskiego), ormiańskiego i tatarskiego (tureckiego). Rozpoczyna się i nauczanie języków dla celów handlowych. Równocześnie święci triumfy i filologia orientalna jako nauka czysta (Schulten, Schroedek).

W Polsce na początku XVII w. jeszcze wszechnica krakowska posiada szereg hebraistów jak Jan Kłobucki, Jakub Vitelius, Mikołaj Żórawski, Wojciech Grieglicius; ten ostatni

¹⁾ Bartold: *Istoria izuczeńja Wostoka w Ewropie*, Leningrad 1925, Gubernatis A. de: *Matériaux pour servir à l'histoire des études orientales en Italie*, Paryż 1876, Neumann: *Ueber die orientalische Sprachstudien seit dem XIII Jahrhundert*, Wiedeń 1899.

²⁾ Bąkowski Kl.: *Dzieje Wszechnicy Krakowskiej*, Kraków 1900, 47—48, Morawski K.: *Historia Univ. Jagiell.*, Kraków 1900, II 257—259, Barycz H.: *Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego w epoce humanizmu*, Kraków 1935, 84—95.

zna też i inne języki orientalne.¹⁾ Ale wraz z ogólnym zastosowaniem w naukach i nauki orientalistyczne schodzą u nas na plan dalszy. Uczy się tu i ówdzie języka hebrajskiego, u jezuitów na wszechnicy wileńskiej, we Lwowie, Krakowie, Zamościu. Nauka innych języków choćby dla celów praktycznych, na zachodzie Europy tak uprawiana (początki szkół dragomanów), u nas odbywa się tylko dorywczo dla celów politycznych czy misyjnych; nie brak u nas i doskonałych znawców języków wschodnich, znawstwo to wszakże nie pochodzi z żadnych zorganizowanych ośrodków naukowych.²⁾

Dopiero druga połowa XVIII w. przynosi zapowiedzi pewnych zmian na lepsze. Uczy się języków wschodnich w szkole orientalnej w Stambule, są projekty wykładów języka tureckiego w szkołach w Kamieńcu Podolskim.³⁾ Rozwija się i hebraistyka. W Krakowie była katedra Pisma św. (zajmowali ją Idatte, potem ks. Wincenty Smaczniński 1783—1802 i ks. Florian Kudrewicz) ale raczej tylko Nowego Testamentu, do czego znajomość języków wschodnich była mało potrzebna.⁴⁾ We Lwowie po zaborze kraju przez Austrię wykłada egzegezę Pisma świętego ex-jezuita ks. Józef Skober, który uczy i hebrajskiego; po nim w r. 1783 jest profesorem hebrajskiego na tymże uniwersytecie kapucyn ks. Innocenty Fessler, znawca i innych języków wschodnich; był on autorem *Institutiones linguarum orientalium hebraicae, chaldaee et arabicae*, wydanej we Wrocławiu w r. 1789. Po nim był profesorem zwyczajnym bazylianin Arseniusz Radkiewicz, po odnowieniu uniwersytetu w 1797 do śmierci w 1821 r.⁵⁾

¹⁾ Barycz j. w. 95.

²⁾ Łoziński Wł.: *Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII w.*, Lwów 1890; Reychman J.: „Znajomość języków wschodnich w Polsce w drugiej połowie XVIII w.”, *Przegl. Powsz.*, lipiec-sierpień 1937.

³⁾ Smoleński Wł.: *Szkola orientalna*, Kwart. hist. 1887; Reychman J.: „Nieznany projekt z czasów Komisji Edukacyjnej”, *Przegl. Powsz.* kwiecień 1936.

⁴⁾ Archiwum do dziejów literatury i oświaty, I, 248. Projekty utworzenia katedry języka hebrajskiego na Uniwersytecie Krakowskim w rkps. B. Czart. 818, str. 19—22.

⁵⁾ Finkiel i Starzyński: *Historia Uniwersytetu Lwowskiego*, Lwów 1894, 265—266; Długosz ks. T.: *Rzut oka na dzieje lwowskiego Wydziału Teologicznego*, Lwów 1933, 21—22.

XIX wiek przynosi już silne ożywienie studiów orientalistycznych na wszystkich uniwersytetach polskich. W Krakowie katedrę Pisma św. Starego Testamentu połączoną z nauczaniem języków wschodnich zajmuje w latach 1806—1809 benedyktyn ks. Marcin Alejger.¹⁾ Rozwijają się w tym czasie studia orientalistyczne i na uniwersytecie wileńskim. Przy reformie Akademii język hebrajski był brany poważnie pod uwagę. Kołłątaj w swoim projekcie urządzenia Akademii Wileńskiej podkreślił potrzebę na wydziale teologicznym („Szkola nauk moralnych duchownych“) katedry języka hebrajskiego oraz dodatkowej katedry Pisma św z tłumaczeniami tekstów hebrajskiego, syryjskiego, samarytańskiego, chaldejskiego, greckiego. Kołłątaj zaznaczał, że oprócz celów naukowych, wprowadzenie tych języków „obudzi w nich (uczniach) smak do języków orientalnych, z których najwcześniejsza erudycja wszelkiego gatunku czerpaną być może; w liczbie wielu możemy kiedy znaleźć tak gruntownego starożytności badacza jakim niedawno był Jabłoński.“²⁾ Tak samo i potrzebę katedry języka hebrajskiego zaznaczał Ignacy Potocki.³⁾

Na Seminarium Głównym w Wilnie wykłady z języka hebrajskiego miał od r. 1808 do 1812 adiunkt, bazylianin ks. Żukowski. Wykładał on gramatykę hebrajską, potem i wypisy hebrajskie; opracował on gramatykę hebrajskiego oraz *Pięcioksiąg Mojżesza* do użytku tak seminarzystów jak i szkółki żydowskiej.⁴⁾ Zaczął też sam uczyć się arabskiego i miał zamiar też ten język wykładać ale w bibliotece brakło podręczników; przy poparciu ks. Adama Czartoryskiego uzyskał on stypendium dla wyjazdu na Krym celem poduczenia się tamże tak języka arabskiego jak i tatarskiego, ostatecznie jednak w r. 1817 Żukowski rzucił studia orientalistyczne.⁵⁾ Z hebraistów wyszłych z Seminarium Głównego

¹⁾ Archiwum do dziejów liter. i ośw., I, 248.

²⁾ Kajsiewicz: *X. Hugona Kołłątaja korespondencja listowna z Tadeuszem Czackim*, Kraków 1844, 140, 167—168.

³⁾ Czacki T.: *Rozprawa o żydach i karaitach... Z dodatkiem wiadomości o życiu i pismach autora*, Kraków 1860, 167.

⁴⁾ Worotyński W.: *Seminarium Główne w Wilnie*, Wilno 1935, 174, 190.

⁵⁾ O planach orientalistycznych Żukowskiego Jan Sniadecki do Adama Czartoryskiego (jun.) 17 XI 1807, (Baliński M.: *Pamiętniki o Janie*

wymienić należy Chlebowskiego, który tłumaczył Chiarniego oraz ks. J. Chrz. Gintyllę, późniejszego biskupa suf-ragana żmudzkiego († 1857), autora słowniczka hebrajsko-polskiego.

Tymczasem rozważano i projekty wprowadzenia języków wschodnich na Uniwersytet Wileński. „Jest to dotkliwym i uniżającym niedostatkiem Uniwersytetu naszego, że w nim nie masz orientalnych języków; a gorzej jeszcze, że o zaprowadzeniu ich nie myślą i żadnej w tym nie okazują troskliwości...” pisał w r. 1809 znany księgarz wileński Zawadzki do ks. A. K. Czartoryskiego. Tak źle jednak nie było, gdyż już wtedy zaczęto krzątać się koło studiów orientalnych. „Zjawił się w Petersburgu Niemiec” — pisze Śniadecki 14 maja 1810 do ks. A. K. Czartoryskiego — „który nas chce koniecznie w Wilnie uczyć po chińsku i persku obiecując nam cuda orientalnej mądrości. Zostawujemy sobie te przysmaki na czas późniejszy to jest nauczyciwszy się wprzód tego co umieją w Europie.” Czartoryski przyznał mu rację, podkreślając jednak, że „tymczasem przystojną jest rzeczą ze wszechmiar, żeby znajdowała się w znakomitym uniwersytecie katedra orientalnych języków”. Kandydatem na katedrę orientalną w Wilnie był niemiecki orientalista Klaproth; ale i ks. A. Czartoryski (jun.), kurator uniwersytetu wileńskiego ustosunkował się do potrzeby katedry dla Klaprotha dość krytycznie: „języki chiński i perski potrzebne są stolicy państwa władającego tylu azjatyckimi narodami, w guberniach odleglejszych Azji; ale w Wilnie uczniów nie znajdzie, gdzie tyle jest potrzebnych do uczenia się rzeczy”. Mimo tego Klaproth wybrany został profesorem języków wschodnich ale ostatecznie do Wilna nie przybył.¹⁾

Śniadeckim, Wilno 1865, I, 495). J. Zawadzki do ks. A. K. Czartoryskiego z Wilna 6 VIII 1808 (Turkowski T.: *Materiały do dziejów literatury i oświaty na Litwie i Rusi*, I, Wilno 1935, 9), A. K. Czartoryski do J. Zawadzkiego 7 VI 1809 (I. c. 412—413), J. Zawadzki do A. K. Czartoryskiego 7 VI 1809 (I. c. 22); podania Żukowskiego w B. Czart., rkps 5476; o porzuceniu orientalistyki Żukowski w liście do Adama Czartoryskiego 4 III 1817, B. Czart. 5477.

¹⁾ Śniadecki do A. K. Czartoryskiego 14 V 1810 (Baliński I. c. I, 638), A. K. Czartoryski do Śniadeckiego z Puław 5 VII 1810 (I. c. 642), Śniadecki do A. K. Czartoryskiego 20 IV 1810 (I. c. 652).

Pojawiły się też projekty zorganizowania przy Uniwersytecie Wileńskim osobnego Instytutu Języków Wschodnich obejmującego studium ormiańskiego, tureckiego, perskiego arabskiego i mongolskiego; ponieważ nie było na to funduszków musiano zadowolić się systemem wysyłania stypendystów za granicę. I tak wysłano ks. Michała Bobrowskiego, który już wykładał 1814—1817 Pismo św. na uniwersytecie, w r. 1817 za granicę dla studiów hebrajskich, chaldejskich, syryjskich i arabskich; wkrótce po nim w r. 1819 wysłano na Bliski Wschód młodego orientalistę Józefa Sękowskiego. Sprawą wysłania Sękowskiego zajmował się głównie K. Kontrym, który w r. 1822, po powrocie Sękowskiego, złożył memoriał, uzasadniający potrzebę katedry języka arabskiego na Uniwersytecie Wileńskim. Według Kontryma katedra ta byłaby podstawą prawdziwej wiedzy, poza tym byłaby potrzebna państwu ze względu na stosunki handlowe, polityczne i wojskowe ze Wschodem, wreszcie umożliwiałaby rozszerzenie nauk teologicznych, medycznych i historycznych. Fundusze na tę katedrę znalazłyby się z sum przeznaczonych na naukę języków wschodnich u dominikanów ruskich. Na tę katedrę proponował on Sękowskiego.¹⁾

Atoli i ten projekt zrealizowanym nie został. Sękowski po kilkuletnim i owocnym pobycie na Wschodzie powrócił do kraju ale proponowanej mu katedry nie przyjął, gdyż ofiarowano mu katedrę w Petersburgu; wykształcił się on na znanego orientalistę ale z nauką polską kontakt jego osłabł.²⁾ Drugi stypendysta ks. Bobrowski po powrocie do Wilna objął (21 września 1822) katedrę Pisma św. Za jego staraniem połączono tę katedrę w jedną osobną katedrę z archeologią biblijną; do tego dołączał on jeszcze 2 godziny w tygodniu wykładu języka arabskiego.³⁾ Gdy po zgonie Grodka (1824)

¹⁾ Bieliński J.: *Uniwersytet Wileński*, Kraków 1899—1900, II, 727; Jabłonowski: *Orientalista Sękowski w korespondencji z Leliewelem*, Pisma, VII, 67, 69; memoriał Kontryma w B. Czart. 5458, por. Lipski J.: *Materiały do dziejów szkolnictwa polskiego z rękopisów Muzeum Książąt Czartoryskich*, Kraków 1923.

²⁾ O Sękowskim Jabłonowski, jak wyżej oraz Peszke Z.: *Orientalista Sękowski*, „Wschód”, 1934.

³⁾ Cieplak ks. Jan: *Ks. Michał Bobrowski*, „Charitas”, Księga Zbiorowa, Petersburg 1894, 326—346; jego opis podróży zagranicznej w *Opi-*

przyszedł na jego katedrę starożytności orientalista Münnich z Krakowa, Bobrowski zaprzestał wykładów arabskiego, opuścił katedrę w r. 1823, ale wrócił na nią w 1826, aby wykładać Pismo św. do r. 1832. Zmarł on w późnym wieku w r. 1860.

Orientalistyka w Wilnie rozwijała się też na seminarium Grodka, skąd wyszedł Sękowski, oraz jego następcy, wspomnianego Münnicha, który wykładał i język arabski oraz perski. Z Wilna wyszło też szeregi orientalistów jak Aleksander Chodźko, Kowalewski, Muchliński, Pietraszewski; choć swych studiów orientalistycznych nie zawdzięczają Wilnu to jednak być może, że tam zaczerpnęli pewne początki.¹⁾

I na innych Uniwersytetach pojawiają się w tym czasie zaczątki studiów orientalistycznych. W Warszawie na nowym uniwersytecie jest katedra Pisma św. i Nauk pomocniczych, wykłada tam ks. Paweł Szymański a po nim Chiarini, który obok introdukcji do *Starego Testamentu* i archeologii biblijnej wykłada i język hebrajski i starożytności hebrajskie (1828). Zmarł on w 1832 r.²⁾

W Akademii Połockiej była na wydziale teologicznym katedra Pisma św., historii kościelnej i języka hebrajskiego, na której od 1814 r. wykładał ks. Mateusz Molinari; wykładał on również języki syryjski i arabski. Na wydziale języków i literatury wykładał tenże ks. Molinari język i literaturę hebrajską od r. 1818 a ks. Bonawentura Villaum literaturę arabską i syryjską.³⁾

Upadek uczelni warszawskiej i wileńskiej, warunki polityczne po r. 1831 nie sprzyjają dalszemu rozwojowi tak dobre początki okazującej orientalistyce na wszechnicach polskich. Studia języków wschodnich znów grupują się głównie na teologii. We Lwowie po wspomnianym już wyżej ks. Radkiewiczu uczą języków wschodnich zastępcy profe-

sanje rukopisnawo oddzielenia wileńsk. publicz. biblioteki, Wilno 1906, cz. V. Czytał on i napisy gruzińskie.

¹⁾ Bieliński l. c. II, 727.

²⁾ Bieliński J.: *Królewski Uniwersytet Warszawski*, 1816—1831, Warszawa 1911, II, 111 i nast.

³⁾ I. G.: *Materiały do dziejów akademii Połockiej*, Kraków 1905, 72—73, 85.

sorów ks. Krynicki i Polański, potem ks. Król Michał, profesor w latach 1826—1834; wykładał on języki wschodnie z Oberleitnera, hebrajski z Jahna. Po nim objął katedrę ks. Jan Kucharski (do r. 1856), później od r. 1860 ks. Łukasz Solecki a w 1866 ks. Klem. Sarnicki. Hebraistyka stale jest reprezentowana w warszawskiej Akademii Duchownej Rzymsko-Katolickiej, połączona z introdukcją do ksiąg *Starego Testamentu*; wykładają tu ks. P. Szymański, Gierwatowski, Przybylski, Przewłocki, P. Rzewuski i inni. W Krakowie w r. 1864 ks. Feliks Sosnowski zostaje profesorem nauk biblijnych Starego Zakonu języków wschodnich. Po nim (1871) wykłada jako zastępca ks. Drożdżewicz.¹⁾

W drugiej połowie XIX w. orientalistyka powoli rozwija się i na wydziałach filozoficznych. W Szkole Głównej Warszawskiej wykłada znany mongolista Kowalewski;²⁾ przy wykładach z historii powszechnej uwzględniał szeroko i Wschód. Pewne tematy związane z orientalistyką poruszał i J. Papłowski, profesor filologii porównawczej i języków indoeuropejskich. Język hebrajski wykładał tamże Belg, docent D. Dinsart w latach 1863—1865. W Krakowie w r. 1886 mianowano znanego orientalistę J. Hanusza profesorem filologii porównawczej języków indoeuropejskich.

Od tego też czasu studia orientalistyczne wychodzą ze swych założeń i w miarę rozwoju polskich uczelni rozszerzają swój zakres aż do dzisiejszego ich rozwoju.³⁾

¹⁾ Finkiel i Starzyński, l. c., 265—266, 307; Pleszczyński ks. Ad.: *Dzieje Akademii Duchownej Rzymsko-Katolickiej w Warszawie*, Warszawa 1907, 103—108, 119—120; *Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego od 1867 do 1887*, Kraków 1887.

²⁾ *Szkola Główna Warszawska 1862—1869*, Kraków 1900, 137—142 192—194 i *Kronika Uniw. Jagiell.* j. w. 100.

³⁾ Kowalski T.: *W sprawie orientalistyki na naszych uniwersytetach*, „Nauka Polska”, t. II, Warszawa 1919 i Kotwicz Wł.: *Studia orientalistyczne w Polsce*, tamże t. X, Warszawa 1920.

Jan Reychman.

Przegląd piśmiennictwa.

Zofia Nałkowska: *Niecierpliwi* (wyd. Książnica - Atlas). — Adolf Nowaczyński: *Młodość Chopina* (wyd. Rój). — Michał Rusinek: *Ziemia miodem płynąca* (wyd. Książnica - Atlas). — Andrea Majocchi: *Żywot chirurga*, tłum. Hanna Verdiani (wyd. Książnica - Atlas). — Bogusław Kuczyński: *Starzy ludzie* (wyd. Gebethner i Wolff). — Aleksander Piskor: *Siedem ekscelencji i jedna dama* (wyd. Rój). — Zdzisław Czermański: *W pluszowej ramie* (wyd. Gebethner i Wolff).

Już w *Granicy* zaznaczył się dość wyraźnie zwrot zainteresowań Zofii Nałkowskiej ku starości i śmierci. Do bardziej plastycznych i wrażliwych się w pamięć opisów należy w tej książce pewne zebranie starych kobiet, gdzie ich chude, wyschnięte, przewiązane aksamitkami szyje, opisane ze zwykłą Autorce drobiazgową starannością, nasuwają myśl o bliskiej i nieuchronnej zagładzie ciała. I ta myśl powraca na kartach *Granicy* wielokrotnie, choć jeszcze nie tak silnie, by uczynić z niej książkę o śmierci, a nie o życiu. Taką książką o śmierci jest dopiero nowa powieść Nałkowskiej *Niecierpliwi*. Jeżeli w *Granicy* pojawiała się przede wszystkim nuta przerażenia starością, pojętą jako przymusowa rezygnacja z siły, urody, miłości, z wszelkich ziemskich uroków życia, to w *Niecierpliwych* już nie starość, lecz sama śmierć jest przedmiotem strachu, zgrozy, wstrętu i żalu Autorki, śmierć — absolutny koniec wszystkiego, kompletna nicność człowieka, — jest tą wizją, od której nie może się uwolnić. Zdarzają się jednak ludzie, którzy sami wychodzą naprzeciw tej największej grozie i klęsce, — są nimi samobójcy. Tych właśnie nazywa Nałkowska *Niecierpliwymi*, ludzi, którzy nie umieją żyć z jakąś udręką w duszy, nie mogąc ani rozwikłać trudności i tajemnic, z którymi się borykają, ani czekać żeby czas i życie przyniosło im rozwiązanie, szukają ulgi za wszelką cenę, choćby za cenę własnej śmierci. Takim samobójstwem „z niecierpliwości” jest kończąca książkę zbrodnia Jakuba Mrowy; on sam w przeddzień katastrofy tłumaczy w ten sposób swój stan psychiczny, objaśniając go przy pomocy mroźnego krew w żyłach porównania z człowiekiem, spadającym z dachu na bruk.

O innych samobójcach, od których roi się w powieści, wiemy również, — choć ich dzieje nie są tak szczegółowo przedstawione, — że szukali w swej własnowolnej śmierci przede wszystkim ulgi, ucieczki od czegoś, z czym nie mogli sobie w życiu poradzić. Inna sprawa, że konkretne motywy takiego bądź co bądź rozpaczliwego kroku są nawet w najobszerniej rozwiniętym przypadku Jakuba dość niejasne, a przez to mało przekonujące. „Niecierpliwość” prowadząca aż do zabójstwa żony i samobójstwa, a dotycząca życia osobistego kobiety, której Jakub od lat już nie kochał, nie wydaje się dość mocno uzasadniona psychologicznie. Szukał wprawdzie w swojej żonie, w jej ongiś tak pewnej miłości dla niego, ucieczki od śmierci, ponieważ „tylko we dwoje z bliskim człowiekiem można to znieść, że się umrze”. Ale ta ucieczka od śmierci doprowadziła go właśnie do niej, jak gdyby ukazując, że miłość mści się w ten sposób za zdegradowanie jej jedynie do roli narkotyku, ułatwiającego lekką śmierć. Nad książką Nałkowskiej wisi jak ciężka chmura obsesja śmierci, ciągnąca za sobą niby ogon komety wymysłne, makabryczne wizje szkieletów, nagich czaszek, rozkładu ciała, przepełniające książkę. Drugą ciężką chmurą, przez którą trzeba z trudem się przebić, chcąc dotrzeć do sprawy Jakuba i Teodory, jest maniera kompozycyjna Autorki. Miłość mężczyzny i kobiety, cały trud i ciężar tej wielkiej sprawy życia, jej niespodzianki i komplikacje, porywy i chłody, trwanie i przemijanie uczuć — oto dziedzina, w której Nałkowska porusza się najswobodniej, najwięcej ma do powiedzenia i wypowiada się z wielką subtelnością i precyzją, odsłaniając w niedostrzegalnych drobiazgach współżycia ludzkiego ich ukryte, właściwe, ważne oblicze. Ale w *Niecierpliwych* właśnie miłość, sprawa Jakuba i Teodory, zepchnięta jest na koniec książki i przytłoczona mnóstwem spraw drobnych, postaci drugorzędnych, nieraz tylko wymienionych z imienia lub nazwiska, niemożliwych do spamiętania. Całkowite „przewycięzenie” chronologii, wielokrotne powracanie do tych samych spraw i momentów, ukazywanych w coraz innym świetle, w połączeniu z tym tłumem postaci, komplikuje kompozycję do tego stopnia, że nawet uważny czytelnik gubi się w takim labiryncie i z trudem wychwytyje z niego historię miłosną centralnej pary postaci. A jednak w tej właśnie historii, w niektórych zwłaszcza jej fragmentach, odnajdujemy dawniej znaną nam Nałkowską i śledzimy z zapartym tchem bicie serc ludzkich, obnażonych przed nami z całym kunsztem psychologicznym, właściwym Autorce. Te strony i piękne opisy przyrody pozwalają nam złapać trochę tchu wśród męczącej, makabrycznej atmosfery trumiennych obrazów, panującej na kartach *Niecierpliwych*.

Książka Adolfa Nowaczyńskiego *Młodość Chopina* nie jest ani biografią mniej lub więcej naukową, ani modną *vie*

romancée. Jest to opowieść o najmniej znanym i najpobieżniej zwykłe traktowanym okresie życia Chopina, okresie „warszawskim”, obejmującym wczesną młodość, a zakończonym przez wyjazd do Paryża w listopadzie 1830 roku, tuż przed wybuchem powstania. Nowaczyński za własnych młodych lat stykał się z Oskarem Kolbergiem i od niego dowiedział się wielu szczegółów o tym właśnie okresie życia Chopina, kiedy to rodziny Kolbergów i Chopinów, sąsiadujące ze sobą w warszawskiej kamienicy, utrzymywały bliskie i serdeczne stosunki. Z tych wspomnień, z opowiadań Kolberga, powstała ta książka, w której prawda i fikcja życia młodego Chopina pomieszczone są w sposób trudny do odcyfrowania, z czego zresztą sam Autor zdaje sobie sprawę, pisząc w pierwszym rozdziale: „A już niech tam „uczeni w piśmie”, czyli chopinolodzy, łaskawie zaopiniują w przyszłości, co w tym mogło być z *Wahrheit*, a co z *Dichtung*, w czym się mylił narrator, a w czym indagator, gdzie przesłodzone, a gdzie przesolono, gdzie zbyt koloryzowano, a gdzie za mało zretuszowano, co słusznie przesunięto na drugi plan, w półcień, a co wydobyto wreszcie w pełniejsze światło, prezentując nowy materiał areopagowi specjalistów”. Istotnie zakwestionowano już choćby pewne szczegóły, dotyczące czasu powstania kilku utworów Chopina, umiejscowionych przez Nowaczyńskiego (czy też Kolberga) w okresie warszawskim, a w rzeczywistości napisanych później. Możliwe, że różnych sprostowań będzie więcej, choć trudno ustalić z całkowitą pewnością fakty z tego właśnie okresu życia Chopina, z którego najmniej zachowało się dokumentów. Jeśli jednak w związku z książką Nowaczyńskiego wypłyną na wierzch jeszcze jakieś nieznane dotąd dane, będzie to tylko z korzyścią dla naszego „stanu badań” nad Chopinem, książce zaś te sprostowania nie odbiorą wartości. Jej urok bowiem polega nie na istocie zebranych tam szczegółików, nieraz całkiem błahych, ale na nadzwyczaj ciepłej, serdecznej atmosferze, tej jedynej w swoim rodzaju opowieści. Nowaczyński pisze zawsze z pasją i tutaj też pozostał sobą, ale pasja jego idzie tu nie w kierunku wyszydzenia i obnażania zła, nie *in minus*, ale *in plus*, jest pasją ciepła i serdecznych uczuć nie tylko dla tego nadzwyczajnego zjawiska, jakim był Fryderyk Chopin, ale dla całej ówczesnej Warszawy. *Młodość Chopina* jest przede wszystkim książką o Warszawie z przed stu laty, o jej ludziach, o problemach, z jakimi się wtedy stolica porała, książką ciekawą, pełną humoru i sentymentu. Maniera językowa Nowaczyńskiego, nie dla każdego strawna i nie do każdego tematu odpowiednia, tutaj harmonizuje szczęśliwie z gawędziarskim tokiem opowiadania i nie umniejszając w niczym artyzmu książki dodaje jej jakiegoś staroświeckiego kolorytu, mimo, że nie jest to język polski z przed stu laty, tylko język Adolfa Nowaczyńskiego, archaizowany w sposób swoisty i zupełnie dowolny. Polemiczny temperament Autora przejawia się

w *Młodości Chopina* w formie umiarkowanej. Wycieczki przeciw dotychczasowym żywotopisom Chopina nie są zbyt ostre i złośliwe, choć oczywiście nie brak ich w książce. Wydaje mi się jednak rzeczą pewną, że nie prostowanie dawnych poglądów i ta garść nowych, o wątpliwej autentyczności, szczegółów z życia Chopina stanowią główny walor książki. I że raczej zostanie ona w literaturze jako opowieść o Warszawie przedlistopadowej, jako miła historyczno-obyczajowa gawęda, w której wątek młodości Chopina jest tylko szczęśliwym motywem konstrukcyjnym.

Trudno trafniej określić książkę Michała Rusinka *Złemia miodem płynąca*, niż to uczynił Alfred Jesionowski, dając swojej recenzji o niej w *Kulturze* tytuł „Spowiedź porządnego człowieka”. Słowo „porządny” nie jest ujęte w cudzysłów, ale jawi się on z całym swoim ironiczno-problematycznym znaczeniem w umyśle czytelnika po przeczytaniu książki. Bohater powieści Rusinka, Ignacy Nawrot *vel* Nawrocki, jest bowiem typowym „człowiekiem porządnym” zewnątrznie, popełniającym jednak przez całe życie ciężkie grzechy, ogółowi nieznane, lecz wywierające wpływ decydujący na paczenie się jego charakteru i załamanie linii życiowej. Ignacy Nawrot, syn węglarza i praczki, dochodzący do wysokich godności urzędowych, jako zdolny i ceniony pracownik, nie jest tym, kogo się zwykle określa mianem karierowicza. Pracuje sumiennie, nie rozpycha się łokciami w drodze do awansu, wyrabia posadę biednemu koledze. Jego grzechy jako urzędnika zaczynają się dopiero na owym wysokim stanowisku, po przeniesieniu do stolicy i są typowymi grzechami zaniedbania, płynącymi z lenistwa. Ignacy spuszcza się wówczas we wszystkim na swego pomocnika, który okazuje się później skończonym łotrem, nie wgląda w jego zarządzenia, — z drugiej strony zaś, pomimo dobrych chęci i trwających niby uczuć przyjaźni, przestaje odpisywać na listy kolegów. Ten fatalny splót jego zaniedbań powoduje śmierć samobójczą tego samego kolegi, któremu niegdyś wyrobił posadę, a który utracił ją teraz wprawdzie bez wiedzy i woli Ignacego, lecz jednak na skutek tych jego niedopatrzeń. Coraz dalszy od życia, coraz bardziej papierowy i urzędowy staje się pan dyrektor. Jego refleksje nad bezrobociem, nędzą na wsi itp., nasuwają myśl o przysłowiowym strusiu, chowającym głowę w piasek. Owe „nie jest tak źle”, „dużo w tym jest przesady”, jakimi usypia budzące się od czasu do czasu sumienie, wystawiają smutne świadectwo człowiekowi, odpowiedzialnemu przecież choćby za drobną część tego, co się w Polsce dzieje. Ignacy jest niby wzorowym urzędnikiem, ale przypomina konia w uprzęży z okularami: widzi tylko odcinek drogi wprost przed sobą, swoje najbliższe obowiązki, ale nie ogarnia całokształtu otaczającego go świata. Jeżeli taki człowiek może być wzorem pracownika, to jest to stwierdzenie mało

chlubne dla stanu urzędniczego. W życiu prywatnym Ignacy ma również niejedno przestępstwo na sumieniu: popchnięcie młodej dziewczyny na złą drogę, romans z żoną przyjaciela. Ale najsmutniejsze ze wszystkiego jest zakończenie pamiętnika, zakończenie tej „spowiedzi porządnego człowieka”. Jedyнным odruchem po zdaniu sobie sprawy z błędów swego życia jest u Ignacego chęć zapomnienia, ucieczki myślami w szczęśliwszą i lepszą przeszłość. Żadnej chęci poprawy, wynagrodzenia krzywd, zmiany życia. Beznadziejna inercja psychiczna. Postać Ignacego utrzymana jest w ten sposób stylowo aż do końca. Człowiek pozabawiony przez całe życie ideowych sprężyn postępowania nie znajduje w sobie żadnych sił, by odbić się od dna, na które opadł. Czeką go dalsza wegetacja, której smutek powiększa jeszcze pełna świadomość zmarnowanych możliwości życia. Książka pisana żywym, ładnym stylem, dobrze wyzyskująca możliwości formy pamiętnikowej, pomimo paru niewielkich dłużyzn trafnie rozplanowana i skomponowana, jest zapewne najlepszą pozycją w dotychczasowym dorobku literackim Rusinka.

Pamiętniki nie należą podobno do literatury. Temu pół-literackiemu rodzajowi zarzucają teoretycy jego zbytne związanie się z prawdą życia, dążenie do wierności, krępujące Autora w artystycznym przetworzeniu i opracowaniu materiału. Oczywiście jest w tym słuszość. A jednak jakaż to pasjonująca lektura, o ileż barwniejsza od wielu „fikcyj literackich”, gdy tylko Autor ma choć trochę daru słowa i gdy to, co opowiada, warte jest poznania. Oba te warunki spełnia piękna książka Andrea Majocchi *Żywot chirurga*. Napisana przez bardzo zdolnego i wziętego lekarza, profesora diagnostyki chirurgicznej w Mediolanie, „dla mego syna, studenta medycyny, któremu pragnąłem zostawić po sobie szczery testament duchowy” — jak objaśnia Autor we wstępie, została później wydana drukiem, a miarą powodzenia, jakie sobie zdobyła, może być fakt, że tłumaczenia na polski dokonano z dziesiątego wydania oryginału. Jest to książka pełna prostoty i ciepła. W toku jej spokojnego opowiadania przeplatają się szczegóły z życia Autora, opisy chorób i operacji, niezmiernie interesujące wiadomości z historii chirurgii, rozważania problemów etyki lekarskiej, refleksje nad życiem i śmiercią, nad celem i końcem człowieka. Wszystkie ukazują nam w Autorze człowieka o wielkim sercu, lekarza z powołania, który swoją pracę traktuje jako posłannictwo i szuka w niej nie własnej korzyści i zadowolenia, lecz przede wszystkim dobra chorego. Ukazują nam dalej człowieka o bystrzym umyśle, uczonego, rozmiłowanego w „boskiej wiedzy i sztuce” chirurgii, lecz nie ograniczającego swych zainteresowań do świata materii. Majocchi protestuje przeciw rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby lekarz z racji swego wykształcenia przyrodniczego musiał

być skrajnym materialistą, negującym wartości duchowe, przekonanym, że wszelkie problemy psychiczne potrafi rozwiązać fizjologia. W młodości raczej obojętny religijnie, pod wpływem doświadczeń życiowych, obserwacji i rozważań staje się głęboko i szczerze wierzącym, a ten poznany i przyjęty obowiązek „służenia Bogu” rozszerza jeszcze horyzonty jego pracy zawodowej. *Żywot chirurga* jest książką dającą wiele pięknych wzruszeń, wartą przeczytania i przemyślenia. Przekład p. Hanny Verdiani bardzo dobry.

Jest znana zasada krytyki literackiej, że dla sprawiedliwej oceny książki trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z zamierzeń Autora, by móc te zamierzenia skonfrontować następnie z ich realizacją, wyciągając stąd wszystkie odpowiednie wnioski. Powieść Bogusława Kuczyńskiego *Starzy ludzie* stawia w trudnym położeniu recenzenta, który chciałby spełnić ten postulat. Co chciał przedstawić, co powiedzieć Autor, który na przestrzeni dwustu kilkudziesięciu stron rozsnął przed oczyma zgębnionego czytelnika potworny obraz życia biednych ludzi w małym miasteczku. Po prostu przedstawić to życie? — Nie, bo taki realizm „bez reszty”, będący celem sam w sobie, o ile byłby w ogóle możliwy, musiałby być bardziej obiektywny, musiałby liczyć się z wymaganiami prawdopodobieństwa i obok czarnych farb położyć w tym obrazie także i jaśniejsze. Z taką jednostronną deformacją rzeczywistości, z takim dobraniem szczegółów pod jednym tylko kątem widzenia, spotykamy się zazwyczaj tam, gdzie organizacja materiału powieściowego kierowana jest jakąś myślą przewodnią, łatwą wówczas do odczytania. Powieść Kuczyńskiego jest dziwnym tworem literackim: posiada nieznosną fakturę powieści tendencyjnej, ale nie posiada tendencji, która by czytelnikowi tę budowę jeżeli nie usprawiedliwiała, to przynajmniej wyjaśniała. Poszukiwanie „zamierzeń Autora” nie może ograniczać się jednak do strony ideologicznej, myślowej utworu. Zadania, jakie sobie Autor stawiał, pisząc powieść, były może natury formalnej i obowiązkiem oraz satysfakcją recenzenta byłoby ich wykrycie. Rozpatrywana na tej płaszczyźnie powieść Kuczyńskiego pozostaje jednak wciąż zagadką. Nie umiem dopatrzeć się w niej nowatorstwa kompozycyjnego, stylistycznego czy psychologicznego. Metoda pisarska zdradza wyraźny wpływ Zofii Nałkowskiej, jest jednak tak nieudolnym jej odbiciem, że staje się niemal karykaturą. Można wątpić, czy utalentowana pisarka bardzo ucieszyła się dedykacją tej niefortunnej powieści. Pomimo pewnych braków kompozycyjnych jej ostatniej powieści, omówionej wyżej, Nałkowska umie na ogół stwarzać swoją rzeczywistość powieściową ze szczegółów, nawet najdrobniejszych, nie zatracając przez to perspektywy, nie zaciemniając całości obrazu ani nie zacierając granic między ważnym i mniej ważnym. Kuczyński tego nie umie.

Nie stwarza ani akcji, ani postaci o określonej psychice, daje tylko jałową płataninę ważnych wypadków życia i przelotnych myśli, błahych zdarzeń i istotnych przeżyć duchowych grupy ludzi, płataninę, w której wszystko stoi na tym samym planie, tłocząc się, powtarzając, rozmazując i ginąc w tym szarym chaosie bez perspektywy. Jeżeli do tego dodamy jeszcze specjalne lubowanie się w opisach wszelkiego rodzaju fizycznych obrzydliwości, łatwo pojąć, że lektura tej książki, pełnej kradzieży, rozpusty, zboczeń, książki zarazem nudnej, smutnej i cuchnącej, jest tylko przykrą pracą, nie dającą żadnych estetycznych wrażeń.

Gdyby trzeba było koniecznie zaliczyć książkę Aleksandra Piskora *Siedem ekscelencji i jedna dama* do jakiegoś ściśle zdefiniowanego rodzaju literackiego, sprawiłoby to może trochę kłopotu. Nie siląc się jednak na zbytnią ścisłość, wystarczy określić ją jako zbiór *essai*ów biograficznych. Nie wyczerpujących monografij, lecz takich właśnie szkiców o kilku mniej lub więcej znanych osobistościach z zeszłego stulecia, szkiców opartych na pamiętnikach, listach i „ustnej tradycji”. Najobszerniejszy, niemal połowę książki zajmujący życiorys Katarzyny - Gabrieli Starzeńskiej - Pawlikowskiej i następny co do objętości szkic o Wacławie Zaleskim są najmniej zajmujące, pomimo najbardziej szczegółowego opracowania. Życie obojga obfitowało przede wszystkim w przygody erotyczne; „piękna Gabriela” jako wielka dama w ogóle niczym się nie zajmowała prócz błyszczenia w salonach i szukania wrażeń, a Wacław Zaleski, który był pierwszym Polakiem na stanowisku namiestnika Galicji, pozostawił pamiętniki tylko z pierwszej połowy swego życia, kiedy jako romantyczny student kochał się nieustannie i próbował sił w literaturze, z konieczności więc ten ciekawszy okres jego życia, okres pracy publicznej, musiał być potraktowany dość sumarycznie. Najbardziej interesujący jest szkic o Wojciechu Dzieduszyckim *Ostatni Sokrates*. Piskor opisuje w swej książce kilka takich bujnych natur kresowych, które nie mogąc znaleźć w owych czasach ujścia dla swego życiowego rozmachu w pracy politycznej i społecznej, paczyły się i wyżywały w niesłychanych dziwactwach. Wojciech Dzieduszycki był też zgodnie z tradycją rodzinną oryginałem, ale był przy tym człowiekiem wyjątkowo inteligentnym, wykształconym, dowcipnym, o żywej i twórczej umysłowości, autorem rozpraw filozoficznych, powieści i poematów. Leader polskiej polityki w Austrii przedwojennej, od 1904 roku prezes Koła Polskiego w austriackim parlamencie, był o tyle szczęśliwszy od innych, że pomimo wielu trudności, które spowodowały nawet jego czasowe wycofanie się z tej pracy, mógł jednak spożytkować swoje zdolności dla kraju. Postać jego, wspomniana jeszcze czasem w publicystyce przez ludzi przytaczających któryś z jego świetnych dowcipów, zasługuje w pełni na dokładniejsze

przypomnienie jej społeczeństwu. Opinia kawalarza, która przylgnęła do Wojciecha Dzieduszyckiego nie powinna przesłaniać potomnym bardziej zasadniczych niż dowcip walorów jego umysłu i charakteru. *Osfafni Sokrates* utoruje może drogę jakiejś obszerniejszej biografii tej wybitnej i oryginalnej jednostki. — Książka Piskora pisana jest stylem przypominającym nieco styl Karola Żbyszewskiego, oczywiście w dużym złagodzeniu. Lapidarność i dosadność wyrażań, charakterystyczna dla obu pisarzy, jest u Piskora mniejsza, bardziej przytłumiona „literackością” opracowania, jednak dość wyraźna, by nadać całej książce modne w tej chwili piętno językowe, którego zadaniem ma być „uwspółcześnienie” spraw i postaci historycznych przez użycie w relacji o nich dzisiejszej mowy potocznej. Na uznanie zasługuje piękna szata graficzna książki, bogato ilustrowanej.

Dość blaha książeczka znanego rysownika i karykaturzysty Zdzisława Czernańskiego *W pluszowej ramie* zawiera jedenaście świetnych portrecików rysowanych i znacznie większą ilość portretów, skreślonych złośliwym piórem Autora. Część pierwsza, dzieciństwo narratora, upływające w Krakowie, karykaturalna rodzina i dziwaczeni pryncypałowie, u których pracował, opisani są z humorem i złośliwością, z werwą komiczną, zwiększoną jeszcze przez doskonałe ilustracje. To są rzeczywiście postacie z „pluszowej ramy”, z mieszczańskiego salonu lat przedwojennych, uchwycone trafnie zarówno w rysunku, jak w opisie, w swoich cechach charakterystycznych, śmiesznościach, próżności, snobizmie. Część druga, lwowska, pozbawiona rysunków także i treściowo jest mniej ciekawa. Humor nie dochodzi tu do głosu. Dzieje ułomnych, „pokreconych fizycznie i psychicznie” braci Kuleszyńskich nasuwają raczej smutne refleksje, a galeria otaczających postaci, z których każda jest również na swój sposób pokrecona wewnętrznie i zdziwaczała, nie pozwala ani Autorowi ani czytelnikowi na swobodny uśmiech, jakim obdarzali tamte postaci, zmartwychwstałe z pluszowej ramy. Kilka dowcipów nie może uratować niepewnej sytuacji tego opowiadania, doczepionego bez wyraźnego związku do posiadającej pewien staroświecki wdzięk pierwszej części.

Mgr Hanna Wierzbicka.

Ludwik Chmaj: *Kierunki i prądy pedagogiki współczesnej*. „Nasza Księgarnia”. Warszawa, 1938, str. 752.

Autorowi tego ogromnego kompendium należy się niewątpliwie wdzięczność, gdyż wypełnił on poważną lukę w naszej literaturze pedagogicznej. Przegląd kierunków i prądów pedagogiki współczesnej to temat, który zainteresować powinien nie tylko pedagogów szkolnych ale wszystkich, którzy się zajmują przebu-

dową psychiki ludzkiej, a więc i działaczy społecznych i oświatowych. Nie rozumiejąc dzisiejszej i wczorajszej szkoły nie można zrozumieć mentalności jej wychowanków. Szkoła stanowi niewątpliwie jakby lustro, w którym odbijają się prądy ideologiczne i teorie naukowe. To też studium dzieła profesora Chmaja (który objął od niedawna katedrę pedagogiki w Wilnie) jest lekturą nie tylko pożyteczną, ale i nader zajmującą. Książka jest wynikiem olbrzymiego nakładu pracy. Zawiera ona osiemdziesiąt krótkich, a nieraz i obszerniejszych opisów analitycznych, a poza tym omawia krótko kilkuset autorów. Podkreślić trzeba, że prof. Chmaj nie zadawał sobie za zadanie zreferowaniem stanowiska omawianych autorów, ale wypowiada przynajmniej w stosunku do niektórych systemów swoje własne oceny. Wprawdzie nie podaje nam Autor systematycznego sformułowania tych miar, które stosuje; wymagałoby to niewątpliwie dalszego rozszerzenia książki; a przy tym tego rodzaju subiektywne ocenianie w książkach naukowych — zdaniem naszym niedopuszczalne — dziś jeszcze jest na ogół w literaturze pedagogicznej powszechnie przyjęte. Stanowisko własne Autora można sobie jednak z wypowiedzianych poglądów i ocen zrekonstruować. Idzie ono wyraźnie po linii obrony wartości osobowości ludzkiej przed przerostem techniki, relatywizmem kulturalnym i naciskiem niwelującym grupy, szczególnie państwa totalnego. W wychowaniu widzi Autor nie tylko uspołecznianie młodego pokolenia i wprowadzenie go w krąg istniejącej kultury, ale sam proces jej odnawiania. „Pedagogika wyzwolona ze swego ciasnego szkolnego ujęcia, stała się jedną z podstawowych kategorii rozpatrywania człowieka, jego historii i kulturalnej działalności, a tym sam kategorią ogólną i powszechną”. W swym najgłębszym znaczeniu jest ona „samorozważaniem życia z punktu widzenia jego zdolności kształtowania siebie samego” (str. 14). Autor docenia w całej pełni zależność pedagogiki nie tylko od prądów naukowych, ale i od filozofii i religii (str. 22); jego stanowisko schodzi się tu z tezą podstawową znanego katolickiego historyka i filozofa wychowania ks. Franciszka De Hovre'a.¹⁾ Prof. Chmaj podkreśla, że „nie można żyć w sposób istotnie ludzki bez poczucia bezpieczeństwa, bez przekonania czy wiary, że życie nasze nie jest bańką mydlaną w ogromie świata, że trudy nasze i zmagania się z bezduszną materią w nas i poza nami posiadają trwałą wartość, gdyż rozwijają siły moralne i przygotowują ostateczne zwycięstwo ducha” (str. 22). Właśnie potrzeby pedagogiki prą do syntezy filozoficznej, bo epoki pozbawione jednolitego poglądu na świat są epokami schyłkowymi i martwymi.

¹⁾ Patrz przeróbkę polską jego książki na ten temat dokonaną przez ks. dra Tochowicza: *Podstawy współczesnej pedagogiki*. Włocławek, 1938, oraz główne dzieło tegoż Autora: *Le Catholicisme — ses pédagogues — sa pédagogie*, Bruxelles.

Najbardziej szczegółowej ocenie poddani zostali: Stanley Hall (który zresztą na to w pełni zasługuje ze względu na rolę, jaką w dziejach pedagogiki odegrał), James, Claparède, Linde, Weber, Gaudig, Kerschensteiner (którego poglądy Autor bardzo słusznie dzieli na dwa okresy i włącza do dwóch różnych rozdziałów), Petersen, autor „planu jenajskiego” (Chmaj ocenia plan ten pozytywnie ze słusznym jedynie zastrzeżeniem przeciwko przesadnemu optymizmowi pedagogicznemu), Durkheim, Barth, Kriek, Devey, Dawid, Karpowicz, Natorp, Spranger, Litt, Hessen, Znaniecki, Gentile, Förster i Mirski. Z prawdziwą przyjemnością czytamy miażdżącą krytykę Durkheima, któremu Autor wytyka zasadnicze sprzeczności. Trudno się też nie podpisać pod krytyczną oceną jednostronności „laboratoryjnej” dydaktyki Devey’a i jego naturalizmu.

Zasadnicze trudności książki odnoszą się do klasyfikacji. Stworzenie systemu, któremu dałoby się podporządkować tak różnorodne kierunki pedagogiczne, nie jest rzeczą łatwą. Istotną wątpliwość nasuwa sama podstawa podziału, oparta na założeniach „antropologicznych”, przy czym Autor terminu tego używa w sensie odrębnym od przyjętego — mianowicie w znaczeniu: „odnoszący się do człowieka”. Chodzi tu o to, jak dany system pojmuje istotę jednostki ludzkiej. Chmaj odróżnia cztery zasadnicze rodzaje teorii pedagogicznych: biologiczne, personalistyczne, socjologiczne i humanistyczne. W klasyfikacji tej zlewają się dwie zasadniczo odrębne podstawy podziału: według założeń teoretycznych i według ideologii. Ponieważ jedno spleta się z drugim w trudnych do rozwikłania węzłach zależności wzajemnej i u niektórych autorów punkt wyjścia i ciężkości systemu jest poznawczy (tam gdzie podstawą są teorie naukowe), a u innych aksjologiczny (systemy oparte na zasadach filozoficznych, religijnych i polityczno-społecznych) więc istotnie trudno decydować, który punkt widzenia należy uznać za miarodajny. Niewątpliwą jest jednak rzeczą, że chodzi tu o dwie odrębne podstawy klasyfikacji, które nie dadzą się do jednego mianownika sprowadzić. Stosunkowo najbardziej jednolitą jest grupa biologiczna. Tutaj postawa aksjologiczna (szczególnie u Spencera i Hall’a) wyrasta z teorii: utylitaryzm jest konsekwencją biologizmu, lecz już u Kretzschmara i Percy Nunna przeważają ideały (zresztą bardzo ciasne) nad teoriami, a nawet mamy przeciwstawienie się wszelkiej teorii. Wątpliwości budzi również pytanie, dlaczego prof. Szuman został zaliczony do przedstawicieli kierunku biologicznego skoro dla niego życie psychiczne nie mieści się w ramach biologicznych (str. 83) i dochodzi on do celów i ideałów pedagogiki humanistycznej. Sam fakt, że ktoś uwzględnia punkt widzenia biologiczny, nie może być podstawą dostateczną, by go do tego kierunku zaliczyć, bo wtedy mniej więcej wszyscy musieliby się tam znaleźć.

Poważniejsze zastrzeżenia budzi druga grupa kierunków, określana jako pedagogika personalistyczna, którą Autor dzieli na trzy działy: kierunek metodologiczny, aktywistyczny i terapeutyczny.

Terminu „personalizm” używa się w dwojakim znaczeniu: teoretycznym (Stern, Scheler i inni) i ideologicznym (Maritain, Karol Górski i inni.¹⁾) Autor używa terminu tego w pierwszym znaczeniu. I tu jednak mści się brak rozgraniczenia punktu widzenia teoretycznego i aksjologicznego. Pierwsza podgrupa (kierunek metodologiczny) — jak się nam wydaje — zawiera wprawdzie w założeniach pewne zaakcentowanie roli osobowości i prymatu psychiki jednostkowej — lecz istotne są inne punkty widzenia — tak np. aksjologiczny przy wychowaniu artystycznym. W żaden sposób nie możemy się zgodzić na zaliczenie do kierunku personalistycznego pedagogów komunizujących, jak Seidel i komunistów jak Błoński i Spasowski. Jeśli, jak już z tytułu rozdziału i treści wynika, szkoła ma być „narzędziem do przebudowy społecznej”, to wszystkie akcenty, położone na aktywności jednostki, stają się czynnikiem drugorzędym; a nawet mamy tu — w ideologii — skrajną negację osobowości ludzkiej. Mocno nienaturalne wydać się też musi uszeregowanie takich nazwisk jak: Wundt, Willmann, Petersen, Szczepanowski i Zarzecki. Samo pojęcie wspólnoty życia jako czynnika wychowawczego jest kategorią socjologiczną a nie psychologiczną. Z drugiej strony Willmanna jako pedagoga katolickiego można zrozumieć tylko przy uwzględnieniu założeń światopoglądowych. Systemy katolickie mają jako zasadniczą swą cechę uniwersalizm i syntezę przeciwieństw (*coincidentia oppositorum* Mikołaja z Kuzy). Można by więc każdy z tych pierwiastków wziąć jako podstawę klasyfikacji i zaliczyć Willmanna np. do kierunków biologicznych. Wątpliwości można też wysunąć na temat czy wychowanie oparte na sugestii (Guayu, Bernheim) musi zakładać personalizm w znaczeniu psychologicznym.

To samo mieszanie się aksjologicznego i teoretycznego założenia występuje niemniej silnie w klasyfikacji pedagogiki socjologicznej. Sama ta nazwa odnosi się do nauki socjologii (a raczej tutaj tylko do pewnych jej kierunków), tymczasem mamy w tym rozdziale omówienie i pedagogiki politycznej (szczególnie Kriecka), której założenia nie są poznawcze, ale ideologiczne. Dodać tu zresztą można, że niektóre teorie socjologiczne, jak szczególnie system Durkheima, mają pewne swoje zabarwienie ideologiczne. Jest to jednak tutaj czynnikiem wtórnym.

Określenie czwartej grupy jako „pedagogiki humanistycznej” wydaje nam się również nieprzekonywującym. „Hu-

¹⁾ Patrz na ten temat, Karol Górski: *Wychowanie personalistyczne oraz rozprawkę Autora Personalizm i jego perspektywy*, odbitka z *Verbum*, 1938.

manistyczne" nastawienie można jedynie przeciwstawić przyrodniczemu a nie „socjologizmowi”, bo ten również odnosi się do zagadnień „humanistycznych”. Autorowi chodzi o przeciwstawienie wartości kulturalnych, wartościom społecznym, postawie psychologicznej i biologizmowi. Skoro zmienimy ten termin, wtedy ujawni się natychmiast, że np. Znaniecki dostał się na zupełnie niewłaściwe miejsce, podobnie jak i cały kierunek religijno-moralny z Försterem na czele i personalizmem ideologicznym Maritaina i Górskiego. Miejsce Znanieckiego jest wśród kierunków teoretycznych, opartych na socjologii — a kierunki religijno-moralne i personalistyczne, do których należałoby zaliczyć również Gaudiga i Willmanna, mają niewątpliwie jako wspólną podstawę akcent na rozwoju osobowości jednostki, posiadającej nieśmiertelną duszę.

Uważamy, że klasyfikacja ta byłaby wypadła szczęśliwiej, gdyby Autor był rozdzielił i skoordynował dwa punkty widzenia, odpowiadające też zupełnie wyraźnemu podziałowi systemów: aksjologiczno-ideologiczny i teoretyczny.

Drugi rodzaj wątpliwości, już mniej istotnych, dotyczy wyboru autorów i proporcji ilości miejsca, jaką im Autor poświęcił. Dominięci zostali zupełnie m. in.: Prof. Jaksa-Bykowski, O. Jacek Woroniecki, De Hovre, a ze zmarłych już autorów: Spalding, kard. Mercier, kard. Newman i Antoni Danysz. W stosunku do gruntowności, z jaką został omówiony Karpowicz, było może lepiej omówić, choć po krótko, takich autorów, jak: Maritain, Karol Górski, Heine, Schröteler, Bopp, Behn i wymienieni powyżej, których Autor zupełnie opuścił. Kierunek religijno-moralny został potraktowany niezwykle krótko — niewątpliwie i dlatego, że znalazł się w układzie przyjętym przez Autora na samym końcu i trudno było już tak obszerne dzieło rozszerzać. Trzeba jednak podkreślić, że kierunek ten wydaje się być najbliższym przekonaniom Autora.

Zrozumiałe przy każdej tego rodzaju próbie systematyzacji trudności i niepowodzenia klasyfikacyjne nie ujmują jednak książce jej wielkich wartości jako fundamentalnego i niezastąpionego kompendium orientacyjnego.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Cyta i Zuzanna Malard: *Bóg Żywy, misterium radiowe o Męce Pańskiej*, str. 230, Księgarnia Św. Wojciecha.

Wanda i Stanisław Miłaszewscy, *Wspomina my*, t. I str. 261, t. II str. 194, Księgarnia Św. Wojciecha.

Eugenia Kobylińska, *Wielki Tydzień*, powieść współczesna, str. 320, Księgarnia Św. Wojciecha.

Wymienione powyżej książki stanowią pierwszą serię tego rocznego cyklu „Biblioteki Katolickiego Funduszu Wydawniczego” (B.K.F.W.). O ile dotychczas inicjatywa „Funduszu” krytykowana

była tu i ówdzie jako swego rodzaju „katolicka utopia“, to teraz największy pesymista patrząc na pierwsze cztery „jasne książki“ będzie musiał co najmniej powstrzymać się od wypowiadania dalszych krytycznych uwag. Biblioteka Katolickiego Funduszu Wydawniczego weszła w drugi etap swego rozwoju.

Na pierwszy plan spośród „jasnych książek“ wysuwa się niewielkie, ale bez wątpienia najcenniejsze dziełko *Bóg Żywy*. Są to oryginalne, do nowych czasów i wymagań przystosowane, reportaże radiowe opiewające największą tragedię ludzkości — umęczenie Pana Jezusa. Cita i Zuzanna Malard, matka i córka głośne są we Francji. „Młoda czarodziejka fal radiowych“ umiała wznioście i „oklepane“ prawdy ewangeliczne ubrać w taką szatę, że nawet komunizujące radio francuskie zdecydowało się na ich wygłoszenie, a niemal każdy Francuz bez względu na jakość swych przekonań religijnych, trwał przy głośniku i czekał z dreszczem na następną audycję. Reportaże opublikowano następnie drukiem. Rozchwytano je w oka mgnienia. Ukazały się tłumaczenia obce. Wydano je wreszcie i u nas. Świetny tłumacz p. Andrzej Rybicki oddał nie tylko wszystkie odcienie oryginału, ale włożył w swój przekład tyle poezji, powagi i ducha, iż bez przesady można powiedzieć — lepszego tłumaczenia nie da się pomyśleć.

„Święty dramat“ w wykonaniu radiowym rozpada się na cztery fragmenty, odpowiadające porze przedwieczornej Niedzieli Palmowej, Wielkiego Czwartku, Wielkiego Piątku i Niedzieli Wielkanocnej. Jak gdyby cztery akty wielkiej tragedii klasycznej. Swobodny przelot nad czasem i przestrzenią. Śmiałe odtworzenie wyobraźnią wszystkich szczegółów klęski i triumfu Boga-Człowieka.

Nie ma tu żadnych dekoracji, żadnego upiększania — jest tylko naga prawda!

Ulica wielkiego miasta. Czyż trzeba ją widzieć, skoro ją słyszymy? Pogwar i szum przewalających się tłumów, wir spraw i interesów, wielkie i małe ideały — od „budowniczych ludzkości“ do „sprzedawców własnej godności, duszy i ciała“... I oto do duszy tłumu przedostaje się doniosły głos speakera radiowego: „Sensacyjny reportaż!“

Oczywiście... Któż by nie słuchał. Ze zwykłego referowania faktów padają jak ciężkie kamienie uwagi i pytania, na które każdy uważny słuchacz odpowie zdaniem nabrzmiałym niezniszczalną treścią.

Słowa reportera powracają do duszy słuchacza, prężą się z naciskiem zmiennym, zawsze nowym i wywołującym rekolekcyjne refleksje.

Cała akcja zwartego reportażu skupia się około jednego pytania — kto to jest Jezus z Nazaretu? Ludzkie indywidua, życiowe sytuacje i dramatyczne wątki przesuwają się przed oczami słuchacza z niezwykłą mocą i pośpiechem. Wszystkie drgnienia akcji są trafne i osiągają swój cel bez względu na to,

kto w niej bierze udział, jak reaguje na wypadki, jak odpowiada i co przeżywa.

Kilka szczególnie wyrazistych sylwetek zdobią cechy doskonałego rysunku artystycznego. Mówią one tak jędrnym i soczystym stylem, że aż dziwne, jak autorki umiały się wczuć w rozgwar dusz tych postaci. Przeczytawszy dziełko pań Malard, nie zdumiewamy się takim odpowiedziom słuchaczy, którzy nadsyłali do autorek masowo listy dziękczynne:

...„Teraz, jeśli zapyta mnie ktoś, kim jest Jezus z Nazaretu, odpowiem: To jest nasz najukochańszy, najwierniejszy i najpewniejszy przyjaciel, a przy tym pocieszyciel najszczerzy... To jest jedyna podstawa i jedyny sens życia...”

Warto naprawdę bliżej zainteresować się *Bogiem Żywym*. Książka ta może się stać nieodstępnym *vademecum* człowieka dzisiejszego, tak jak *O naśladowaniu Chrystusa!* W okresie Wielkiego Tygodnia nadawano i u nas z rozgłośni lwowskiej powyższe słuchowisko. Niestety, słabe wykonanie, kiepski zwłaszcza głos reportera, mógł raczej zniechęcić czytelnika do wspaniałej książki.

Mówi o niej głośny jezuita o. Piotr Lhande: ...„aby odnaleźć w historii podobne wzruszenia, podobne przeobrażenia duchowe, trzeba by chyba cofnąć się do misteriów średniowiecznych: do tych wielkich widowisk popularnych, po których wszyscy uczestnicy: aktorzy i widzowie — szli wieczorem przez ulice miast bijąc się w piersi — albo też w wielkanocne rano, wołając w niewysłowionym uniesieniu: „Chrystus zmartwychwstał!”

Dwa tomy *Wspominamy* Wandy i Stanisława Miłaszewskich — to niespotykany na codzień pamiętnik, i w ogóle oryginalny rodzaj literacki.

Wanda Miłaszewska ma swoich „wyznawców” — ma też przeciwników. Na szczególną uwagę zasługuje w jej twórczości piękny styl. Swadę i gładkość pióra posiada w stopniu wysokim. I może dzięki tej zalecie wydobywają się na jaw inne zalety literackie jej dzieł — szczerłość i bezpośredniość.

W książce *Wspominamy* autorka obok autobiograficznych relacji, które jej przeciwników na pewno zdenerwują, bo jest tych relacji trochę za wiele — kreśli znane i mniej znane postaci: Korzona, Stanisławskiego, Wiwulskiego, Drabika i mistrza Paderewskiego. Rysunek ich nie jest „uroczysty”, według utartych szablonów literackich — ale w tym oryginalny, że wzięty od strony codziennej, anegdotycznie śmiesznostkowatej i dla każdego miłej.

Opisywane przez Miłaszewską postaci — to ludzie dobrzy, godni wspomnień trwałych, historycznych. Całość owiana optymizmem a czasem humorem przez łyzy, jak np. w opisie Wiwulskiego zdeklarowanego gruzlika, który przemocą „tuczy się befszytkami” byle dokonać dzieła „Grunwaldu”.

Mimo śmiesznośtek i nieszkodliwych dziwactw każda z postaci występujących w książce Miłaszewskiej — przejawia cechy wielkiego i mocnego charakteru.

Drugi tom *Wspominamy* wyszedł spod pióra Stanisława Miłaszewskiego, poety i dramatopisarza. Tom ten jest znacznie miłszy w czytaniu, bardziej zwarty, więcej rzeczowy i przede wszystkim nie obciążony balastem autobiograficznych wyznań, czego nie można powiedzieć o tomie pierwszym. Szkicuje Miłaszewski postaci: Żeromskiego, Reymonta, Weyssenhoffa, Rostworowskiego i in. Są to znajomi i przyjaciele Autora, toteż nic dziwnego, że stara się pisać o nich ze strony dodatniej. Nie wiem czy zawsze na poglądy Miłaszewskiego można się w zupełności pisać, zwłaszcza jeśli chodzi o wywody dotyczące religijności Żeromskiego — to wszakże pewne, że *Wspominamy* owiewa poczucie odpowiedzialności za głoszoną prawdę. Miłaszewski z wolą czy mimo woli przeciwstawia się zakorzenionej u nas metodzie „odbrązowiania“, demaskowania i ośmieszania najwybitniejszych przedstawicieli naszej literatury. *Wspominamy* jako wyraz chrześcijańskiego spojrzenia na bliźnich, zmarłych — jest dziełem dobrze zakwalifikowanym do cyklu „jasnych książek“.

Na koniec zostawiłem czwartą z kolei książkę Eugenii Kobylińskiej *Wielki Tydzień*. Powieść ta ma już swój rozgłos. Nabrała go pierw, nim dotarła do rąk czytelnika.

Uległa konfiskacie, ponieważ stwierdził ktoś, że książka portretuje i fotografuje ludzi jeszcze żyjących. Wbrew insynuacjom — konfiskatę szybko cofnięto. Całe szczęście, bo *Wielki Tydzień* to książka naprawdę dobra, a Eugenia Kobylińska posiada świetnie zapowiadający się talent.

Akcja zwarta, ogranicza się do sześciu dni Wielkiego Tygodnia. Autorka porusza w niej problem duchowej przemiany dwóch bohaterów: młodej nauczycielki, owdowiałej Masi Sielskiej i inżyniera Witolda Okęckiego. Wartość powieści spoczywa nie w temacie, boć „nawróceń“, przeobrażeń duchowych w naszych celniejszych utworach nie brak — ale w artystycznym wyzyskaniu całego spłotu motywów rzeczowych i literackich, powodujących przemianę. Otóż pierwszym takim motywem jest naturalny podkład duchowy obojga bohaterów — ani Masia, ani Witold nie mogli pozostać w takim stosunku do wiary, jaki zarysowuje się na początku powieści. Bo są to dusze z natury chrześcijańskie, a od katolicyzmu odwodzą je tylko pewne naloży, urazy i rozczarowania. Kobylińska nieświadomie zdaje się poruszyła w powieści głęboki problem teologiczny *gratia non tollit naturam sed eam elevat*.

I w tym właśnie tkwi główna zaleta katolickiej tematyki *Wielkiego Tygodnia*, w którym ludzie są ludźmi pełnymi, i których duchowe przeżycia nie rozgrzewają się w abstrakcji, w po-

wietrze nie wiszą, lecz mają podkład w realnych *hic et nunc*, stwierdzonych stanach ludzkich przeżyć.

Drugim motywem tematowym jest wysubtelniony wątek erotyczny, zadzierzgnięty między Masią a Witoldem nie w warunkach zwykłych, i nie dlatego, że Masia jest piękną kobietą a Witold rasowym mężczyzną, lecz zrodzony we wspólnym wyczuciu jednej i tej samej prawdy — w odzyskaniu pełnej wiary nad łóżkiem chorego dziecka.

Kobylińska wprowadzając na widownię cierpiącą Sabinę, której choroba szarpie najczulszymi strunami dusz Witolda i Masi — porusza znowu głęboki problem cierpienia w życiu ludzkim i przedstawia *ad oculos* czytelnikowi przykład jak cierpienie zdolne jest człowieka nie tylko uszlachetnić, ale do gruntu zmienić.

Rzecz dzieje się w Wilnie. Autorka kocha to miasto i opiewa jego piękno niemal na każdej stronicy powieści. Kocha lud wileński z jego zaletami i wadami, z jego naiwnością i sercem gołębim. Janowa, stara służąca, nie jest li tylko epizodyczną postacią, źródłem humoru powieści(!), ale stanowi oś cech obyczajowo-regionalnych. Wspaniała kreacja tej postaci wykazuje, jak bogata i wnikliwa jest wyobraźnia Kobylińskiej, operującej chwytami ogólnymi dla naszkicowania całokształtu obyczajowego rysunku.

Ma powieść i swoje wady, bo Kobylińska jest autorką o zbyt bogatych pokładach pisarskich — a mało jeszcze zdyscyplinowanej rutynie. Ujawniło się to w nieszczęśliwej dwuplanowości akcji — odbywającej się w teraźniejszości i przeszłości. Retrospekcja jest w ogóle nużąca, a coś dopiero w zestawieniu z żywą akcją teraźniejszą! Zbigniew Sielski, o którego Kobylińska miała tyle... nieprzyjemności, nie dlatego godzien jest „potępienia”, że ma rzekomo przedstawiać czyjaś „fotografię”, ale ponieważ jako twór literacki wypadł słabo i nieudolnie. Szkoda. Dałoby się jeszcze wytknąć te i owe braki w kompozycji — ale po co? Kobylińska jest talentem, a talent szlifuje się sam, stopniowo. Pouczenia krytyków czy recenzentów nie odgrywają w tym procesie większej roli.

Wacław Malewski.

Mgr A. Bartoszek: *Łemkowie zapomniani Polacy*. Wyd. „Komitetu do spraw szlachty zagrodowej na wschodzie Polski”. Warszawa, 1939, str. 64 + mapka i ilustracje.

Dr Krystyna Pieradzka: *Na szlakach Łemkowszczyzny*. Wyd. tegoż „Komitetu”. Kraków, 1939, str. XII + 293, 2 mapki i 63 ilustracje w tekście.

Tendencja pierwszej z wymienionych prac o Łemkowszczyźnie została uwidoczniiona w tytule. Według tytułu, Łemkowie stanowić by mieli po prostu jeden ze szczepów narodowości polskiej, lecz zapomniani przez własnych rodaków i mylnie do innej narodowości zaliczani. Tak broszurę zrozumieli już niektórzy recen-

zenci i publicyści, wyprowadzając stąd określone polityczne wnioski. Tendencja odszukania, gdzie się da, śladów zaginionej Polski jest niewątpliwie pożądana zarówno ze stanowiska naukowego, jak i ze stanowiska polityki narodowej. Zaginionych Polaków wolno przeto poszukiwać i wśród Łemków. Pytanie jednak, czy mgr Bartoszkowi powiodło się udowodnienie tego, co obiecuje w tytule swej broszury. Na to pytanie trzeba, niestety, odpowiedzieć: nie!

Autor chciał oprzeć swój dowód na badaniach brzmienia nazwisk, ograniczając zresztą swe badania do terenu tzw. Łemkowszczyzny zachodniej, czyli czterech powiatów województwa krakowskiego (jasielski, gorlicki, nowosądecki i nowotarski). Nazwiska te badał w spisach ludności z r. 1931. Z polskiego brzmienia tych nazwisk ma wypływać polskość ich posiadaczy, chociażby obecnie należeli oni do obrządku grecko-katolickiego i używali języka ruskiego, jako ojczystego. W tym ostatnim razie mamy, zdaniem Autora, do czynienia z Polakami zruszczonymi i przeciągniętymi na obrządek grecki, a zatem z Polakami, o których winien się upomnieć naród polski i którymi winien się szczególnie zaopiekować.

Jak widać z podanego zestawienia ogólnego, Autor zanotował na badanym terenie 6,816 rodzin, liczących razem 27,198 głów. z nazwiskami o brzmieniu polskim. W tej liczbie znalazł 15,807 „głów“, należących do obrządku łacińskiego i zapewne mieszczących się także w cyfrze 16,562 głów, które przy spisie 1938 r. określiły swój język, jako polski. Godzi się mniemać, że te kilkanaście tysięcy Polaków-łacinników mieszkają tylko wśród Łemków i zapewne protestowałiby przeciwko zaliczaniu ich do nich. Te więc kilkanaście tysięcy nie nadają się na dowód pierwotnej polskości łemkowskiego plemienia. Pozostaje więc tylko 9,825 głów greko-katolików i 1,566 prawosławnych; razem 11,391 możliwych Łemków o polskich nazwiskach. Kilkuset z nich podało też język polski jako swój własny, tak iż Łemków o polskich nazwiskach ale nie przyznających się językowo do polskości pozostaje nieco więcej ponad 10,000. Czy wszyscy oni pochodzą niewątpliwie od Polaków, zależy od tego, czy Autor broszury do liczby nazwisk polskich zaliczył tylko nazwiska, które nie mogą być równym prawem nazwiskami iście ruskimi. Naszym zdaniem, takie nazwiska, jak: Krynicki, Wisłocki, Sobolewski, Czajkowski i wiele innych o polskim brzmieniu, jakie zbadał Autor, mogły być równie dobrze ruskimi, a badania historyczne rzeczywiście wykazują, że już przed kilkuset laty należały te nazwiska do Rusinów i to prawosławnych, przed wprowadzeniem unii. Są to nazwiska, które pochodzą od wyrazów, wspólnych kilku językom słowiańskim i trafiające się także u niewątpliwych Rosjan. A już takie nazwiska, jak: Horodecki, Hoszowski, Popeński, Bałabajski, Czertyżyński, Fedorowski i wiele innych, zaliczonych przez Au-

tora do nazwisk o brzmieniu polskim, lingwista odniesie na pewno do kategorii nazwisk pochodzenia ruskiego. Po uwzględnieniu tych zastrzeżeń ilu pozostanie Łemków o niewątpliwie polskich nazwiskach i niewątpliwie polskiego pochodzenia?

Lecz weźmy założenie dla Autora najkorzystniejsze, mianowicie, że wszystkie zbadane przez niego nazwiska są niewątpliwie polskie i 10 czy 11 tysięcy dzisiejszych Łemków, greko-katolików lub prawosławnych, są potomkami niewątpliwych Polaków. Czy upoważnia to do twierdzenia ogólnego, że Łemkowie to są „Polacy zapomniani”? Taki wywód może ostałby się, gdyby owe 11,391 głów stanowiły całą ludność łemkowską na badanym terenie, tj. gdyby nie było innych Łemków, którzy wcale nie noszą nazwisk o brzmieniu polskim. Autor nie zaprzecza wprawdzie, że i tacy Łemkowie istnieją, ale pominął ich zupełnie w swoich badaniach, tak iż ktoś, kto o składzie ludności na Łemkowszczyźnie będzie sobie urabiał pojęcie jedynie na podstawie tej broszury, łącznie z jej tytułem, ulegnie iluzji, że innych Łemków nie ma, jak tylko ci, których zbadał Autor i którzy noszą polskie nazwiska. Tymczasem, jak jest w rzeczywistości? Według *Małego Rocznika Statystycznego* w powiatach województwa krakowskiego spis z r. 1931 wykazał greko-katolików 51,800 i prawosławnych 12,000; razem 63,800 dusz wschodnich obrządków; cyfrze tej odpowiada mniej więcej ilość osób, które podały język ruski, wzgl. ukraiński za język ojczysty (58,300 i 2,100). Cyfry te przypadają prawie całkowicie na wsie, a wsie z ludnością ruską w województwie krakowskim to właśnie tylko zachodnia Łemkowszczyzna. Dane spisu z r. 1931 potwierdza *Szematyzm* Administracji apostolskiej Łemkowszczyzny na r. 1936, który w parafiach, należących do województwa krakowskiego, greko-katolików, razem z prawosławnymi podaje także 63,000 (według mojego wyciągu). Jeżeli zatem na tym samym terytorium znajduje się tylko 11,000 Łemków o polskich nazwiskach, a wszystkich Łemków jest tam 63,000, to jakie nazwiska noszą 52,000 Łemków i czy te pięć szóstych całej ludności łemkowskiej, dyskretnie pominięte w badaniach mgra Bartoszuksa, świadczą także o ich polskim pochodzeniu, czyli czy można mówić o polskości wszystkich Łemków, jak to narzuca czytelnikowi tytuł broszury Autora?

Niewątpliwie Autor zarówno, jak wydawcy, powodował się szlachetnymi pobudkami politycznymi, ta okoliczność jednak nie może nikogo dyspensować od obiektywizmu w badaniach, które mają być naukowymi.

Dużo różni się od poprzedniej broszury — i to na swoją korzyść — praca dr K. Pieradzkiej, wydana przez tych samych wydawców. Autorce również nie są obce patriotyczne pobudki i ona wzywa do zainteresowania się Łemkowszczyzną, do narodo-

wej i kulturalnej pracy polskiej wśród Łemków. Z przedstawienia Autorki wynika, że wśród Łemków żyje pewna liczba Polaków i może znajduje się pewna liczba Polaków zruszczonych, ale ostatecznie Łemkowie są Łemkami, plemieniem, na które złożyły się rozmaite ingrediencje: Polacy, Wołosi, Rusini, trochę Węgrzy. Autorka przeprowadza swą rzecz historycznie, wykazując do kogo należały te obszary od zarania historii, kiedy mniej więcej przychodziła i jaka przychodziła fala osiedleńców na te górskie i leśne pustacie. Autorka badanie swe ograniczyła również tylko do powiatów łemkowskich województwa krakowskiego. Według jej badań pustacie te należały najpierw do królów polskich, potem do kilku wielkopolańskich rodzin i do biskupstwa krakowskiego. Właściciele starali się w różnych czasach o ich zaludnienie. Z północy szła fala osiedleńców polskich i najstarsze kościoły były kościołami łacińskimi, lecz od wschodu, górami, posuwały się inne fale pasterzy Wołochów i Rusinów, niosąc ze sobą wschodni obrządek. Z tych wszystkich elementów, wytworzył się amalgamat narodowościowy i lingwistyczny, zwany obecnie Łemkami, który przy tym uległ także wpływom sąsiednich Słowaków. Autorka przytacza w swej pracy wiele cennego historycznego materiału. Naszym zdaniem, może w formowaniu się Łemków za wiele wpływu przypisuje Wołochom, a za mało Rusinom, podczas gdy dialekty łemkowskie bądź co bądź wykazują wielką przewagę pierwiastków ruskich.

Zanotowaliśmy dotąd tylko te strony książki, które odnoszą się do kwestii pochodzenia Łemków. Książka dr Pieradzkiej nie ogranicza się jednak do tego. Jest raczej monografią Łemkowszczyzny, rozpatrującą ten zakątek kraju z różnych stanowisk: kultury ludowej, gospodarstwa, nawet wartości klimatycznych, leczniczych i turystycznych. Zarzuciłbym tylko, że za mało poświęca uwagi zagadnieniom kościelnym i pracy oświatowej, którą prowadzą z różnym powodzeniem organizacje ruskie. Poza tym, napisana lekkim językiem, bogato ilustrowana i pięknie wydana książka stanowi ważny wkład do literatury o Łemkowszczyźnie.

Ks. J. Urban T. J.

Władysław Tomkiewicz: *Więzień kardynała*. Warszawa, „Rój”, 1939, str. 251.

Więźniem był trzysta lat temu królewicz polski Jan Kazimierz; kardynałem, który go uwięził, posagowy, wszechwładny Richelieu. W książce otrzymujemy nie sensacyjną wymyśloną powieść, ale ściśle historyczną opowieść o niezwyklej przygodzie, jaka spotkała brata króla Władysława na francuskiej ziemi. Jan Kazimierz, udający się okrętem genueńskim do Hiszpanii, popełnił nieostrożność, wstępując po drodze dla rozrywki na ziemię francuską, której rząd prowadził ciągle zatargi z Habsburgami.

Nieostrożnemu turyście zrobiono zarzut szpiegostwa, uwięziono go i włóczono po różnych zamkach w dokuczliwych więziennych warunkach. O bepodstawności rzuconych podejrzeń dobrze wiadano w Paryżu, ale chciano z brata króla polskiego uczynić zakładnika politycznego i mieć w ręku atut do politycznych targów. W istocie przykry fakt posiadania w ręku Richelieu'go Jana Kazimierza wiązał ręce Władysława w jego zamierzeniach politycznych. Książka barwnie i plastycznie opisuje udręki więźnia, starania króla i dyplomatów życzliwych rządów w celu uwolnienia, opis wysłanego z Polski do Paryża poselstwa, protokół przetargów dyplomatycznych i etykietalnych trudności aż do uwolnienia królewicza i wypuszczenia go z honorami z kraju, do którego po latach trzydziestu znów miał wrócić po złożeniu królewskiej korony.

Książka Wł. Tomkiewicza nie jest tylko prostym powtórzeniem rzeczy już dawniej znanych historykom (np. Kubali), lecz pracowitym studium, opartym na nowych archiwalnych badaniach Autora w kraju i za granicą. Wydanie jej w „Roju“, a nie w jakiejś serii akademickich wydawnictw, wyszło jej o tyle na korzyść, że nie tracąc ze swej naukowej wartości dotrze ona do rąk szerszej czytającej publiczności, zaznajamiając ją z ciekawym epizodem burzliwego życia ostatniego Wazy.

Ks. J. Urban T. J.

Rozalia Pakowska: Polskie przekłady poematów Byrona. „Childe Harold“ i „Manfred“. Kraków. 1938. Str. 167.

Na przykładzie tłumaczeń *Childe Harolda* i *Manfreda* Autorka stara się wnikać w wartości treściowe i artystyczne polskiego oddania piękna poezji wielkiego romantyka angielskiego. Ciekawe są te zmagania się różnych naszych tłumaczy z treścią i formą narzuconą im przez obcą indywidualność, ale ciekawsze są jeszcze wyniki, do jakich ostatecznie dochodzą. Przejaw różnych uzdolnień i indywidualności, a często i prądów epoki znajduje tu swój wyraz. Wykazuje to Autorka na szczegółowych przykładach, wychodząc ze słusznego założenia, że „paralelne zestawienie wartości artystycznych oryginału z przekładami, uświadamia nam bogactwo słowne i obrazowe obcej literatury oraz daje nam należyte pojęcie o tym, czym powinien charakteryzować się przekład i jakie walory wnosi on do literatury rodzimej“. Szkoda tylko, że trud zdobycia tej właśnie syntezy pozostawiono czytelnikowi.

Ks. J. Mikula T. J.

Ignacy Schreiber: Praca domowa ucznia. Kraków. 1938. Str. 190.

Niedoceniane prawie do ostatnich czasów zagadnienie zwraca na siebie coraz baczniejszą uwagę sił fachowych i starszego społeczeństwa, któremu troska o dorastające pokolenie leży głęboko

na sercu. Praca domowa ucznia — to uzupełnienie i pogłębienie jego pracy w szkole, tylko, że dokonywane bez kierownictwa nauczyciela, bez środków i pomocy szkoły, a w warunkach najczęściej nieodpowiednich. Właśnie w te warunki, polskie warunki, zbadane ściśle na terenie jednej klasy, usiłuje wniknąć praca p. Schreibera. Przeciętny czytelnik, ba, często nawet sami rodzice i zawodowi wychowawcy nie zdają sobie sprawy z tego, ile to najróżnorodniejszych czynników, na ogół niedostrzeganych i niedocenianych, to znowu wręcz lekceważonych utrudnia i obniża wydajność i poziom pracy młodego pokolenia, paczy jego charakter, niszczy siły i zdrowie, wynaturza swobodny rozwój fizyczny. Ileż to cichego zaparcia, heroicznej walki, dramatycznych konfliktów przejść musi niejednokrotnie to młode serce w walce o swe słuszne prawa! Cóż dziwnego, że często kończy się prawdziwą tragedią? A przecież przy dobrej woli łatwo by można było tego uniknąć. Wielką zasługą pracy p. Schreibera jest, że nam te prawdy prosto i otwarcie przedstawia, że nas uświadamia co do ich znaczenia, a przez to skłania do usunięcia zaniedbań w tej dziedzinie. Niech czytelnika nie odstrasza, że Autor opiera się na materiale konkretnym jednej klasy określonego gimnazjum, bo chociaż warunki w szczegółach przedstawiają się różnie, na różnych terenach, jednak pewna przeciętna powtórzy się prawie zawsze, a w każdym razie ich zestaw ogólny i uwypuklenie ich znaczenia pozostaną trwałą zasługą Autora.

Ks. J. Mikula T. J.

L'Abbé Herbert Bednorz: *Le Concordat de Pologne de 1925. Nomination aux Sièges Épiscolaux et aux Paroisses. Commentaire avec comparaison aux autres Concordats d'après-guerre.* Paris. Les Éditions Domat - Montchrestien, 1938. Str. 212. — Skład: u Autora, Katowice, ul. św. Pawła 6; cena 5 zł.

Praca powyższa, przedstawiona jako teza doktorska na wydziale Prawa Kanonicznego na Katolickim Uniwersytecie w Paryżu, ma za przedmiot normy prawne o nominacji na biskupstwa i probostwa, ustalone przez konkordat polski z r. 1925. Zajmuje się więc dziedziną nadzwyczaj ważną tak dla Kościoła, jak i dla państwa.

Na wstępie omawia Autor dawniejsze układy o charakterze konkordatowym, zawarte przez Stolicę św. bądź to z dawną wolną Polską, bądź z państwami zaborczymi, ale o mocy obowiązującej także na ziemiach polskich przez nie przywłaszczonych. Następnie w trzech rozdziałach omawia kolejno: zasady ogólne przyjęte przez Polskę za podstawę przy obsadzaniu stolic biskupich i probostw; zasady szczegółowe dotyczące nominacji biskupów; wreszcie zasady szczegółowe, normujące obsadzanie probostw. W każdym rozdziale omawia Autor najpierw odnośne artykuły konkordatu polskiego, zestawiając je z odpowiednimi

normami Kościoła, wyrażonymi w Kodeksie Prawa Kanonicznego; a następnie porównuje w danym punkcie konkordat polski z innymi konkordatami powojennymi.

Jasny, logiczny układ pracy, drobiazgowo dokładna i wnikliwa analiza artykułów konkordatu w zestawieniu ich z Prawem Kanonicznym, równie szczegółowe i sumienne porównywanie norm przyjętych w konkordacie polskim z normami innych konkordatów — oto najważniejsze zalety pracy. A owocem jej — lepsze i głębsze zrozumienie ducha naszego konkordatu w tej tak ważnej dziedzinie, która zawsze nastręczała dużo trudności w stosunkach między Kościołem i państwem.

Dodajmy jeszcze, że praca napisana jest poprawną francuszczyzną, która nawet wybrednego francuskiego czytelnika nie zniechęci do czytania. Szkoda tylko, że Autor powierzył swą pracę drukarni zagranicznej, która nie posiadała czcionek polskich dla poprawnego oddania tak licznych w pracy nazwisk polskich i tytułów dzieł polskich.

Ks. B. Waczyński T. J.

T. Lehr-Spławiński: Szkice z dziejów rozwoju i kultury języka polskiego. Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa, 1938. Str. 210.

Trudno o wierniejszego i bardziej stałego towarzysza dziejów i spraw narodu niż jego język. Symbol świata zewnętrznego i wewnętrznych przeżyć człowieka, najdoskonalszy środek wzajemnego porozumienia, zdolny wskutek tego do objęcia i zamknięcia w sobie całości życia ludzkiego, — język staje się już z natury swej przeznaczony na nierozłącznego towarzysza wędrówki dziejowej każdego narodu od najdawniejszej jego pra-pra-kolebki poprzez wszystkie stadia rozwojowe aż do zmięczenia jego historii. Co więcej, jako twór materialny i złożony, a przy tym sprawny i elastyczny, łatwo staje się odbiciem zmian rylcem czasu rzeźbionych w losach każdej społeczności narodowej. Nic zatem dziwnego, że dla wyjaśnienia wielu zagadnień, związanych z kulturą i rozwojem narodu, sięga się coraz częściej do tego osobliwego dokumentu, tym częściej im bardziej doskonałą się metody badań językowych. Przed uczonymi odkryła się nowa dziedzina dociekań, dziedzina potwierdzania lub odrzucania wniosków innymi drogami zdobytych, ustalania nowych syntez i hipotez. Dziedzina to subtelna i głęboka, ale też właśnie dlatego pociągająca i dająca prawdziwe zadowolenie badaczowi. A chyba nie tylko badaczowi; da je bez wątpienia każdemu, dla kogo język nie jest czymś obcym, ale bliskim i dobrym powiernikiem jego myśli i spraw, wzruszającym głosem przeszłości i chwały narodowej, słodką więzią jedności i wspólnoty obywatelskiej.

Takich właśnie uczuć i wzruszeń dostarczy każdemu Polakowi książka prof. Lehr-Spławińskiego. Pierwszych pięć rozdzia-

łów poświęconych badaniom odbić i śladów różnorodnych wpływów w języku polskim ujmie i zaciekawi czytelnika obfitością i jakością możliwości kryjących się pod powszednią formą tego naszego codziennego przyjaciela oraz subtelnością wyprowadzanych stąd niektórych wniosków, np. co do pochodzenia języka literackiego. Urok nowości i niepospolitości języka, zatarty i przyproszony w zgiełku codziennego posługiwania się i mocnego spoufalania się z nim, znakomicie się odświeża i odnawia po przeczytaniu tych rozdziałów. Dla wielu będą to nowe horyzonty. W następnych artykułach przewinie się przed wyobraźnią czytelnika szereg tych na ogół niegłośnych postaci, które od czasów najdawniejszych aż do ostatnich poświęcały swe prace i trudy trosce o rozwój, kulturę, poznanie i pogłębianie naukowe języka ojczystego. Poczet jednostek wyryty w pamięci każdego Polaka ze względu na ich zasługi obywatelskie wzbogaci się może o niejedno nowe nazwisko. Z całego zbioru tchnie głębokie umiłowanie ojczystego języka. Jasna i przystępna forma czynią książeczkę zrozumiałą dla każdego interesującego się dziejami i kulturą języka polskiego. A chyba wszyscy jesteśmy jego prawdziwymi i szczerymi miłośnikami.

Ks. J. Mikula T. J.

Walka z nierzędem i chorobami wenerycznymi. Warszawa, 1938. Nakł. Ministerstwa Opieki Społecznej. Str. 72.

W sprawie walki z nierzędem i chorobami wenerycznymi. *Opiekun Społeczny*, r. 1939, nr 3, Warszawa.

Przed rokiem Ministerstwo Opieki Społecznej wniosło do Sejmu projekty ustawy o zwalczaniu nierzędu i ustawy o zwalczaniu chorób wenerycznych, dzięki czemu ciągnące się już od dłuższego czasu przygotowania do walki z tymi klęskami społecznymi posunęły się poważnie naprzód. Pierwsza z wymienionych powyżej broszur zawiera właśnie teksty obu wspomnianych projektów i zaznajamia czytelnika z tymi zagadnieniami, mało znanymi i ciągle jeszcze niedocenianymi wśród naszej inteligencji. Rozbiorowi ich poświęcone są dwa referaty, wygłoszone w r. 1938 na Sejmowej Komisji Zdrowia Publicznego i Opieki Społecznej, które nie tłumaczą wprawdzie wszystkiego i nie odsłaniają całej grozy tych rzeczy, dają jednak dostateczny na nie pogląd. W pierwszym z nich mgr Wanda Woytowicz Grabińska wyjaśnia istotę, przyczyny i następstwa prostytucji, daje nieco liczb, ilustrujących jej stan w naszym kraju, stosowane dotychczas środki zaradcze i stan walki u nas i za granicą. Resztę wyjaśnień znajdujemy w ogólnym i szczegółowym uzasadnieniu, dołączonym do projektu ustawy. W drugim referacie dr Stanisław Ostrowski stara się wykazać krótko, jaką klęską dla jednostki i społeczeństwa są choroby weneryczne, wylicza metody zapobiegawczej

i bezpośredniej walki z nimi, oraz przytacza w streszczeniu ustawodawstwa, obowiązujące w tej mierze w różnych krajach.

Czy proponowane w obu tych projektach metody działania stanowią rzeczywiście najlepsze rozwiązanie i, co szczególnie ważne, czy odpowiadają naszym dzisiejszym warunkom, to jest oczywiście osobne pytanie. Że odpowiedź na nie nie jest łatwa, świadczy fakt, że projekty obu ustaw, walki z nierządem i z chorobami wenerycznymi, są od dłuższego czasu przedmiotem dyskusji i w tej chwili nie wiemy, czy obecna jej faza jest już ostatnią.

Osobom, które interesują się więcej tymi zagadnieniami, możemy jako uzupełnienie polecić nr 3 miesięcznika *Opiekun Społeczny* (Warszawa, ul. Złota 74). Zawiera on kilkanaście artykułów, różnych autorów, głównie z zakresu walki z nierządem i uwzględnia więcej stosunki polskie, zwłaszcza na terenie Warszawy.

Ks. St. Podoleński T. J.

M. St. Popławski: *Oktawian August* (Tow. Nauk. Kat. Uniw. Lubel. T. 24) odbitka z miesięcznika *Prąd* na marzec i kwiecień 1938 r., str. 46.

W epoce poszukiwań nowych form ustrojowych, które dałyby państwu karność i potęgę a społeczeństwu dobrobyt i szczęście można się zwrócić i do czasów minionych, by tam szukać wzorów i metod postępowania. Do takich badań nadaje się przede wszystkim państwo rzymskie. W studiach tych wyprzedzili inne narody Niemcy, którzy posiadają wybitnych znawców prawa, ustroju i strategii rzymskiej. U nas historia rzymska, opracowana przez L. Piotrowicza, posiada pierwszorzędną wartość i w niczym nie ustępuje dziełom zagranicznym. Brak nam atoli prac monograficznych z tego zakresu. M. Popławski postanowił dać nam obraz genezy cesarstwa rzymskiego. Imperium rzymskie wyrosło z małego miasta-powiatu (greckiego polis), które w ciągu czterech pokoleń zapanowało nad światem. Mimo zdobycia olbrzymich obszarów panowie z nad Tybru czuli odrzę do zmian ustrojowych i tylko w ostatniej konieczności stosowali półśrodki o charakterze nadzwyczajnym. Stąd mechanizm ogromnego państwa opierał się na zasadzie wojennej okupacji. Obywatelami byli tylko mieszkańcy republiki-powiatu i nieliczni obywatele rozsiłani po Italii. Inni pod względem prawnym byli w poddaństwie. Władzę dzierżyło w swym ręku kilkadziesiąt rodów patrycjuszowskich skupionych w senacie, z których rekrutowali się dowódcy wojsk, mężowie stanu i wielkorządcy prowincyj. Obok nich dużą rolę odegrali „ekwici”, którzy zubożawszy się na wojennej gospodarce, dostawach dla wojska i na inwestycjach w Italii, współzawodniczyli z patrycjuszami w eksploatacji prowincyj. Stulecie od Grakchów do Augusta wypełnia straszna walka między tymi stanami, z któ-

rej wyłoniło się cesarstwo. Cezar zbyt jaskrawo podkreślał swoje sympatie dla monarchii i to go zgubiło. Ostrożniej działał wnuk jego siostry i spadkobierca Oktawian. W chwili śmierci uwielbianego dziadka był młodzieńcem 19-toletnim, wątłym i słabego zdrowia. Posiadał jednak przenikliwy rozum i wybitną zdolność organizatorską. W potrzebie był mściwy i okrutny albo cierpliwy i wytrwały. Początkowo związał się z Antoniuszem i nawet pozwolił mu sobą kierować, przebacząc mu wiele upokorzeń, czekając aż on się sam zdyskredytuje w oczach narodu rzymskiego. A kiedy ten nieopatrznie zaczął zapisywać dzieciom Kleopatry prowincje rzymskie, wydał mu wojnę i usunął z drogi. Teraz u stóp Oktawiana leżało całe państwo, któremu mógł nadać dowolny kształt. Pamiętając o losie Cezara, Oktawian unikał wszystkiego, co by mogło wzbudzić podejrzenie, że dąży do korony królewskiej. Nie ogłosił się dyktatorem, zachował senat i dawne urzędy, tylko niektóre z nich skupił w swym ręku. Senatowi oddał w zarząd jedynie prowincje spokojne, leżące wewnątrz państwa, a sobie zostawił nadgraniczne, w których stało wojsko gotowe na jego rozkazy. Nie używał złotego krzesła, nie chodził w purpurze, nosił często suknie utkane rękami żony i córki. O sobie mówił, że jest tylko pierwszym obywatelem w państwie (*princeps senatus*), który przed innymi zabiera głos w senacie. W państwie zaprowadził ład i porządek, któremu towarzyszył powszechny dobrobyt, za co wdzięczni mu byli obywatele.

Broszura napisana jest zajmująco i przystępnie. Jednak Autor niewłaściwie nazywa patrycjuszów książętami, a wodzów rzymskich generałami, gdyż zakres kompetencji zarówno patrycjuszów jak i konsulów, czy prokonsulów rzymskich, wielce różnił się od tego jaki w naszym pojęciu posiadają książęta i generałowie. Broszurę tę z pożytkiem może przeczytać zarówno człowiek wykształcony jak i młodzież z klas licealnych.

Ks. K. Drzymala T. J.

Notatki bibliograficzne.

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński: *Roczniki Katolickie na Rok Pański 1939*. T. XVI. Nakładem Autora, Poznań, 1939, str. 370.

Do Roczników zagląda się zawsze z zainteresowaniem i z pożytkiem. Śledzenie dziejów życia Kościoła daje tym kartom jakąś niewiedną świeżość. W pracy publicystycznej, odczytowej, organizacyjnej dobrze je mieć pod ręką. Omawiany tom przynosi następujące materiały: Ameryka Łacińska: Dziwny przełom; Meksyk: Czy kres prześladowania?; Stany Zjednoczone: Czy ciągle grozi komunizm?; Zdobywcze zastępy katolickie; Austria: W kręgach niesamowitych złud, Julianowe prześladowanie; Czechosłowacja:

Pod obuchem tragicznego ciosu, Rozpadająca się mozaika; Francja: Najniebezpieczniejszy szkodnik, Czy syn marnotrawny wraca?; Hiszpania: Pod obuchem młota i ostrzem sierpa, Hispanidad, Catolicidad, Universalidad, W walce namiętności i w zakamarkach zakłamania; Islam: Czy nam znowu zagraża półksiężyc?; Izrael a Kościół: Judaizm, jednym z największych niebezpieczeństw, Jak się bronić przeciwko judaizmowi; Kongres Eucharystyczny: W wiosnianym słońcu odrodzenia; Misje Katolickie: Lek i lancet na misjach, Na żyznych stokach chińskiego wulkanu, Żniwo wielkie — robotników mało: z afrykańskich puszczy i stepów; Niemcy: Wtórny kulturkampf, Na szafcu obrony; Polska: Jasna Góra w r. 1938, U pamiętnych grobowców, Na wyżynach hierarchii; Węgry: *Hungaria docet*.

Unijna Encyklika *Rerum Orientalium* z dnia 8 września 1928 r., oraz Instrukcja *Pro incenso studio* z dnia 27 maja 1937 r. O opiece duszpasterskiej nad wiernymi obrządku wschodniego w Polsce (poza Galicją). Tekst łaciński. Przekład polski, słowo wstępne i wykaz działalności misyjnej Piusa XI przez ks. Prof. Michała Niechaję, dra Teologii Wschodniej, Lublin, 1938. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej, 1938, str. 69.

Związała praca niniejsza ma na celu dać zestawienie tego, co za pontyfikatu Piusa XI *Stolica Apostolska* zdziałała dla sprawy unijnej do dni ostatnich.

Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych: Aleksander hr. Fredro: *Zemsta*; Eliza Orzeszkowa: *Cham*; Sławoj-Składkowski: *Z walk Pierwszej Brygady*; Stanisław Witkiewicz: *Wybór pism*, t. I—II. Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1939.

W tym dobrze pomyślanym wydawnictwie wszyscy, którzy mają do czynienia z pracą ludowo-oświatową znajdą stosunkowo taną i niezawodną pomoc.

Ks. dr Władysław Padacz, Moderator diecezjalny Bractwa Trzeźwości: *Podręcznik organizacyjny Bractwa Trzeźwości*. Warszawa 1939, str. 62. Skład główny: Księgarnia Przeglądu Katolickiego.

Wielu Księżów proboszczów pragnie na terenie swej pracy duszpasterskiej założyć Bractwo Trzeźwości. W związku z tym zjawiają się pytania: Jak założyć? Jakie są przy tym formalności? Jak ma wyglądać życie organizacyjne Bractwa? Jakie i kto ma wygłaszać referaty? Jakie są obowiązki moderatorów oddziałów Bractwa itd. Na te pytania daje odpowiedź *Podręcznik* ks. dra Padacza.

Prof. ks. dr Michał Hellon: *Podręcznik języka rumuńskiego dla Polaków*. Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego, Warszawa, 1938, str. 361.

Metoda zastosowana w podręczniku polega na stopniowym i praktycznym zapoznaniu czytelnika z fonetyką, gramatyką,

z odrębnymi właściwościami językowymi w stosowaniu form gramatycznych i syntaktycznej budowie zdań. W ćwiczeniach, konwersacjach i dobranych czytankach podano dość obszerny zasób słów i wyrażen koniecznych w kulturalnym życiu. W końcu dodatek etymologiczny i zasady pisowni rumuńskiej oraz poprawne i samodzielne władanie nim w mowie i piśmie ułatwią zrozumienie całokształtu języka rumuńskiego.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1939:

Stefan Flukowski: *Urlop Bosmanmata Jana Kłębucha*. Str. 287.
Kornel Makuszyński: *Kartki z Kalendarza*. Str. 276.

Nakładem Kat. Tow. Wydawniczego „Kronika Rodzinna”, Warszawa, 1939:

Stefan Gębarski: *Rycerze świętej Kingi*. Str. 216.
Marcin Lekeux: *Świętość i dobra wola*. Autoryzowany przekład z francuskiego. Str. 174.
Z. Rodowicz-Iwanicka: *Ofiarnym szlakiem*. Str. 223.

Nakładem Księgarni Wł. Michałaka i Ski, Warszawa, 1939:

Zbigniew Baltazar: *Próba Miłości*. Str. 84.
St. Strumph Wojtkiewicz: *Lawina*. Str. 343.

Nakładem Książnicy-Atlas, Lwów—Warszawa, 1939:

Jan St. Bystroń: *Paryż*. Str. 415.
Sergiusz Hessen: *O sprzecznościach i jedności wychowania*. Str. 375.
A. F. Hobart: *Nafta do lamp chińskich*. Str. 534.
Fabio Tombari: *Frusaglia*. Str. 294.
Henryk Zbierzychowski: *Zawsze wierny*. Str. 117.

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, 1939:

Stanisław Bąk: *Teksty gwarowe z Polskiego Śląska*. Zeszyt I. Str. 80.
M. Brożek: *De calliae tragoedia grammatica*. Str. 45.
Biulletin international de L'académie Polonaise des Sciences et des Lettres. Zeszyt nr 4—10. Str. od 54 do 161.
J. W. Hirschberg: *Jüdische und Christliche Lehren im vor und Frühislamischen Arabien; ein Beitrag zur Entstehungsgeschichte des Islam czyli Żydowskie i chrześcijańskie nauki w Arabii pogańskiej i w pierwszym okresie islamu*. Str. 173.
Jan Hulewicz: *Sprawy wyższego wykształcenia kobiet w Polsce w wieku XIX*. Str. 274.
Ludwik Kamykowski: *Kasper Twardowski. Studium z epoki baroku*. Str. 140.
Arnold Kunst: *Probleme der Buddhistischen Logik in der Darstellung des Tatvasangraha — Zagadnienia logiki buddyjskiej według Tatvasangrahy Siantarakszity*. Str. 145.
Stanisław Schayer: *Contributions to the problem of time in Indian philosophy czyli Przyczynki do zagadnienia czasu w filozofii indyjskiej*. Str. 76.
Georgius Schnayder: *De Heraklidis descriptione urbium Graeciae*. Str. 63.

- Tadeusz Sinko: *Erudycja klasyczna Orzechowskiego*. Str. 118.
 Eugeniusz Słuszkiewicz: *Przyczynki do badań nad dziejami redakcji Ramayany*. Str. 273.
 Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności Nr 7, 8, 9, 10 r. 1938, str. od 235 do 342 i Nr 1, 2, 3 r. 1939, str. 122.
 Feliks Steuer: *Narzecze Baborowskie*. Str. 142.
 Adam Vetulani: *Statuty Synodalne Henryka Kietlicza*. Str. 48.
 Kazimierz Lepszy: *Rzeczpospolita Polska w dobie Sejmu Inkwizycyjnego (1589—1592)*. Str. 428.

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego, Warszawa 1939 r.:

- Tadeusz Szmurło: *Opowieści wojenne*. Str. 226.
 Tadeusz Szmurło: *Szwoleżery furajery*. Str. 193.
Taka jest wojna. Praca zbiorowa. Str. 250.

Nakładem różnych:

- Annales Misiologicae*. Nakładem Komitetu Propagandy Misyjnej wśród Inteligencji przy Papieskim Dziele Rozkrzewiania Wiary w Poznaniu rok 1938. Str. 292.
 Asnyk Adam: *Pisma, t. II*. Nakładem AKC „Nasza Księgarnia” w Warszawie, 1939. Str. 393.
 Ks. Józef Belch: *Katolickie odrodzenie wsi*. Nakładem S. A. „Ostoja”, Poznań r. 1939. Str. 328.
 Gaetan Berneville: *Fałsz podanej ręki*. Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach, r. 1939. Str. 64.
 Adrian Divéky: *Sprawa Legionu Węgierskiego dla Polski*. Wydawca Leon Komarowski, Warszawa 1939. Str. 47.
 Emil Fiedler: *Nowy Człowiek*. Nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Kraków 1939. Str. 173.
 Elżbieta Foreman-Lewis: *Young Fu z angielskiego przełożyła Maria Traczewska*. Nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Kraków 1939. Str. 354.
 Walenty Majdański: *Co robi młody święty?* Nakładem Wydawnictwa Milicji Niepokalanej. Niepokalanów r. 1939. Str. 28.
 Mgr Polesiński Władysław: *Żołnierz Polski a Żołnierz Niemiecki*. Skład Główny Alfons Prabucki, Warszawa 1939. Str. 48.
 Henryk Ptak: *Dalekie nawoływania*. Nakładem autora. Warszawa 1939. Str. 60.
 Ks. Ignacy Różycki: *Doctrina Petri Abaelardi de Trinitate* 2 tomy. Tom I *De cognoscibilitate Dei*, str. 95. Tom II *De mysterio SS. Trinitatis*. Nakładem Studia Gnesnensia, Poznań 1939.
 Stanisław Tworowski: *Polska bez Żydów*. Nakładem Stronnictwa Narodowego Powiatu Warszawskiego, Warszawa 1939. Str. 103.
 Ks. Dr Józef Umiński: *Historia Kościoła*. Tom I. Wydanie II. Nakładem Wydawnictwa Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, Lwów 1939. Str. 573.
 Prof. Franciszek Walczak: *Eucharystia w sztukach plastycznych różnych narodów i wieków*. Nakładem Seminarium Zagranicznego, Potulice 1939. Str. 43.
 Ks. bp Leon Wetmański: *Miłosierdzie*. Nakładem Wydawnictwa Księgarni Diecezjalnej „Caritas”, Płock 1939. Str. 341.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Idea totalna a pokój. — Polska na straży pokoju.

Minęły, zdaje się bezpowrotnie, czasy, w których obiektywnie, w pełni równowagi ducha można było snuć swoje idee w pogodnym błękitie artystycznego niemal braku zainteresowania dla spraw bieżących, codziennych. Dzisiaj gdzie tylko pojawi się jakaś idea, natychmiast wyłania się z za niej lufa armaty a przynajmniej ostrze bagnetu. Z idei niezależnej, nie objętej kordonami, nie zamkniętej w „życiowych obszarach”, wszechludzkiej... pozostaje już tylko wspomnienie. Rozmach propagandy rozkrzyczanej, natrętnej, hipnotyzującej nie płynie już z dziedziny świętej odpowiedzialności sumienia, które broni prawdy, ale coraz silniej i coraz wyraźniej staje się funkcją witalności państwa, przy czym znaczenie słowa witalność trzeba ograniczyć do instynktów, które wyrwały się spod panowania rozumu.

Wielką zasługę mają brutalni dyktatorzy naszych czasów, że zdarli maski z wielu twarzy, maski pobożne i niepobożne, zakłamania, dystyngowanego frazesu i politycznej retoryki, która usiłowała szermować „obiektywnymi” ideami. Dziś dyktatorzy, oraz ich żywe głośniki: ministrowie propagandy, odważnie, bez żenady i skrupułów stawiają idee pod pręgierz przemocy, stanowiącej jedyną wartość, jaką jeszcze ci ludzie uznają.

Widzimy tedy dzisiaj Europę i świat cały bez maski. Pokazuje się nam oblicze, z którego uleciał uśmiech a mnożące się zmarszczki zakłopotania troski i lęku są wyrazem coraz to cięższej sytuacji, która przygniata wszystkich. Odstąpienie od zasad chrześcijańskiej religii i moralności, która jest najgłębszym źródłem narastającego rozstroju, sprowadza

ludzkość na groźne dla jej przyszłości bezdroża. Na horyzontach świata jawi się coraz wyraźniej tragiczny dylemat: czy idea totalna da się pogodzić z ideą pokoju?

* * *

W ideologii chrystianizmu zawsze obok hasła *pax*—pokój spotykamy równocześnie jego realny fundament *iustitiam*. Nic więc dziwnego, że i w dzisiejszym posłannictwie pokojowym Namiestnika Chrystusowego pokój i sprawiedliwość występują nieodłącznie. W pozostałym jednak świecie po pierwszym hasle: pokój jawi się jako jego dopełnienie nie sprawiedliwość ale pogotowie wojenne. Pogańska dewiza: *Si vis pacem para bellum* stała się dziś kanonem międzynarodowego współżycia i dlatego głosząc pokój głosi się równocześnie wyścig zbrojeń. Zbrojenie ma być gwarantem pokoju. Dyskretnie zato przemilcza się zasadę sprawiedliwości, ponieważ pewne marzenia o wskrzeszeniu światowych imperiów, czy „pewne” prawa do „życiowej przestrzeni”, do „dobrowolnego” poddawania się narodów mniej uprawnionych do samodzielnego istnienia pod protektorat mocarstw czy wreszcie „prawa” światowego proletariatu do rewolucji i suwerennej władzy... nabrały w świecie znaczenia i krystalizują się w nowe dogmaty.

Wciąż jeszcze za mało rozumie się istotę totalizmu, dla którego zatrzymanie się na jakiegokolwiek granicy jest rzeczą wprost niemożliwą. Zresztą w ideologiach państw czysto totalnych powiedziano to bez ogródek. *Mein Kampf* głosi bez najmniejszych eufemizmów, iż najlepsza (nordycka) rasa na świecie ma prawo panowania nad innymi rasami; jest to rzekomo prawo natury i należy je urzeczywistnić z bronią w ręku.

Ta sama idea, ujęta w hasło czy „prawo”: „proletariusze wszystkich krajów łączcie się” długo jeszcze panować będzie w bolszewickiej Moskwie, pomimo czy może wskutek rzekomego renesansu imperializmu i nacjonalizmu rosyjskiego. Chwilowa rezygnacja z przeprowadzenia przemocą tych „praw” znaczy w tych systemach jedynie i wyłącznie, że urzeczywistnienie ideowego programu jest jeszcze w danej chwili niemożliwe; ale też stan obecny uważa się za „niesprawiedliwy”, za pogwałcenie prawa natury, które domaga się *Lebensraum*’u, władztwa danej rasy, czy proletariatu nad światem. Trzeba więc jeszcze czekać, przygotowywać się, zdobywać pośrednie etapy. Każdy zwolennik totalnego reżimu wie o tym doskonale i nie tylko nosi w tornistrze narodową buławę swojego *duce*, *Führer*’a czy marszałka, ale żywi także w głębi serca pretensje do panowania nad światem.

Jest to prawda, którą państwa totalne głoszą tak rozgłośnie, iż usłyszeć i zrozumieć ją powinien nawet ów burżuazyjny czy demokratyczny struś, choć głowę swą zagrzebał głęboko w piasku złudzeń, wyczekiwań i traktatów...

A podkreślić trzeba jeszcze i ten fakt doniosły, że zwolennicy totalizmu „właśnie pod jego żelazną presją” zrozumieli, iż teoria musi się stać praktyką. I tym właśnie różnią się korzystnie od wielu chrześcijan przyznających się do Chrystusa, ewangelii i jej hasła *pax opus iustitiae*, ale zapominających w życiowej praktyce o wzniosłych zasadach teorii.

* * *

Można zarzucić, iż w tak pojętej idei totalnej, zrywającej brutalnie maski niedomówień jest coś nieludzkiego, potwornego, że tai się w niej jakiś dziki fanatyzm prawie zwierzęcych instynktów. Że przecież politykę wewnętrzną i jej system ideologiczny można by odróżnić od pewnych konieczności polityki zagranicznej!

W obozie demokracji Zachodu wyobrażają sobie niektórzy politycy, że taki właśnie sposób ujęcia sprawy zostanie uznany przez Sowiety. Są to jednak złudzenia a rodzi je lęk przed wyciągnięciem ostatecznych a niemiłych wniosków. Wszak historia ostatnich lat mówi o czymś całkowicie innym. W republikańskiej Hiszpanii doszły np. Sowiety do tego, że właśnie za pomocą polityki zagranicznej określały politykę wewnętrzną i wprowadziły tam bezbożniczy terror. Z drugiej zaś strony nie można zapomnieć o niemniej znamiennej fakcie, iż wybitni książęta Kościoła wielokrotnie przestrzegali narodowego wodza, gen. Franco przed zasadami państwowego totalizmu, który za pośrednictwem czynników polityki zagranicznej począł zagrażać wewnętrznemu ustrojowi odrodzonej Hiszpanii. Nie brakło nawet ze strony episkopatu zdecydowanej pogroźki, że w danym wypadku zwróci się tak samo przeciw totalizmowi jak walczył z marksizmem Walencji. Powodów tego wystąpienia łatwo się domyśleć.

Jest więc dzisiaj niewątpliwym faktem, iż gdziekolwiek na świecie rządy i polityczne poglądy znajdują się w trybach ideologii totalizmu tam nie ma mowy o ograniczeniu wpływów tej ideologii do dziedziny czysto wewnętrznej, lub do spraw wyłącznie polityki zagranicznej. Idee totalne, mniejsza o to czy one są prawicowe czy lewicowe, czy wnoszą je międzynarodowy proletariatus czy sfanatyzowany nacjonalizm, muszą siłą faktu przeć naprzód w zdobywczym zrywie, który ogarnia i podbija wszystko a przynajmniej do takiego podboju podąża. I taki właśnie totalizm wszedł już definitywnie na arenę współczesnego świata, wzmocnił się do tego stopnia, iż żadna światowa akcja nie da się dziś pomyśleć bez

jego udziału: *pro* lub *contra*. Jest to dylemat wprost wstrząsający, gdyż zwycięstwo totalizmu i jego witalnych „praw” poderwać musi same podstawy chrześcijańskiego ustroju.

Wszak zasadą naczelną państwowego totalizmu w akcji na zewnątrz jest brutalna siła, jako narzędzie hegemonii rasy albo klasy. W ustroju zaś wewnętrznym totalizm jest radykalnym zaprzeczeniem praw jednostki, opartych na dogmacie nieśmiertelnej duszy ludzkiej. I chociażby ten czy inny system totalny wyrzekał się materializmu i uznawał nieśmiertelność duszy oraz jej indywidualną odpowiedzialność przed Bogiem, siłą jednak samej ideologii musi prowadzić do zdeptania praw jednostki, poddając ją w życiu rodzinnym, gospodarczym, społecznym, zawodowym, kulturalnym a nawet moralnym i religijnym pod suwerenny autorytet państwa. Takie zaś podporządkowanie jednostki i jej naturalnych praw totalnemu państwu jest „już w dziedzinie teorii — jak to podkreślił Pius XI — absurdem, wprowadzone zaś w życie staje się wprost potwornością”. Mimo to „potworność” ta związana z brutalizmem przemocy i siły rzuca dziś ponury cień na życie ziemskiego globu, spycha ludzkość coraz silniej nad brzegi straszliwej przepaści. Przekreśliwszy sprawiedliwość przekreśla się siłą faktu pokój.

Jakkolwiek położenie jest tragiczne mimo to jednak nie wolno nam zapomnieć o znamienym zjawisku, że przecież za naszych dni jeden jedyny człowiek, dysponując wyłącznie moralno-religijną siłą chrystianizmu, pociągnął za sobą miliony z całego świata, za którymi wprowadzie nie stoją działa oraz pancerniki ale które swą wiarą przedstawiają potęgę nie do zwyciężenia. Tym dyktatorem idei, mobilizującej miliony był Pius XI, tą samą ideą szermuje dziś jego następca i spadkobierca.

Jeżeli jednak idea moralno-religijna budująca pokój na sprawiedliwości ma zwyciężyć w świecie, nie uciekając się do ostatniego środka: zbrojnej przemocy jakiegoś świętego rycerstwa — to musi się ona przejawiać pośród wyznawców chrystianizmu naszych dni z tą samą żarliwą siłą, z tą samą kosmiczną wielkością jak w pierwszych wiekach naszej ery, gdy bezbronny rybak zwyciężał ideą przemoc cezara, a wzgardzony niewolnik nawracał dumnego patrycjusza. — To właśnie jest ta jedyna droga, jaka pozostaje dziś dla ocalenia ludzkości przed katastrofą.

* * *

I na tej właśnie drodze powinna dziś stanąć Polska wiedzioną szlakami swej dziejowej misji przez Opatrzność Bożą. Wciśnięta między wrogie sobie, zaborcze, imperialistyczne totalizmy mobilizować musi wszystkie siły w obro-

nie swej niepodległości. A obrona ta staje się równocześnie walką ideową, starciem w dziedzinie poglądu na świat. Polska jako całość nie łączy się ideowo do totalizmu, nie broni też ultrademokracji, choć się z demokracjami dość ściśle sprzymierza. Konstytucja kwietniowa nadała nam swoisty ustrój, w którym wolność jednostki z silną władzą państwa harmonijnie się kojarzy, a przynajmniej kojarzyć się może i powinna. Posiadamy wszystkie dane po temu, by zamienić się w zwartą, potężną całość, w której jednak jednostka nie zatracą swych praw oraz swej wolności.

W styczniu 1920 r. w okresie krwawej wojny, w momencie heroicznych wysiłków całego narodu ówczesny naczelnik państwa, Józef Piłsudski, w swym lubelskim przemówieniu wygłosił następujące słowa: „Przed Polską leży i stoi wielkie pytanie: czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych?...”

Na to pytanie odpowiedział dziś za Polskę świat... A wolno nam ufać, iż egzamin, który nam wróg narzucić może, wypadnie pomyślnie. Czeką nas niewątpliwie wysiłki olbrzymi, ale zjednoczony wewnętrznie naród nie cofnie się przed żadną ofiarą.

Równocześnie jednak przypomnieć trzeba i inne słowa tegoż Naczelnika: „Jeżeli żołnierz piękności wewnętrznej nie ma — boję się o naród taki, gdy próba wojenna wypadnie...”

I na tej właśnie drodze potężnej syntezy, w której siła militarna łączy się z pięknnością wewnętrzną żołnierzy i obywateli — widzimy dziejową przyszłość naszej ojczyzny, jej rolę w tym olbrzymim starciu ideowym, którego areną jest współczesny świat.

Polska nie może zadowolić się swą militarną potęgą, musi być równocześnie potęgą kulturalną na zagrożonych krańcach Europy! Dozbrajając się militarnie musi naród polski dozbrajać się również moralnie, przepajając swe życie indywidualne, narodowe i państwowe wielką ideą moralno-religijną, która siłę i pokój buduje na sprawiedliwości. To jest ta „piękność wewnętrzna”, bez której nie pomogą karabiny i armaty; będzie to równocześnie tym kulturalnym wkładem jakiego dziś przede wszystkim potrzeba zmacnieniu ideowo światu.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Połknięcie Czech i gibelinizacja Włoch. — Front Morza Śródziemnego. — Front Bałtyku. — Gra wielkomocarstwowa i Daleki Wschód.

Proces budowy wielkiej koalicji kresowej, mającej ubezpieczyć prężność ekspansyjną mocarstw centralnych, który otworzyło w początkach kwietnia przymierze anglo-polskie, wykazywał w końcu maja wciąż jeszcze doniosłą lukę rosyjską. Wbrew głośnym nadziejom prasy zachodniej, również i w czerwcu luka ta nie została zamknięta. Przeciwnie rozwierała się chwilami coraz szerzej, aż prawie do beznadziejności. Skutkiem tego postawa Rosji zaciążyła nad położeniem międzynarodowym jako wielka niepokojąca niewiadoma. O jej rozwiązanie na swoją korzyść współzawodniczyły obie grupy mocarstw, zachodnia i centralna. Szranki tych zawodów rozpostarły się szeroko między Bałtykiem, Morzem Śródziemnym i Oceanem Spokojnym. Tarcia, które stąd wynikały nosiły na ogół charakter nieco mniej alarmowy niż w obu miesiącach poprzednich. Bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny raz tylko przesunęło się w sąsiedztwie Gdańska, raczej przelotnie. Obraz sytuacji nosił charakter wybitnie przejściowy.

Tę przejściowość i niepewność odczuwały dotkliwie obie strony: centralna i zachodnia, upatrujące w upragnionym pozyskaniu Rosji moment rozstrzygający o przewadze nad przeciwnikiem. W obozie centralnym silniej jednak zaznaczyło się naprężenie tej „wojny nerwów”, ponieważ jest on ekonomicznie mniej zasobny i wytrzymały. Pomimo więc, że z czerwcowych zmagania mocarstwa centralne wychodziły na ogół ręką bardziej obronną niż w maju, jednak na początku tego miesiąca struktura władzy w Niemczech przeszła przez ostry kryzys. W jego wyniku nastąpić musiała ponowna „czystka” pośród generalicji niemieckiej, z której około 30 przedstawicieli zostało przez Hitlera usuniętych ze służby czynnej z powodu opozycji wobec jego polityki zagranicznej. Równocześnie, wedle pogłosek, *Führer* miał zdezwuować swoich najbliższych współpracowników w tej dziedzinie: Goeringa i Ribbentropa, których koterie ścierały się między sobą. Pierwsza reprezentowała kierunek ostrożniejszy i powściągliwszy, bliższy postawy włoskiej i bardziej umiarkowany wobec Polski. Druga przeciwnie była autorką ostatnich drastycznych posunięć w stosunku do Czech i do Polski. Hitler zarzucał jej złe informacje i fałszywy rachunek prawdopodobieństwa, który zaskoczył Berlin przykrą dlań niespodzianką anglo-polską. Wobec tego Hitler postanowił miał bardziej osobiste ze swej strony ujęcie kierownictwa polityką międzynarodową Rzeszy.

Wkrótce potem, w połowie miesiąca, przyszło mu rozszerzyć tę koncentrację władzy we własnej osobie także w państwowej polityce wewnętrznej. Hitler objął osobiście szefostwo Banku Rzeszy, niewątpliwie w tym celu, ażeby siłą swego centralnego

w reżimie autorytetu pokryć coraz krytyczniejszy stan finansów i w ogóle życia gospodarczego. Wprawdzie Goering nie został usunięty od kierownictwa czterolatką gospodarczą, lecz Hitler musiał podjąć bezpośrednią osobistą odpowiedzialność za coraz bardziej nagłą konieczność inflacji, jako też coraz groźniejsze osaczenie gospodarcze ze strony koalicji antyniemieckiej. W ciągu czerwca Anglia i Francja ogłosiły szereg zakazów dostawy do Niemiec surowców o znaczeniu wojennym, zwłaszcza żelaza. Też same państwa dążą systematycznie do rozwoju swoich obrotów handlowych ze swymi sojusznikami wschodnimi, na niekorzyść Niemiec. Stany Zjednoczone wreszcie, które otworzyły tę kampanię 25% wyższą cła na towar niemiecki, wystąpiły z nowym zamiarem półmiliardowego w dolarach kredytu handlowego dla Ameryki Południowej, w celu wyrugowania stamtąd eksportu niemieckiego. Wszystko to tym bardziej mogło denerwować opinię niemiecką, że w życiu codziennym coraz boleśniej daje się we znaki ostry niedostatek żywnościowy.

Wewnętrzne nastroje niemieckie oddalają się więc coraz bardziej od idylli; rośnie już to defetystyczny pesymizm, już też przeciwnie głucha, gotowa do wybuchu wściekłość. Krażą w kraju pogłoski, a za granicą rozlegają się głośno bardzo wiarogodne pogłoski o niskim stanie jakościowym zbrojeń niemieckich ze względu na oszczędność i liche gatunek użytego do produkcji surowca. Szczególnie drastycznie ujawniło się to w tandetności zbyt pośpiesznie wznoszonych fortyfikacji nad Renem. To zresztą nie przeszkadza, że niemniej pośpiesznie buduje się je także na wschodzie, na linii Odry i to nie tyle jako osłonę defensywną wobec Polski, ile jako podstawę możliwej w bliskim czasie ofensywy Niemiec. Uzupełnieniem obrazu obecnej psychiki i polityki wewnętrznej Niemiec, jest perfidna prasowa heca przeciwpoliska, która podżega niemiecką opinię chronicznym sykiem o polskich retorsjach wobec polskich Niemców, ale głucho milczy o niemieckiej tyranii wobec Polaków zamieszkających w Rzeszy.

Jeszcze wymowniej w swej grozie kształtuje się stosunek Niemiec do „protektoratu Czech i Moraw”. Hitlerowski reżim wprowadzony przemocą do tego ultrademokratycznego kraju sam przez się nie mógł oddziaływać nań ujmująco. Gestapo, obozy koncentracyjne, ogłodzenie i drożyzna wystarczały, ażeby wywołać nie-nawieść „protegowanych” Czechów wobec tego rodzaju „protektorów”. Nie dziw przeto, że gdy się do środowiska czeskiego przedostały wieści o zwrocie wywołanym przez przymierze anglo-polskie, oraz grożących wojną zmaganiach dyplomatycznych między koalicją kresową a centralną osią, to opinia czeska zajęła wobec Niemiec postawę niezbyt lojalną, a nawet zaczęły powstawać tajne organizacje buntownicze.

Niemcy odpowiedzieli na to z jednej strony jawną dążnością do germanizowania „protektoratu”, a zwłaszcza jego ważniejszych

ośrodków przemysłowych, z drugiej zaś podjęli „studia przygotowawcze” i zabiegi próbné, dotyczące ewentualnie traktowania narodu czeskiego w razie wybuchu wojny. Zaprojektowano i częściowo zaczęto już stosować masowy wywóz męskiej ludności Czech do Niemiec na roboty przymusowe na roli albo w fabrykach. Gdyby urzeczywistniono ten zamiar w pełni to Czechów dotknęłoby coś chyba gorszego od niewoli babilońskiej starożytnych Żydów. Tamci bądź co bądź z niej powrócili, natomiast Czesi, zwłaszcza w razie dłuższej wojny, zostaliby po prostu w Niemczech wymordowani niehumanitarną niewolniczą pracą przy nędznym pożywieniu a obfitych batach. Jest to wszak znany system sowieckich „robót publicznych”, względnie budowy piramid przez Faraonów egipskich.

To też projekty tego rodzaju nie oznaczają nic innego jak niemiecką chęć do całkowitego pożarcia i strawienia narodowości czeskiej nie tylko z jej armatami, lecz i ze skórą i kośćmi. Pożywić by się Niemcy w ten sposób mogli poważnie, bo wszak Czechy przyniosły im w łupie uzbrojenie 40 dywizyj, a przynieść by jeszcze miały parę milionów rąk roboczych, bardzo cennych w okresie wojennym. Wreszcie kraj ogołociłby się do połowy z ludności czeskiej, otwierając miejsce dla Niemców i redukując szczątki czesko-morawskie do losu Łużyczan. Nieco mniej niepomysłnie układają się pod niemieckim „protektoratem” losy Słowaków, ponieważ ich kraj należy do niemieckiej polityki zagranicznej nie zaś wewnętrznej.

Zarówno we wzajemnym stosunku obu mocarstw osi, jak włoskiej polityce wewnętrznej, oraz ewolucji międzynarodowej, punktem wyjścia wydarzeń czerwcowych był sojusz wojskowy niemiecko-włoski zawarty w Berlinie 23 maja. Zawarto go celem dyplomatycznej kontrofensywy wobec układu anglo-tureckiego, który bezpośrednio zwracał się przeciwko Italii, lecz kojarzył się blisko także z układami anglo-rosyjskimi o sojusz pomocniczy przeciwniemiecki. Nazewnał się sojusz niemiecko-włoski miał gwarantować solidarność i równoczesność ewentualnego zbrojnego wystąpienia obu mocarstw centralnych, której brak głównie dotąd krępował Niemcy w uderzeniu zwłaszcza na Polskę. Od strony wzajemnego stosunku partnerów sojusz rozwinięty został gruntownie, z daleko posuniętymi gwarancjami dla Niemiec. Jako okazały „posag” wniosły Niemcy do tego „małżeństwa z rozsądku” uzbrojenie 15 dywizyj czeskich przekazane niezwłocznie Italii. W zamian otrzymały od niej zgodę na przyjęcie podobno aż paru set tysięcy niemieckich instruktorów do armii włoskiej i kierowników technicznych do przemysłu wojennego. Ten nowy „nazajd Longobardów”, który groził faktycznym uzależnieniem włoskich sił zbrojnych od niemieckiego dowództwa wywarł niekorzystne wrażenie w opinii włoskiej, nawet faszystowskiej, nie wyłączając dynastii i samego króla Wiktora Emanuela.

Nastroje międzysojusznicze w osi centralnej układać się przeto poczęły wyraźnie dysharmonijnie, zwłaszcza, że i perspektywy ekspansji ościennej rysowały się dla Włoch w stylu „gibelińskim“, dawnego „świętego cesarstwa narodu niemieckiego“, gdy monarcha Rzeszy był również suwerenem Italii. Zabór Czech i Austrii, okupacja Słowaczyny, same przez się stanowiły potężną podwalinę wskrzeszenia średniowiecznej wersji pangermanizmu. Co więcej, wersja ta ujawniała wyraźnie swoje potencjalne skłonności ekspansywne na Węgry. Zaszły w ciągu miesiąca charakterystyczne posunięcia niemieckie w postaci prasowych balonów próbnych o ustąpieniu Słowaczyny Węgrom w zamian za ich przystąpienie do sojuszu włosko - niemieckiego. Węgrzy tych sugestij nie przyjęli po części dlatego, że Niemcy pragnęli zatrzymać dolinę Waagu oraz orawskie podgórze Tatr, a więc strategiczną dyspozycję Słowaczyną mieliby nadal w ręku. Po wtóre Słowaczyna jest krajem deficytowym do którego trzeba dopłacać. I wreszcie, po trzecie, niepodległość wobec Niemiec była w oczach Węgrów też coś warta. Berlin zareagował na tę węgierską niechęć poważnym kontratakiem od wewnątrz, przy pomocy subsydium pieniężnego dla madziarskich hitlerowców. Podczas wyborów do sejmku, po raz pierwszy zarządzonych na znacznie rozszerzonym terytorium państwa węgierskiego, do sejmku weszli też Madziarzy nazi w pokażnej liczbie 50 posłów.

Pozycja węgierska nadal więc znajduje się pod dyplomatycznym ostrzałem Berlina. Jest to pozycja pierwszorzędnej jakości geopolitycznej. Gdyby Niemcy opanowały nizinę węgierską, to uzyskalyby świetną podstawę operacyjną dla dalszego nacisku w trzy strony widnokregu. Po pierwsze na północo-wschód, Karpaty i Małopolskę. W tych warunkach restytuowana prawie w całej historycznej rozciągłości granica polsko - węgierska stałaby się dla Polski jeszcze większym niebezpieczeństwem, niżli gdyby nas osaczali nią Niemcy z czesko - słowackiego korytarza, który miał poza sobą niepewne zaplecze węgierskie. Po wtóre nad Dunajem i Cisą Niemcy mogliby każdej chwili orientować i poprzeć „sprzymierzonych“ Węgrów na południo - wschód przeciw Siedmiogrodowi i Rumunii. Wreszcie po trzecie mieliby otwartą drogę również na południe, na Banat, Chorwację i w ogóle na całą Jugosławię.

To też Węgry, Jugosławia oraz stosunek ich obu do osi rzymsko - berlińskiej stały na pierwszym planie zainteresowań tejże osi i jej zabiegów w ciągu czerwca. Formalny ich wyraz stanowiła podróż regenta księcia Pawła do Berlina, gdzie nader uroczyste były podejmowane. Mimo to zastosował bierny opór, do sojuszu z Rzymem i Berlinem przystąpić nie chciał, godził się tylko na neutralność oraz współdziałanie polityki jugosłowiańskiej na rzecz neutralnej postawy także innych państw bałkańskich, składających się do koalicji kresowej, jak zwłaszcza Turcja. Nie zacieśnia to jednak

zasadniczej geopolitycznej perspektywy jaka się z naddunajskiego ośrodka środkowej Europy otwiera dla wszystkich współzainteresowanych stron.

O ile chodzi o Berlin i Rzym, to rzeczą jest oczywistą, że gdyby się im powiodło związać ze sobą sojuszem Węgry i Jugosławie, to państwa te stałyby się obszarem pozornego *condominium* niemiecko-włoskiego. Pozornym byłoby ono dlatego, bo przeważałby tam wpływ niemiecki i to tym silniej, iż samą Italię już „gibelinizuje”. Jest to zatem aspekt zagadnienia ekspansji, który się przedstawia bez zarzutu tylko dla Niemiec, ale dla Italii stanowiłby dalsze rozwinięcie zaczepnej orientacji ekspansywnej — pod protektoratem Niemiec. To też polityka węgiersko-jugosłowiańska Berlina, bynajmniej nie została odczuta na Półwyspie Apenińskim jako kompensata za „najazd Longobardów”, lecz przeciwnie, jako jego dalsza, częściowo już z Włoch i na włoski rachunek przedsięwzięta akcja zewnętrzna.

Polityka „gibelińska” nad Dunajem musiała oczywiście żywo zainteresować państwa będące jej bezpośrednim przedmiotem: Węgry i Jugosławie, oraz ich najbliższych, drugorzędnie współzagrożonych sąsiadów. Stąd ożywiona ruchliwość zwłaszcza rumuńskiego min. spr. zagr. p. Gafencu. Jeździł on do Angory i Aten, ażeby podtrzymać solidarność ententy bałkańskiej z Jugosławią, która wprawdzie nie uległa pokusom rzymsko-berlińskim w kierunku wylotu przez Salonikę na Morze Egejskie, ale z drugiej strony krytykowała, zbyt silne, z punktu białogrodzkiej neutralności, angażowanie się Francji na rzecz wielkiej koalicji kresowej. Konferencje w Atenach z królem i Melaxasem odbywały się częściowo przy udziale posła polskiego. Do utrzymania kontaktu z Polską służyły również drugorzędnie odwiedziny w Warszawie resortowych ministrów Węgier i Rumunii. Stosunkowo najznaczniejszym wynikiem tych zabiegów było odprężenie jugosłowiańsko-tureckie oraz węgiersko-jugosłowiańsko-rumuńskie wraz z jego ponowną dyskretną skłonnością ku Polsce. Te próby związania ententy bałkańskiej z blokiem polsko-rumuńsko-węgierskim, zasługują zasadniczo na uwagę, jako wyraz dążeń do solidarnie samoistnej pozycji środkowego wschodu wobec dwu grup wielko-mocarstwowych, kresowej i centralnej.

I na tym jednak jeszcze nie koniec rozległym możliwościom, które otwiera ów środkowy wschód z różnych punktów widzenia dla różnych stron zainteresowanych. Dotąd nie wąpimy o jego wpływie na wzajemny stosunek Niemiec i Włoch, ich obu do Jugosławii i Węgier, oraz kontrakcji miejscowej. Niemniej silny wpływ wywierał środkowy wschód europejski również na zewnątrz, w światowych zmaganiach mocarstw kresowych z centralnymi. Tutaj w rachubę weszła przede wszystkim perspektywa opanowania przez Berlin i Rzym, Węgier i Jugosławię. Węgry miałyby za to otrzymać: Słowacyznę, Jugosławię, Salonikę, Italię — Grecję.

Poprzez „gibelinizację” polityczną i germanizację siły militarnej włoskiej, cały ten rozległy kompleks znalazłby się pod zwierzchnim kierownictwem Niemiec, mających, w myśl sojuszu, nawet formalnie objąć naczelne dowództwo włoskich wojsk lądowych, *de facto* zaś również lotniczych i morskich. Z półwyspu tedy Apenińskiego i Bałkańskiego, w szczególności z Grecji, szykowałby się wtedy potężny front ofensywy militarnej mocarstw centralnych na Morze Śródziemne, tj. francuski i angielski na nim stan posiadania z obiektem głównym w Egipcie i Suezie. Jeśliby ten front czysto morski nie rokował dostatecznych nadziei powodzenia, to można by go łatwo rozszerzyć ku wschodowi na pobliski ląd turecko-arabski, skąd już ofensywa lądowa przeciwko geopolitycznym węzłom kolonialnych imperiów: W. Brytanii i Francji miałaby wszelkie widoki zwycięstwa.

Jak realne są wynikające z tej perspektywy dla zagrożonych nią obawy o tym świadczy ubocznie ciekawy szczegół, że nawet Egipt ujawnił zainteresowanie defensywną akcją neutralnościową ententy bałkańskiej i wysłał swego ministra spraw zagranicznych do Angory, Aten, Bukaresztu i Białogrodu. W obrębie zaś gry wielkomocarstwowej kapitałnym obiektem współzawodnictwa pod kątem tych właśnie niebezpieczeństw stała się Turcja. Z tą również perspektywą (obok innych, jak bałtycka i dalekowschodnia) kojarzy się ściśle czerwcową postawą Rosji, jako też współzawodnictwo o jej względy mocarstw zachodnich i centralnych.

W poprzednim, czerwcowym referacie, w związku z podróżą Patiorkina na Bliski Wschód, miałem sposobność stwierdzić ze strony Moskwy wyraźną chęć wyzyskania wyjątkowo korzystnej dla niej koniunktury międzynarodowej w tym celu ażeby ją rozwinąć i utrwalić. Zaprojektowano więc w Moskwie otoczenie czerwonego imperium pewnego rodzaju geopolityczną fortyfikacją obronną i wypadową w postaci pasa przez Moskwę popieranego i przez nią dyrygowanych *Randsstaat*ów, rozciągniętego od Afganistanu aż po Finlandię. Rozległy ten plan wywołał niemniej rozległe komplikacje ogólne i lokalne. Ponieważ do projektowanego „pasa fortyfikacyjnego” *Randsstaat*ów Moskwa zalicza oczywiście i Polskę, a wie, że spośród upatrzonych kandydatów na wasali ten może się okazać najkrnąbrniejszym, tym bardziej pragnęłaby umocnić swą bezpośrednią i samoistną wobec niego pozycję strategiczną nad Bałtykiem. Ten cel mogłaby w pewnej mierze osiągnąć, opanowując północno-wschodnie tj.: Finlandię, Estonię i Łotwę. Nawet gdyby nam wspaniałomyślnie odstąpiła Litwę, to i tak jeszcze zyskałaby więcej niżli my, a przede wszystkim otwartą, trudną do obrony, strategicznie okrażającą Wileńszczyznę, obecną północną granicę litewską.

Propozycje z jakimi Zachód wystąpił wobec Moskwy opierały się jeszcze na lutowej i marcowej koncepcji „ofensywy złotych kul” i grubo nie dociągały do nowej sowieckiej *Randsstaat*enpolitik.

Gorzej nawet, bo majowym układem anglo-tureckim Zachód wdarił się samowolnie, wbrew misji Patiorkina, w projektowaną przez Moskwę sferę jej wpływu na jednym z najważniejszych odcinków. Z góry niejako przesądzał więc Zachód, że Sowiety pozwolą włączyć się do wielkiej koalicji kresowej, jako jej nieodzowne, ale bierne uzupełnienie, popierając li tylko dla wspólnego zabezpieczenia przed agresją niemiecką oraz dla dobrodziejstw „złotych kul” zachodnie gwarancje wobec środkowego i bliskiego Wschodu. Moskwa, która już przedtem zaczęła wobec Zachodu grać na zwłokę, urażona układem anglo-tureckim, tym silniej zacięła się w żądaniu takiej formy sojuszu z mocarstwami zachodnimi, która by jej zapewniła jak najszerszą swobodę działań nad Bałtykiem, w razie wybuchu wojny z Niemcami. Tę swobodę działań chciała mieć Moskwa zabezpieczoną poparciem zachodniego sojuszu nie tyle wobec Niemiec, a jeszcze mniej wobec samych państw nadbałtyckich, ile w największej mierze wobec Polski. W razie wojny polsko-niemieckiej, Polska utraciłaby wprawdzie możliwość bezpośredniej obrony swoich północnych sąsiadów przed Moskwą, ale teoretycznie mogłaby ją narażać na jakieś trudności ze strony mocarstw zachodnich. Trzeźwo patrząc na rzeczy był to ze strony Moskwy raczej nadmiar ostrożności, prawdopodobnie więc chodziło jej przede wszystkim o podbicie ceny swojego przystąpienia do wielkiej koalicji kresowej, jako też o zysk na czasie. Dyplomacja sowiecka, względnie sam Stalin pragnął przed zawarciem tego sojuszu przeeksperymentować postawę Niemiec i Włoch.

Nie potrzebował długo czekać i na ich kontrpropozycje. Wobec układu anglo-tureckiego, Berlin i Rzym zareagowały sojuszem wojskowym, równocześnie zaś w Moskwie poczęli się znów uwijać tajni emisariusze niemieccy, przez których można było wobec Moskwy wysuwać elastyczne sugestie nie narażając się na urzędową odmowę oraz jawne zdemaskowanie zwłaszcza wobec zagrożonych państw środkowo-wschodnich. Niewątpliwie w Moskwie słuchano tych emisariuszy z zainteresowaniem, aczkolwiek ich potem bez ceremonii przepędzono. Natura położenia i dalsze posunięcia Niemiec jako też Rosji nie pozostawiają zresztą poważniejszych wątpliwości co do zasadniczej linii tych neo-rapallitańskich sugestji. Sojusz berlińsko-rzymski mógł ofiarować Moskwie realizację i pełne poszanowanie całkowitej linii *Randstaaf*ów, jakiej sobie Moskwa życzyła, włącznie do aneksji Finlandii, Estonii i Łotwy. Granica sfer wpływu moskiewskiego i berlińsko-rzymskiego biegłaby więc wzdłuż obecnych zachodnich granic Polski, Rumunii, Bułgarii i Turcji, rezerwując dla Berlina i Rzymu „jedynie” Węgry, Jugosławie, Albanię i Grecję. Oczywiście w zamian za tak daleko posuniętą wobec Moskwy „wspaniałomyślność” Berlin i Rzym domagały się „nowego Rapallo” czyli czynnego moskiewskiego sojuszu przeciwko Anglii i Turcji na bliskim Wschodzie. W sojuszu tym przypadłby Moskwie cios rozstrzygający za

pomocą wyrwania Turcji z jej „przedwczesnych skłonności” zachodnich, oraz zwrócenia jej przeciwko mandatom arabskim mocarstw zachodnich w rejonie Suezu.

Już w tydzień po sojuszu berlińskim Moskwa w mowie Motłowa zajęła stanowisko wobec przedawnionej oferty Zachodu, przyjmując w rachubę konkurencyjną ofertę berlińsko-rzymską. Ta ostatnia została przez Moskwę zużytkowana negatywnie jako podstawa do tym bardziej nieugiętego obstawania przy swoich warunkach bałtyckich wobec Zachodu. W charakterze presji wstawiono do mowy wzmiankę o możliwości rozszerzenia obrotów gospodarczych z Niemcami, czyli zaopatrzenia ich w surowce wojenne; a także o dobrych wynikach podróży Datiomkina do Angory, co przypominało, iż Turcja weszła w ugodę z Zachodem jedynie prowizorycznie, uzależniając finalizację od ugody z Sowietami.

Mowa ta wywarła silne wrażenie w Europie. Zareagował na nią pierwszy Hitler, który w kilka dni później zabrał niespodziewanie głos na zjeździe kombatanów niemieckich wielkiej wojny. Zaatakował ostro mocarstwa zachodnie. Mógł sobie na to pozwolić tym snadniej, że w parę dni później stawili się w Berlinie ministrowie spr. zagr. Estonii i Łotwy celem podpisania proponowanego im w maju przez Niemcy paktu nieagresji. Wyobrażali sobie zapewne, że wobec denerwującego dla nich sporu o gwarancję między Zachodem a Moskwą, najbezpieczniej będzie osłonić się formalnie chociaż od strony Niemiec, a zarazem uzyskać ich protekcję przeciw Moskwie. W czerwcowych wszakże okolicznościach była to już rachuba błędzeń. Ze stanowiska Niemiec paktu nieagresji oznaczały w chwili ich zawarcia raczej koncesję na rzecz Moskwy, manifestowały niemiecką dobrą wolę wyrzeczenia się ekspansji w tym kierunku, oraz nieprzeciwstawienia się tutaj dążeniom sowieckim. Estonia i Łotwa otrzymały też zaraz wymowną reprymendę od moskiewskiej *Prawdy*, która im zarzuciła poddanie się Niemcom, „ostrzegając”, że gdyby się na tej drodze chciały posuwać dalej, to Sowiety wysuną stąd daleko sięgające wobec nich konsekwencje. Państwa nadbałtyckie znalazły się przeto między młotem a kowadłem.

Mocarstwa zachodnie na łamach swej prasy zakwalifikowały naprzód napastliwą mowę Hitlera jako niezrozumiałe i niedyplomatyczne grubiaństwo. Publicystyka bowiem zachodnia nie chciała się otwarcie przyznawać, iż napaść Hitlera posiada wyrafinowany cel taktyczny: poparcia nieustępliwego stanowiska Moskwy w jej układach z Londynem i Paryżem, tym samym zaś utrudnienia ich lub wprost zerwania. Chwilowo nawet niewiele do tego brakowało. Jednakże przenikliwiej oceniający sytuację Halifax wygłosił z kolei w izbie gmin mowę, która na hitlerowską prowokację odpowiadała minorowo i ugodowo. Prasa niemiecka zrobiła z tego sensację przypisując Anglii chęć wycofania się z sojuszu z Polską. Szybko więc Halifax był zmuszony skorygować swoje prze-

mówienie od tej strony. Było ono adresowane tylko formalnie do Berlina, faktycznie zaś do Moskwy, której odpowiadało na wzmiankę Mołotowa o możliwości rozszerzenia handlu z Niemcami. Moskiewską pogroźkę porozumienia z Niemcami Zachód odparł angielską pogroźką porozumienia z Niemcami.

Dzięki tej wymianie pogroźek układy anglo-sowieckie, przejściowo silnie naprężone, nie zostały jednak zerwane. Przeciwnie nawet, wzmogły się widoki finalizacji przymierza anglo-polskiego i zmobilizowania nareszcie na naszą korzyść zachodniej „ofensywy złotych kul”. W przewidywaniu bowiem możliwości zmian już od pewnego czasu podjęte zostały z naszej strony rokowania w tych sprawach z Londynem, gdzie osiadła na dłużej specjalna komisja finansowa z pułk. Kocem na czele.

Widoki anglo-polskie wzmogły się równolegle z sowiecko-zachodnimi po części także na skutek rozwoju daleko-wschodniej strony światowego położenia. Zanim ją omówimy trzeba jednak jeszcze wspomnieć o blisko Polskę obchodzącym epizodzie gdańskim, który stale był podtrzymywany przez Niemcy w stanie wrzenia, tym razem w związku z rachubą na neo-Rapallo. Spodziewali się Niemcy, że od Moskwy, jako ewentualnej protektorki polskiego *Randstaaf*u wytargują w zamian za wschodnie pobrzeże bałtyckie przynajmniej Gdańsk i pomorską autostradę; tym bardziej, iż nowe Rapallo zamierzało Polskę traktować „wspaniało-myślnie” i obdarować ją Litwą. Z drugiej strony, jak zaznaczałem w poprzednim referacie, na wypadek dojścia do skutku sojuszu sowiecko-zachodniego Niemcy gotowali się do natychmiastowej rozgrywki przez zamach na Gdańsk. Ponieważ jednak sprawa sojuszu sowiecko-zachodniego przybrała obrót chwilowo dla Niemiec pożądanie zwłoki a nawet kryzysu, przeto niemieckie prowokacje w Gdańsku nie zostały doprowadzone do stopnia wybuchowego. Do tejże kategorii niemieckich przygotowań na wypadek sojuszu sowiecko-zachodniego i wojny Niemiec z Polską należały również próby organizowania z Gdańska irredendy białoruskiej, skądinąd zaś także ponowne ożywienie ukraińskiego ruchu terrorystycznego.

W tych okolicznościach, wobec alternatywy: neo-Rapallo lub sojusz sowiecko-zachodni i wojna, tym bardziej wzmagala się potrzeba finalizacji przymierza anglo-polskiego szczególnie przy równoczesnym zagrożeniu Węgier przez Niemcy. Razem wzięte wszystkie te przygotowawcze pociągnięcia niemieckie wymierzone w Polskę szachowały również pośrednio Moskwę, groziły bowiem na wypadek wojny przedzieraniem się Niemiec na Wschód, już to od północy przy udziale Białorusinów, już też od południa przez Ukraińców.

Wróćmy jednak na Daleki Wschód. W chwili gdy sojusz Zachodu z Sowietami zdawał się już być pogrzebany, Japonia za-blokowała cudzoziemskie koncesje w portach chińskich, godząc

przez to w interesy wszystkich trzech wielkich demokracji zachodnich: Anglii, Francji i Ameryki. Główny cios został wymierzony w Tientsin i Anglię. To posunięcie Japonii tłumaczyła prasa zachodnia jako sojusznicze współdziałanie z osią berlińsko-rzymską. W rzeczywistości służyło ono głównie i bezpośrednio tylko japońskiej racji stanu, ale przy rachubie na osłabioną pozycję Anglii, która by ewentualnie mogła się stać nawet bezsilną, w razie nowego Rapallo. Ofensywa na koncesję sprawiła ciężki kłopot zaatakowanym mocarstwom, ponieważ ich floty są uwięzione w Europie, a sankcje gospodarcze też niełatwe do zastosowania, bo kosztowne, a rozstrzyga o nich faktycznie Ameryka.

Po kilku dniach znalazło się jednak wyjście. Rosja od początku układów o sojusz z Zachodem życzyła sobie rozciągnięcia układu także na Daleki Wschód. Nie mogły jej tym służyć Anglia i Francja zbyt silnie związane w Europie, a więc osłabione w Azji. Na Stany Zjednoczone też nie można było liczyć w dostatecznej mierze, bo tamtejsza suwerenna opinia woli pilnować obrotów handlowych, aniżeli ryzykować awantury. Moralny efekt podróży królestwa brytyjskich do Kanady i Waszyngtonu nie wywołał jeszcze w zakresie anglo-saskiej solidarności imperialnej dostatecznie głębokich przeobrażeń. Skutkiem ograniczonego wpływu na Daleki Wschód tym słabszą więc stawała się pozycja anglo-francuska w europejskich układach z Moskwą. Gdy jednak zarysował się w tym względzie kryzys i sprowokował komplikację anglo-japońską to potrzeba stała się matką wynalazku. Londyn wpadł na pomysł uaktywnienia przeciwko Japonii samej Rosji, oczywiście kombinując to z jej zabezpieczeniem sojuszniczym w Europie oraz poparciem za pomocą „złotych kul”.

Projekt taki wysunięty w Moskwie przez nadzwyczajnego brytyjskiego delegata, Stranga, przypadł do gustu Stalinowi. Wznowiono układ chińsko-rosyjski o wymianie handlowej i dostawach materiału wojennego sowieckiego dla Czang-Kai-Szeka, równoległy z manifestacją spotęgowania takiejże pomocy brytyjskiej. Już jednak i poprzednie jej działanie okazało się na tyle skuteczne, że umożliwiło pierwszy poryw ofensywy chińskiej przeciwko Japonii i to na terenie zdawna okupowanym, północnym, w Szantungu. Równocześnie podjęta została ze strony Moskwy mała ofensywa lotnicza na Mandżurię, gdzie nastąpiło kilka dosyć poważnych starć powietrznych. Japonia zmiękła i wdała się w układy z Londynem o Tientsin.

Równoległe miękła postawa Moskwy wobec Zachodu w Europie. Skorzystała z tego Francja, ażeby zawrzeć z Turcją układ analogiczny do majowego angielskiego, lecz tym solidniejszy, że opłacony gotówką terytorialną przez cesję Aleksandretty. Wzmógł się przeto ponownie śródziemnomorski front obronny Zachodu. Nad Bałtykiem także poczęła się odwracać karta na dobro wielkiej koalicji kresowej. Od majowej wizyty Patiomkina w Warszawie

odpreżyły się stosunki polsko - sowieckie, co zostało zmanifestowane nominacją ambasadora Szaronowa, a następnie udziałem p. min. Becka w przyjęciu w ambasadzie sowieckiej, przedtem zaś odpowiednią wzmianką w mowie Mołotowa. W czerwcu nasze M. S. Z. widocznie nie próżnowało nie tylko w Londynie, lecz i w nadbałtyckim polu kłopotliwego starcia z Moskwą. Było to tym naturalniejsze, że głównym winowajcą tego starcia była właśnie polska osłona państw nadbałtyckich przed niebezpieczeństwem, w razie wojny, utraty niepodległości na rzecz Rosji. W pewnym momencie ambasador Szaronow został powołany do Moskwy dla zdania raportu o sytuacji wobec Mołotowa i Stalina.

W tymże mniej więcej czasie odezwał się głos z Litwy w tamtejszym dzienniku urzędowym, proponujący polskie pośrednictwo między Zachodem a Moskwą w sprawie gwarancji niepodległości Łotwy, Estonii i Finlandii. Linia kompromisu miałaby zostać poprowadzoną w ten sposób, że Rosja otrzymałaby od Zachodu zapewnienie solidarnego z nią wystąpienia w obronie państw nadbałtyckich na wypadek niebezpieczeństwa niemieckiego i to niezależnie od życzenia tychże państw nadbałtyckich. Według pogłosek Rosja miałaby nawet otrzymać prawo wprowadzenia na terytorium tych państw swoich wojsk, jednak z zastrzeżeniem ich wycofania natychmiast gdyby konieczność obrony przed Niemcami ustała. Nie ulega wątpliwości, że to zastrzeżenie jest śliskie, nie dziw przeto, iż projektuje się nie dać mu formy tajnego aneksu przy ogólnym traktacie przymierza. Realizacja tego zastrzeżenia zależałaby całkowicie od układu sił we właściwym momencie tj. po odparciu niemieckiej agresji. Perspektywa tego układu sił przedstawia się w dwojakiej wersji. Po pierwsze, gdyby Europa zmuszona była stoczyć wojnę z Niemcami, to zwycięstwo musiałyby ją kosztować wiele i osłabiłoby ją. Jeżeli Rosja w tej wojnie przyjmie udział tylko życzliwie bierny, taki zwłaszcza jaki został przewidziany w projektowanym układzie sojuszniczym z mocarstwami zachodnimi, to niewątpliwie po pogromie Niemiec będzie najmniej osłabiona, może nawet wzmocniona „ofensywą złotych kul“, oraz aneksją bałtyckiego pobrzeża. Wtedy wyrwać je z jej rąk byłoby trudno i pewno nikt by o tym nie myślał, zwłaszcza, że w takiej koniunkturze Rosja mogłaby się stać niebezpieczną nie tylko dla swoich sąsiadów północno - wschodnich. Wersja druga jest korzystniejsza dla partnerów Rosji, przyjmuje bowiem czynne zaangażowanie Rosji na Dalekim Wschodzie przeciwko Japonii. Gdyby ono nastąpiło równoległe z konfliktem europejskim, to Rosja mogłaby zdobyć poważne korzyści nad Pacyfikiem, ale doraźnej przewagi w Europie by nie uzyskała, a więc prawdopodobnie dałaby spokój państwom bałtyckim, albo przynajmniej nie upierałaby się przy nich.

Zasadniczo Moskwa bardziej skłania się do wielkich koalicyj z Zachodem niżli do nowego Rapallo z mocarstwami central-

nymi nie bez poważnej przyczyny. Oś berlińsko-rzymska ofiarowuje wprawdzie Moskwie uzgodnienie swych dążeń ekspansyjnych z sowiecką *Randsstaatenpolitik*, którą mocarstwa zachodnie raczej rozrywają. Ale Moskwa może się słusznie obawiać zbyt głębokiego przewrotu w równowadze międzynarodowej, który by nastąpił w razie pogromu Anglii i Francji. Wtedy bowiem na światowej widowni znalazłaby się wprawdzie w otoczeniu upragnionego orszaku programowych wasali, ale poza tym samotna i odosobniona wobec spotężniałych Niemiec, Włoch i Japonii. Wtedy by mógł nastąpić drugi akt tragedii bardzo dla Moskwy fatalny.

Atmosfera międzynarodowa na progu lata jest niesłychanie gorąca, duszna i prześladowana elektrycznością. Prawdopodobieństwo wojny zdaje się przeważać nad widokami pokoju, mimo to nadzieja uratowania go jeszcze nie znikła. Pomimo bowiem gibelinizacji Włoch, ale wobec skutecznego dotąd oporu Węgier i Jugosławii, oraz ruchu ententy bałkańskiej, nie wydaje się prawdopodobnym ażeby Niemcy mogły sobie zapewnić zbrojne współdziałanie Rzymu w razie wojny na odcinku północnym, nadbałtyckim. Na Włochy mogą liczyć Niemcy tylko na froncie Morza Śródziemnego, które pozostaje zabarykadowane. W osamotnieniu zaś Hitler na wojnę zapewne się nie odważy. Tym samym musiałby przełknąć nawet sojusz Zachodu z Sowietami. Ogniówą próbą między pokojem a wojną będzie okres jesienny. Jeśli wtedy wojna nie wybuchnie będzie to oznaczało wymowny triumf zasady *si vis pacem para bellum*.

W chwili gdy kończę to sprawozdanie nadeszły wiadomości, z których wynika że wzrost szans sojuszu między Zachodem a Moskwą wywołał reakcję ze strony Niemiec w postaci wzmożonych przygotowań wojskowych w Gdańsku. Podobno miałyby one służyć dla pierwszego odporu wobec „agresji” polskiej po zamierzonej proklamacji przez senat Wolnego Miasta jego przyłączenia do Rzeszy. Już raz Niemcom udało się powstrzymać Sowiety od sojuszu z Zachodem groźbą natychmiastowej wojny z powodu Gdańska... Moskwa bowiem postawiona wobec takiej perspektywy, pragnie przede wszystkim zachować wolną rękę. Sądząc z głosu *Prawdy* zanosi się na to i obecnie. Zaraz też dał się odczuć ponowny wzrost napięcia i ze strony Japonii wobec Anglii oraz Sowietów.

Andrzej Prawdzic

Warszawa, 5 lipca 1939 r.

Ze świata filmu.

Wielka wygrana Duviviera. — Pomyłki krytyki i publiczności. — Efekty statystyki. — Tematyka i duch filmów francuskich.

Spośród około 16 filmów, których premiery odbyły się w czerwcu, właściwie zaledwie jeden zasługuje na obszerniejsze omówienie. Pozostałe należą już do typowych krótkotrwałych let-

nich programów i nie wyróżniają się ani pomysłowością scenariuszy, ani zaletami wystawy czy grą aktorów. Jako obrazy poprawne i na ogół sympatyczne w swej treści można wymienić *Orły morskie*, film z życia amerykańskiej szkoły lotniczej dla kadetów marynarki, dalej — *Dr Kildare*, opowieść o karierze młodego lekarza, na ogół wzorowaną na *Cyfadeli* — powieści angielskiego pisarza J. A. Cronina, która w przeróbce filmowej zdobyła powodzenie równe sukcesowi książki i wywołała w ten sposób serię obrazów, eksploatujących temat, podobający się publiczności. *Dziwczyną z zaufką* z Sylwią Sydney reprezentuje tendencję społeczną — walkę z nędzą przedmieść wielkich miast, a *Sześciu z przedmieścia* swoistą yankesowską metodą, zarazem dość bezceremonialną i naiwną, tłumaczy, że cnota i przyzwolita praca jest lepszym biznesem, niż włóczęgostwo i złodziejstwo. Na tym koniec listy filmów, możliwych do obejrzenia, oczywiście, z wyjątkiem dla tego, do którego zaraz powrócimy, tj. dla *Wielkiej wygranej*, reżyserii Duviviera, wyświetlanej w warszawskim kinie „Napoleon”.

Niewątpliwie *Wielka wygrana*, nosząca w oryginale tytuł *La Belle Équipe*, należy do najlepszych, najbardziej artystycznych filmów sezonu, a Duvivier wraz z Disneyem i Marcel'em Carné tworzy trójkę, która dała nam ostatnio najciekawsze osiągnięcia realizatorskie. Równocześnie w kinie „Atlantic” inny film Duvivier'a — *Wielki walc* — nakręcany już w Ameryce, grany jest bez przerwy cztery miesiące, zdobywając rekord powodzenia w Warszawie. To wszystko świadczy o sile wizji filmowej Duvivier'a i jego niewątpliwym talencie.

Przyjrzyjmy się jednak jak ten talent pracuje i czemu służy?

W filmie *La Belle Équipe*, który — nawiasem mówiąc — otworzył swemu twórcy drogę do Hollywoodu, Duvivier pragnął pokazać piękny ideał ludzkiej solidarności, dać niejako naoczny dowód, że jeżeli mężczyźni złączy przyjaźń i koleżeństwo, potrafią oni przezwyciężyć to wszystko, co mogłoby ich rozdzielić, a więc: zawiść, nierówności majątkowe, konflikt o kobietę itp. Przypuszczam, że źródłem myśli Duvivier'a był swoisty *Weltschmerz* obecnych czasów, nieznośny ucisk świata, w którym — zdawało by się — nikomu i niczemu nie można zaufać. Bez względu na form walki o byt w połączeniu z przewagą celów materialnych nad celami idealnymi wytworzyła stan nieustannego napięcia, nieustannej czujności instynktu samozachowawczego człowieka w stosunkach z innymi ludźmi. Jest to nie do pogodzenia z naturalnymi człowiekowi skłonnościami społecznymi i prowadzi do konfliktów sprzecznych tendencji: odruchowego garnięcia się do innych ludzi i zarazem cofania się w odruchu obawy i niepewności. Tam, gdzie nie można znaleźć rozwiązania w drodze naturalnej zjawia się degeneracja instynktu i tą właśnie formą

zdegenerowanego kontaktu społecznego stała się obłuda. Z tą chwilą wchodzimy w błędne koło, ponieważ obłuda musi z kolei rodzić tym większą niepewność, ostrożność i niechęć. W skali światowej nazywa się to zjawisko kryzysem zaufania.

Reakcją jest wzmożona tęsknota do szczerości i ufności, do wartości niewzruszalnych, do ludzi którzy potrafią nie zawieść i którym można oddać się bez zastrzeżeń. Między innymi na tym tle rozwija się kult wodzów-dyktatorów, jako namiastki wszechmocnej, opiekuńczej potęgi, kto wie również, czy zmęczenie ciągłym życiem pod hasłem „człowiek człowiekowi wilkiem” nie było jednym z czynników zwracających znów ludzi ku Bogu i religii. W każdym bądź razie charakterystyczne, że w dewizach poprzedniego i obecnego pontyfikatu na pierwszy plan wysunęły się słowa: sprawiedliwość i pokój, jakby symbol tego, czego dziś człowiek najbardziej szuka.

W dziedzinie sztuki czeka jeszcze na swego wyraziciela, na geniusza, który by miał zdolność oddania i najgłębszej rozterki i najpełniejszego ukojenia, bolesna samotność dzisiejszej epoki, tak zagubionej w nieświadomości i w cierpieniu, iż można by powiedzieć, że nie będzie miała dość sił odnalezienia Boga, jeżeli Bóg sam nie zechce jej odnaleźć. Kontrastowi niepokoju wolno przeciwstawić obraz spokoju i zaufania tam, gdzie mamy pewność, iż nad egoizmem góruje ambicja doskonałości i prawo duchowe. Z tych samych zaczynów psychicznych, z jakich powstał film Duvivier'a, mógłby rozwinąć się wspinały film o społeczeństwie katolickim, o środowisku, w którym etyka katolicka jest nie formułą, ale czynem. Nie trzeba chyba dodawać, że realizacja miłości bliźniego w życiu prywatnym i publicznym przekreśla całkowicie *Weltschmerz* dwudziestego wieku.

Duvivier mógł wkroczyć na tę drogę. Co więcej, sędzę, że była ona najnaturalniejsza nie tylko ze stanowiska katolickiego, ale i ze stanowiska artystycznego, ponieważ nie ma dziś w świecie czynnika, który by równie silnie przeciwstawiał się egoizmowi, wyzyskowi, okrucieństwu, jak katolicyzm i równie wytrwale szerzył ideę solidarności społecznej i ogólnoludzkiej. Gdyby Duvivier na tym oparł wzajemną wierność pięciu przyjaciół, ich spójnia miałyby mocne uzasadnienie. Oparta na idei koleżeńskości już nie jest tak silna, tym bardziej, że jeśli koleżeńskość ta nie zrodziła się w wyjątkowo dramatycznych warunkach, np. na wojnie, nie bardzo rozumiemy, by o tyle silniejsze i głębsze uczucia jak np. miłość, miały przed nią ustępować. Oczywiście obowiązuje lojalność, co innego jednak znaczy zrzeczenie się z uczucia w stosunku do narzeczonej przyjaciela, co innego — wyrzeczenie się, w imię koleżeństwa, własnej żony!

Ale Duvivier chciał za wszelką cenę dać zadośćuczynienie tęsknocie za spokojem i ufnością, pokazując ludzi, którym —

jeśli dadzą swe słowo — można zaufać bez zastrzeżeń. Mogą się oni łamać, ale słowa nie złamią.

Obok koleżeństwa, piątkę kompanów spod znaku wymownego tytułu *La Belle Équipe* łączy jeszcze wspólność dokonywanego dzieła. Duvivier wprowadza czynnik idei nadrzędnej, ambicji spełnienia czegoś, co wykracza poza bezpośredni interes każdego z pięciu członków spółki, dlatego warto ponosić ofiary. Istnieje tylko groteskowa niewspółmierność między hasłem, a jego realizacją. Bo oto okazuje się, że za wspólną wygraną na loterii, przyjaciele wybudują podmiejską restaurację nad rzeką. Łódki, romantyczne spacery pod drzewami, obiadek i wino — tak wygląda „idea”. Dla stworzenia tego zakładu turystyczno-gastronomicznego cała piątka ma wyteżać siły i poświęcać osobiste szczęście w imię wspólnego dzieła.

Oczywiście istnieje i podkład głębszy, choć niewidoczny w pierwszej chwili. W wyborze stworzenia jakiegoś miejsca wypoczynku i zabawy za cel pracy przyjaciół, przebija tęsknota za beztroską, za namiastką raj, za schronieniem się przed uciskiem świata. Jeżeli przyjaciele dokonają swego dzieła, odbędzie się uroczyste otwarcie gospody, a autor filmu będzie niemal mógł zakończyć słowami: „i ja tam byłem, miód i wino piłem”.

Jak w bajce. Zresztą, na tle poprzednich uwag widać, że wątek akcji trochę zbliża się do charakteru bajkowego. Finał jest jakby optymistyczną utopią, obrazkiem „co by było, gdyby...” To znaczy: gdyby ludzie biedni otrzymali trochę grosza i mogli stać się niezależni gospodarczo. Pracując wówczas w przepojonym solidarnością kolektywie, mogliby budować rzeczy istotnie wartościowe. Świat byłby lepszy, pogodniejszy, weselszy, zdobyłby coś z tej radości, jaką widzimy w gospodzie otwartej pod znakiem „złączonych dłoni”.

Jest to emblemat spółdzielczy, ale też i socjalistyczny. Kiedy na maszt na dachu uroczystie wciągają flagę, napis polski mówi o chorągwi Republiki, oryginalny zaś tekst francuski o „chorągwi ludu pracującego”. I stąd już nie daleko do sugestii, że gdyby tym pocziwym, szczerym, przyjacielskim i lojalnym „ludziom pracy” oddać wszystko w ręce, rzeczy poszłyby innym torem. Wśród „kolektywu przyjaźni” odnaleźlibyśmy spokój i ufność. Nie byłoby też tak bolesnych zgrzytów, jak np. konieczność emigracji jednego z przyjaciół wraz z narzeczoną...

Dochodzimy do sedna rzeczy. Nie sposób krytykować zasady, aby w społeczeństwie rządzili uczciwi, lojalni i przyjacielsko wobec swych bliźnich usposobieni „ludzie pracy”. Ale „lud pracujący” jest na ogół terminem dosyć mglistym, ostatnio zaś na tle historii nabrał nawet przykrego znaczenia. Zatem — kogo film Duviviera uważa za „ludzi pracy”, jacy są członkowie *La belle Équipe*? — Oto zasadnicze pytanie. Akcja filmu daje bezpośrednią odpowiedź. Przyczyną bowiem emigracji jednego z pięciu

kolegów był nakaz policyjny. Prawdopodobnie brak obywatelstwa, lub obce obywatelstwo, obok tego zaś — udział w hiszpańskiej wojnie domowej. Naturalnie po stronie czerwonych...

Zatem krótko mówiąc, film Duviviera, chociaż nie propaguje jawnie hasel Frontu Ludowego, wyrasta wyraźnie z jego ideologii. Duvivier wierzy, że ideał dobrobytu materialnego, przywrócenie zaufania i lojalności w stosunkach między ludźmi wystarczy dla odrodzenia dusz, dla wydobycia z nich takich sił, które potrafią zapanować nad namiętnościami. Tego też dowiesć ma kulminacyjny punkt akcji: pojednanie się dwóch ostatnich pozostałych na placu przyjaciół i wspólna ich rezygnacja z kobiecy, którą obaj kochali. Niewątpliwie założenie pokonania samego siebie, byle nie sprzeniewierzyć się wyższemu celowi, jest piękne. Mam jednak poważne wątpliwości, czy zdławienie uczucia, choćby uczucia przykrego, nieszczęśliwego i żywnego dla kobiety, która na nie nie zasługuje, w imię stania się współwłaścicielem przedsiębiorstwa restauracyjnego — jest tak bardzo wzniosłe. Jeżeli ów zakładzik podmiejski *Chez nous*, pod „złączonymi dłońmi“, miał być symbolem — to doprawdy kiepski wybrano symbol.

Znamienna jest przy tym logika, jaka cechuje cały zatarg między dwoma przyjaciółmi. Ona jest żoną jednego z nich. Najlepszą połowicą zdaje się nigdy nie była, ostatecznie zaś, gdy mąż został bez pieniędzy, opuściła go i wzięła się do śliskiego zajęcia pozowania do aktów fotograficznych. Wraca, kiedy zjawiły się pieniądze — mąż nie chce jej znać, ale gdy jeden z przyjaciół zaczyna z nią romansować, budzi się zdławione niegdyś uczucie i rozpoczyna się walka. Walka — zdaniem rywala — bezsensowna, ponieważ: „odeszła od ciebie, gardzisz nią, nie kochasz jej, właściwie nie jest już twoją żoną, cóż ci przeszkadza, że będzie moją kochanką?“ W tym postawieniu sprawy jak najjaskrawiej występuje etyka przeciwna zasadzie katolickiej, a oparta na swobodnym doborze mężczyzny i kobiety w ramach wolnego związku. Konflikt kończy się rezygnacją obydwóch mężczyzn i przedstawiony jest jako odepchnięcie niskiej pokusy w imię wyższego celu. Prawda, że nie na wiele zasługiwała ta kobieta i ta budowa restauracji-schroniska *Chez nous*, jest raczej symbolem wspólnego dzieła, ale ostatecznie nazywając rzeczy po imieniu, w stosunku do jednego z mężczyzn, była to rezygnacja z żony dla założenia restauracji.

Wobec słabej atrakcyjności i braku doniosłości w konkretnym celu, wysuniętym jako ucieśnienie ideału lojalnego, przyjacielskiego współdziałania, zatarg o kobietę nie mógł mieć głębszego podłoża uczuciowego — inaczej zwycięstwo owego idealnego celu wydałoby się sztuczne. Dla uprawdopodobnienia więc wprowadzonego rozwiązania było potrzebne raczej starcie dwóch pożądań, niż dwóch uczuć. W konsekwencji — kobietę przedstawiono

niemal jako rzecz, rzecz kupną czy najemną, którą mężczyźni zawsze łatwo mieć i o którą nie warto robić zbyt wiele krzyku.

Laicką i zbliżoną do ideologii Frontu Ludowego atmosferę filmu wyraźnie zaznacza choćby tak drobny szczegół akcji, jak scena pożegnania młodej pary, wysiedlanej z Francji, przez babkę narzeczonej. Młodzi, schyleni do jej nóg, wpół przyklekli, babka zaś pogłaskała lekko ich związane dłonie, dając tym swojej zgody na małżeństwo i rozstanie z wnuczką. Byłoby dziwne mieć do babki pretensję, że zareagowała takim właśnie gestem, ale warto zwrócić uwagę, że u kobiety wzrosłej w kulturze katolickiej, bez względu na to, czy szczerze wierzącej, czy też katolicki po prostu z przyzwyczajenia, temu dość naturalnemu gestowi towarzyszyłoby uczynienie nad głowami młodych znaku krzyża.

Czy film Duviviera określić jako szkodliwy? Nie jest on szkodliwy bezpośrednio; w porównaniu z wielu innymi filmami francuskimi różni się od nich raczej *in plus*, akcentując podporządkowanie namiętności przemysłowej decyzji woli. *La Belle Equipe* należy do wytworów życia złaicyzowanego w ten sposób, że trzeba na ten obraz spojrzeć, uświadamiając sobie, że wespół z wielu innymi obrazami tego typu, wraz ze zbliżoną ideowo sztuką dramatyczną i beletrystyką stanowi on nieustanne utwierdzanie ludzi w myśli, iż obecna epoka złaicyzowania życia prywatnego i publicznego jest czymś najzupełniej normalnym i słusznym, że takie są wymagania i porządek życia i nie ma wobec tego potrzeby szukania jakichś racji innych, zwłaszcza zaś nadprzyrodzonych, dla budowania porządku społecznego i wytyczania swej własnej drogi życiowej.

Bliższe przyjrzenie się treści filmu wykazuje jej braki artystyczne oraz genezę i charakter tendencji ideowych. I dopiero wówczas można mówić o szkodliwości *Wielkiej wygranej*. Publiczność jednak albo nie sięga poza powierzchowne wrażenie, albo też jeżeli snuje dalsze refleksje, wówczas — można przypuszczać — że bądź posiada właściwy sąd, bądź też z góry sympatyzuje z ideologią filmu. Recenzje i to nawet recenzje piór o niewątpliwym katolicyzmie autorów, odniosły się do filmu Duviviera na ogół życzliwie, inne sprawozdania (w pismach narodowych i zbliżonych do kierunku katolickiego) już bez zastrzeżeń podkreślały moralne wartości obrazu, entuzjazmując się jego tendencją. Czyli po prostu autorzy recenzji nie zauważyli... A skoro nie dostrzegli wielu rzeczy recenzenci, jakże przypuszczać, że dostrzeże je publiczność? Tedy, ewentualna szkodliwość *Wielkiej wygranej* została dość paradoksalnie zniwelowana przez niedojrzałą reakcję publiczności. Więcej nawet — film częściowo spełniał zadanie pożyteczne, przecież jednak będąc pochwałą ludzkiej zgody, zachętą do rzetelnego porozumienia się

przeciwników i zwycięstwem dążeń choć o szczybel wyższych od zdecydowanego egoizmu.

Reżyserii Duviviera trzeba oddać sprawiedliwość. Finezja, dowcip, śmiałość kontrastów, trafne, choć nieoczekiwane, uderzenie w strunę tragiczną, kondensacja nastroju i uniknięcie patosu. Obok tego doskonały montaż, zrytmizowanie akcji i ścisłe złączenie jej z podkładem muzycznym, wprowadzenie clair'owskiego tonu lekkiej, jakby od niechcenia opowiadanej, a przez to i w pół realnej, opowieści.

W karierze aktorskiej Jean'a Gabin, jego kreacja jako przywódcy pięciu rzemieślników, jest chyba najlepszą rolą. To samo można powiedzieć o roli Aimos'a, wesołka, który zginął tragicznie w dniu ukończenia wspólnego dzieła. Jeżeli są zastrzeżenia, gdy idzie o przeznaczenie tego filmu dla szerokiej publiczności — to wydaje mi się, że polscy filmowcy powinni obejrzeć go nie raz i nie dwa, jako wzór kulturalnej i doświadczonej pracy reżyserskiej.

Zagłębienie się w treść ideową filmu Duviviera i wskazanie na jej zasadniczą, u korzeni tkwiącą, laicyzację, prowadzi prostą drogą do zainteresowania się całokształtem tej produkcji francuskiej, która tak poważne miejsce zajęła na naszych ekranach w mijającym sezonie filmowym. W okresie od 1 września ub. r. do 1 lipca rb. około 40 nowych (tzn. nowych dla nas, dla polskiego widza) filmów francuskich przesunęło się przez nasze warszawskie ekrany, a w ślad za tym i przez kina prowincjonalne, nie licząc tych obrazów, które były wyświetlane na prowincji, a do Warszawy nie dotarły. I tu od razu jest szczególne, że gdy w opinii podnosiły się ostre protesty przeciw niektórym filmom zagranicznym, były to zawsze obrazy francuskie. Film *Purytanin* został zdjęty z ekranu po zaatakowaniu go w *Polsce Zbrojnej*. *Krzyk ulicy* (*La Maison du Maltais*) stał się powodem ostrego wystąpienia Adolfa Nowaczyńskiego w *Prosto z mostu*, a kilka innych w ramach niniejszego stałego przeglądu repertuaru spotkało się z ostrą oceną i stwierdzeniem ich trywialności. Farsa *Małżeństwo z przeszkodami* była chyba najtrywialniejszym filmem całego sezonu, a obrazy z Fernandem również nie grzeszyły zbyt wielką przyzwoitością. Wniosek stąd prosty, że o ile film amerykański podlega pewnej cenzurze, oczywiście w duchu przeciętnych wymagań obyczajowych St. Zjednoczonych, przeprowadzanej przez organizację samych producentów, o tyle film francuski, korzystając z całkowitej swobody, korzysta z niej źle. Nie odmawiamy kinematografii francuskiej wysokich wartości artystycznych, niejednokrotnie — szlachetnego tonu etycznego, ale nie ma też żadnego powodu, by z francuskiej produkcji korzystać bezkrytycznie. Ostrożność zaleca zwłaszcza fakt, że francuski film stał się schronieniem dla żydowskich emigrantów z Niemiec, Austrii i dla

rosyjskich reżyserów popadłych w niełaskę i usuniętych z Sowietów.

Chociaż statystyka często schematyzuje sprawę, pozbawia ją tła i odbiera jej właściwy sens, zacznijmy jednak od statystyki, bo taż sama statystyka nabiera zupełnie innego wyrazu, gdy stwierdza masowość jakiegoś zjawiska. Wówczas działa ona ostrzegawczo, sygnalizując, że wobec powagi sytuacji należy porzucić subtelności i zastosować się do wymagań interesu społecznego.

Otóż przeglądając treść owych 40 premier francuskich, trzeba zanotować co najmniej siedmiokrotne pojawienie się, jako motywu, życia kobiety sprzedającej swą miłość. *Purytanin* wręcz przedstawia środowisko prostytucji, jedną zaś z prostytutek pasuje na główną bohaterkę. *Krzyk ulicy* w poszukiwaniu interesujących sytuacji sięga do domu publicznego, a film sensacyjny (*Niewolnica Szanghaju*, *Kapitan Benoît*, *Gibraltari*) nie może się obyć bez postaci pięknego „wampa”, który równocześnie uwodzi, wykrada i zdradza tajemnice wojskowo-polityczne. Wreszcie *Pola Elizejskie* Sachy Guitry aż idealizują opłacane stosunki erotyczne, czyniąc tytuł dumy i sławy z dostąpienia przez kobietę zaszczytu łoża króla Francji.

Zdradę małżeńską, tradycyjny motyw współczesnej komedii, czy tzw. sztuki, spotykamy cztery do pięciu razy. Na tle treści sztuk teatralnych wydawałoby się to niezbyt częste — nie zapominajmy jednak, że po pierwsze: w filmach amerykańskich jest to przypadek bardzo rzadki, wręcz — wyjątkowy, oraz po drugie: że częste zastępowanie małżeństwa bądź miłością, bądź wprowadzaniem w akcję mniej lub więcej eleganckiej prostytutki eliminuje z góry możliwość zdrady.

Skoro mowa o kobietach francuskiego filmu, trzeba wspomnieć, iż ulubioną postacią jest matka nieślubnego dziecka — jakby wyższy szczebel po idealizowanej wampirzycy, okupującej błędy bezinteresowną i tragiczną miłością, w której kocha już mężczyznę nie dla pieniędzy, choć pieniądze też bierze. Matka — to rzecz wielka, nieślubne pochodzenie dziecka nie może rzucić cienia na czystość jej uczuć macierzyńskich, nieraz zaś tym bardziej pasuje ją na bohaterkę. Ale sądząc po filmach francuskich wolnoby mniemać, że tylko nieślubna matka zasługuje na wieńiec heroizmu i że w ogóle we Francji dzieje się wszystko na odwrót: w małżeństwach dzieci nie przychodzą na świat, rodzą się za to obficie poza małżeństwem... Przynajmniej w omawianych w ciągu roku filmach sześć razy spotykamy akcję bądź opartą na fakcie urodzenia się dziecka niezalegalizowanego (używam umyślnie terminu odpowiadającego charakterowi małżeństwa cywilnego), bądź też mocno z tym wydarzeniem związaną. Jako przykład przypomnijmy choćby filmy: *Macierzyństwo*, *Konflikt*, *Studentka*, *Wędrowny naród*.

Wreszcie — jedno z typowych rozwiązań akcji i rozwiązań trudności życia: samobójstwo. Samobójstwo, albo usiłowanie czy doradzanie samobójstwa, powtarza się — lekko licząc — dziesięć razy na czterdzieści filmów. A więc jedna czwarta bohaterów francuskiego obrazu — to kandydaci na powieszonych, utopionych, zatrutych gazem itp. Dwukrotnie (*Studentka*, *Hôtel du Nord*) mamy samobójstwo zbiorowe.

Powtarzanie się samobójstwa w treści filmów francuskich jest zjawiskiem najgroźniejszym. O ile zdrada małżeńska, nieślubne dziecko, są błędami do naprawienia, to ta chwila, w której mężczyzna przykładą rewolwer do skroni, a kobieta idzie na ulicę, najczęściej przesądza o ostatecznej już klęsce człowieka. Nie nowość, że życie ludzkie jest trudne i tragiczne, ale film francuski sugeruje, że tym trudnościom nie warto stawiać czoła. W *Hôtel du Nord* młoda, zakochana para, zamiast wziąć ślub i we wzajemnym oparciu o siebie starać się wywojować sobie miejsce na świecie, udaje się do hoteliku i przygotowuje do wspólnej śmierci. Obiecujący młodzieniaszek strzela do narzeczonej, po czym braknie mu odwagi zrobić to samo w stosunku do własnej osoby. Bieda i bezrobocie sprzykrzyły mu się na tyle, że wymierzył rewolwer w wierną i kochającą dziewczynę, ale nie w siebie. Podobnie w *Studentce* młody student nie miał odwagi podjąć ciężaru utrzymania rodziny, mimo że znajdował wewnętrzne oparcie w kochającej go kobiecie.

Francuskie dramaty psychologiczne tchną pesymizmem, wzruszają się jedynie załamaniem człowieka, nie umieją dojrzeć piękna, patosu i siły dramatycznej w wewnętrznym zwycięstwie, czy wzruszyć się ofiarą uczynioną dla obowiązku. Gdy z liczby 40 filmów odrzucić cztery farsy, trzy filmy muzyczne, dwa — dokumentarne, przeważający stosunek treści amoralnej, przykrej, pesymistycznej wystąpi tym jaskrawiej. Gdyby zaś ograniczyć rozważanie do tematów, mających charakter tzw. sztuki o psychologicznym podkładzie akcji, czyli mniej więcej do 18 obrazów, dopiero w całej pełni odczulilibyśmy jak wiele bezradnego smutku i obezwładniających nastrojów wnosi film francuski.

Wymagania artystyczne dzieła sztuki wiele usprawiedliwiają i na wiele pozwalają, ale wszelkie odstępstwo od wymagań etyki praktycznej musi być stokrotnie okupione wewnętrzną myślą dzieła i jego celem. W stosunku do filmu, tę zasadę kompensacji etycznej, trzeba stosować szczególnie surowo wobec popularności dzieła filmowego. Niejednokrotnie podkreślano, że w filmie interes społeczny zajmuje miejsce co najmniej równorzędne z interesem artystycznym — wobec sprowadzanej do Polski produkcji francuskiej należałoby postawić pytanie, jaki jest jej duch, jaka tendencja i w ilu wypadkach wartość artystyczna wespół z wydźwiękiem finału filmu okupiła drastyczności tematu?

Oczywiście, część filmów ze względu na swój typ dokumentarny, lub po prostu wobec braku wszelkiej poważniejszej wartości, nie wchodzi w grę. Do takich obrazów zaliczymy dwa interesujące reportaże: *Francja czuwa* i *Nie damy ziemi* (tyt. oryg. *Cienie nad Europą*), dalej — bardzo przeciętne filmy muzyczne, jak *Verdi* i *Marinella*, nieudanego *Tyrana*, słabe *Ulfimatum*, banalny obraz sensacyjny *Alibi*, trzy komedie Fernandela i wspomniane już trywialne *Małżeństwo z przeszkodami*. Małą również wagę mają dość zresztą przyjemne *Dni szczęścia*, komedia *Pod szczęśliwą gwiazdą*, obraz szpiegowski *Kapitan Benoit* i stary film Boyer'a *Jastrząb*.

Zatem jako obrazy reprezentacyjne francuskiego importu w bież. sezonie pozostaną: filmy o temacie wojskowym: *Alarm!*, *Czterech na posterunku*, *Gdy Madelon...* *Bitwa nad Marną*, następnie film muzyczny *Trzy walce*, rewia historyczna Sachy Guitry *Pola Elizejskie*, Duvivier'a *Wielka wygrana*, F. Ozepa *Gibraltar* i kilkanaście filmów typu tzw. sztuki psychologicznej: *Powrót o świcie*, *Macierzyństwo*, *Wędrowny naród*, *Ich błąd*, *Konflikt*, *Kochało ją dwóch*, *Studentka*, *Hôtel du Nord*, *Ludzie za mgłą*, *Powrót do życia*, *Prokurator Andrejew*, *Krzyk ulicy*, *Purytanin*, *Wieżenie bez krat*.

Zanotujmy od razu, że motyw wojskowy tworzy w filmie francuskim treść sympatyczną, wolną od narzucanej tendencji, ale pełną kultu obowiązku, honoru munduru, miłości ojczyzny i armii. Natomiast spośród przeciętnych dramatów psychologicznych tylko część daje w finale wrażenie krzepiące. Zaliczyłbym tutaj: *Powrót o świcie* i *Macierzyństwo*, *Kochało ją dwóch* (tyt. oryg. *Varietés*), *Powrót do życia*, *Wieżenie bez krat*. *Pola Elizejskie* Guitry'ego nie są widowiskiem budującym i wyglądają na kronikę cudzołóstw, które odegrały rolę w historii Francji; z *Gibraltarem* i *Wielką wygraną* łączy się ukazywanie kobiety w roli nierządnicy; *Trzy walce* reprezentują moralność przedwojennej operetki, *Prokurator Andrejew* technie rosyjską beznadziejnością, *Ich błąd*, i *Konflikt* pokazują rozbite małżeństwa, mówiąc jak gdyby, że człowiek i życie wraz z jego urządzeniami jest bezbronne wobec niszczącej tragicznej siły miłości. Podobnym tonem dźwięczy *Studentka*, *Purytanin* i *Krzyk ulicy*, zniżając się do dna ludzkiego upadku dają widzowi wrażenie, iż nędza sprzysięgła się z obłudną moralnością by zepchnąć człowieka w przepaść. Wreszcie — dwa głośne obrazy: *Ludzie za mgłą* i *Hôtel du Nord* są właściwie konfrontacją wysiłków ludzkiego serca ze złośliwym przypadkiem, z bezmyślnym okrucieństwem zdarzeń. I jeżeli nutą optymistyczną, tonem wiary w człowieka jest ufnosć i ofiarność miłości, to równocześnie zdecydowanym pesymizmem przejawia się brak wiary w życie, tym bardziej zaś brak wiary w czynnik nadprzyrodzony, w Opatrzność.

Film francuski nie jest więc pozbawiony pierwiastków szlachetnych, ale bardzo rzadko umie pokazać zwycięstwo człowieka. Interesują go przede wszystkim, podobnie jak i współczesną powieść psychologiczną, raczej klęski niż osiągnięcia ludzkie. Gdy zaś wszystko rozstrzyga się w ramach dramatycznych wydarzeń, gdy poza życiem nie ma innego celu, a jedyną racją wewnętrzną podtrzymującą człowieka jest jakby swoista duma stoicka, trudno takiemu filmowi odegrać pożyteczną rolę społeczną.

Oczywiście — dalecy jesteśmy od generalizowania i powyższe uwagi zmierzają wyłącznie ku wskazaniu potrzeby troskliwego i ostrożnego doboru repertuaru z produkcji francuskiej, tak bogatej poza tym w zalety artystyczne. Film francuski w przeważającej większości na wskrósł laicki, w odróżnieniu od filmu amerykańskiego nie szuka dyskretnej tendencji, lecz stara się wydobywać tzw. prawdę życiową. Nie zapominajmy więc, że owa prawda życiowa jest pełna dopiero w świetle metafizycznego celu człowieka. Stanowczo zaś już trzeba zaprotestować przeciw zaśmiecaniu rynku bzdurnymi komediami, stojącymi na pograniczu pornografii i obrazami, jakie zrodziły się z dziwacznych upodobań produkcji do środowisk zdegenerowanych.

Zdzisław Bronceł.

Mieszaniny naukowo-literackie.

Nie moją jest rzeczą osądzać, czy przewidywać, jakie następstwa na polu etnicznym, politycznym czy społecznym pociągnie za sobą niedawne zagrabienie Czech przez Niemcy. Natomiast łatwe będzie już nie tylko przewidywanie, ale niestety nawet i stwierdzenie skutków, jakie owa okupacja niesie za sobą na polu kultury, w szczególności zaś literatury i nauki.

Skutki te już są — i ponoś długo jeszcze będą — niewątpliwie fatalne.

Gdy chodzi o literaturę piękną, to ją w Niemczech nazistowskich, choć z innych powodów niż w utopijnej platońskiej Rzeczypospolitej, dawno skazano na banicję. Tym mniej jest prawdopodobieństwa, by miało się nią opiekować w podbitych Czechach. Literatura czeska nie należała do najświetniejszych w świecie, to prawda, zawsze jednak talentów było sporo, wcale nieprzeciętnych, do ostatnich czasów, a możliwości rozwoju były wielkie. Teraz...

Nie chcę tu źle wróżyć. Mam w pamięci, że nasz naród przed stu pięćdziesięcioma laty utracił byt polityczny, a przecież właśnie w tym ciężkim okresie wielkich zmagania o byt narodowy zdobył się na najwspanialszy rozkwit literatury. Z macierzyńskiego bólu Polski zrodziły się dzieła: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, Wyspiańskiego, Żeromskiego — i tylu

innych. I one zaświadczyły — że „nie zginęła!” Czy chwile takiego twórczego wstrząsu uczuje w sobie naród czeski?

Może. Chciejmy pamiętać, że niemal dokładnie sto lat temu, w czasie najstraszniejszego ucisku, w czasie gdy mówiono już o zupełnej zagładzie imienia czeskiego, naród czeski ocknął się do nowego życia, nabrał sił, wzmógł się materialnie i intelektualnie i obudził leżącą w letargu od dwóch wieków literaturę czeską. Mogłoby się powtórzyć w innej skali obecnie podobne zjawisko, zwłaszcza, że przy zmienionych w kraju czeskim warunkach zaczynają się ukazywać objawy spontanicznej, choć na razie i sporadycznej jeszcze regeneracji duchowej społeczeństwa czeskiego.

Jednym z czynników, który narodowi czeskiemu dawał inicjatywę, a zarazem gwarancję bytu, była wysoko stojąca w owym kraju nauka. Nią chlubić się Czesi mogą słusznie, a ta część odjęta im nie będzie. Nawet gdy im nowi władcy odważą się odejmować ich naukowe zakłady i instytucje...

Instytucją taką, z której czeska nauka mogła być dumną, był Instytut Słowiański (Slovansky Ustav) w Pradze. Reprezentował on godnie i wspaniale tę gałąź nauki, którą Czesi od czasów Jungmanna, Szafarzika, Dobrovskiego i Palackiego zawsze słynęli: a więc sławistykę. A właśnie w ostatnich latach przed katastrofą państwa czechosłowackiego ta dziedzina nauki stała nie tylko nadzwyczaj wysoko, ale ponadto rozszerzyła się w kierunku, na którym nawet mogła przodować nauce europejskiej: w dziedzinie badań nad stosunkiem kultur słowiańskich do greckiej kultury średniowiecznej. Światowe uznanie zdobyły sobie okazałe formą i treścią roczniki *Byzantino-slavica*, wraz z przynależnymi do nich publikacjami o epokowym nieraz znaczeniu, że wspomnę przede wszystkim cenne prace ks. prof. Dvornika, nareszcie stawiające poważnie, na podstawie sumiennie zbadanych źródeł greckich sprawę św. Cyryla i Metodego, którą dawniej zaśmiewały niefortunne tübingskie fantasmagorie.

Już w przededniu rozbitcia Czechosłowacji doszły mnie dwie, jakby pożegnalne, publikacje zasłużonego redaktora *Byzantino-slavica*, prof. Miłosza Weingarta: jedna z nich to dwutomowa *Rukoviel jazyka staroslovenského*, druga zaś *Hlaholské listy videnské*. Obie są poświęcone sprawom i zabytkom języka staro-cerkiewnego, tego *lingua communis ecclesiastica* narodów słowiańskich. Nie piszę „Mieszanin językoznawczych”, ale „literacko-naukowe”, zatem, jak zwykle, sprawy obchodzące wyłącznie lingwistów zostawię tu na boku. Chcę tylko zwrócić uwagę na kwestie wchodzące w zakres ogólnej kultury, a także i religii, kwestie, o których wielu ludzi w Polsce miewa najmylniejsze pojęcie, a wskutek tego szerzy się zamęt i w naszych książkach o literaturze Polskiej.

Oto w umysłach niektórych ludzi język cerkiewnosłowiański (zwą go też starobułgarskim lub — trochę ciężkavo — starocerkiewnosłowiańskim) błędnie identyfikuje się jeżeli nie z prawosławiem, to przynajmniej z obrządkiem „wschodnim”,¹⁾ czyli, użyjmy trafniejszej nomenklatury: obrządkiem bizantyńskim, tzw. obrządkiem św. Jana Chryzostoma. Utożsamianie takie dowodzi zupełnej nieznajomości istotnego stanu rzeczy. Język i liturgia to wcale nie to samo. Gdy chodzi o język cerkiewnosłowiański, to służył on i służy po dziś dzień, zarówno wspomnianemu obrządkowi św. Chryzostoma, jak i obrządkowi rzymskiemu. Przez długie wieki w pewnych okolicach Czech i Moraw, a także i w pewnych okolicach Polski (np. w XIV wieku w Krakowie na obecnym placu Słowiańskim) odprawiano nabożeństwa katolickie według obrządku rzymskiego w tym właśnie, słowiańskim języku; to samo jeszcze dziś widzimy we franciszkańskich i nie franciszkańskich kościołach katolickiej Chorwacji (m. in. w samym Zagrzebiu), a także na niektórych wyspach dalmatyńskich. Każde takie stosowanie języka starocerkiewnego w kościołach katolickich rzymskiego obrządku bywało bez trudności wielokrotnie zatwierdzone przez papieży (czynili to za bliskich nam dni jeszcze Leon XIII i Pius X), co wystarczyłoby najzupełniej do zbitcia tendencyjnej wersji o „oszukiwanie” jednego z papieży przez św. Cyryla i Metodego.

Dowody starodawnego, bo jeszcze w wieku X, istnienia obrządku rzymskiego w języku cerkiewnosłowiańskim, były nie od dziś znane badaczom. Poświęcano wiele uwagi zwłaszcza tzw. „fragmentom kijowskim”, zawierającym urywki mszy rzymskiej. Prof. Weingart zajął się bliżej innymi jeszcze takimi zabytkami liturgicznymi, zwłaszcza tzw. głągoliczki kartkami wiedeńskimi. Na podstawie sumiennej i fachowej analizy doszedł do wielu wniosków, które będą interesowały historyków Kościoła katolickiego, a także badaczy czeskiej i polskiej literatury religijnej wieków średnich. W grę tu wchodzi np. różnice terminologiczne: w cerkiewnosłowiańszczyźnie obrządku rzymskiego, a więc na terenie zachodnim, spotykamy terminy *rai* i *p'el'* (dzisiejsze piekło), gdy na wschodnim obszarze, zastosowana do obrządku bizantyńskiego starocerkiewszczyzna przyjęła terminy greckie: *poroda* (paradeisos) i *ad*.

Dalsze stąd płynące wnioski, o formowaniu się pewnych drobnych, niemniej jednak charakterystycznych dialektyzmów w starocerkiewszczyźnie, prowadzą prof. Weingarta do przed-

¹⁾ Obrządków „wschodnich” jest w Kościele bardzo dużo (bizantyński, melchicki, ormiański, koptyjski etc.) Tak samo myląc jest nazwa „obrzadek łaciński”. Łacińskiego języka używają różne obrządki (rzymski, mediolański, mozarabski, kartuski, dominikański, częściowo także celtycki i galikański), a nawet w bizantyńskim obrządku bywała ewangelia czytana po łacinie.

proza literatury czeskiej. Słynna, za początek tej literatury uważana pieśń *Hospodine pomiluj ny*, która pomimo pewnych dających się z biegiem wieków zaobserwować modernizacyj zachowała po dziś dzień swój wygląd starożytny (niezwykle starą formę zaimekowi *ny*), jest słusznie przez badacza uznana za utwór z X wieku; do dowodów lingwistycznych dochodzą i filologiczne, a mianowicie: uczciwe porównanie z hymnografią grecką oraz liturgią X wieku. Takie same fakty (niezależnie od badań niżej podpisanego) wskazał wybitny czeski badacz, prof. Roman Jakobson, co do naszej „Bogurodzicy”, którą, podobnie jak to uczynił dawniej najznakomitszy ze sławistów, Vatroslav Jagić, odniósł do najpierwszych czasów chrześcijaństwa na ziemiach słowiańskich, więc do wieku X.

Inną publikacją naukową, jaka mnie tu doszła z ziemi czeskiej, jest wielki tom zbiorowy, redagowany przez prof. Jerzego Horáka, pod tytułem *Slovanská vzajemnost, 1836 — 1936, sborník praci k 100 vyroczi vydani rozpravy Jana Kollára o slovanské vzajemnosti*.

Publikacja ta, która ukazała się z dwuletnim opóźnieniem ma dzisiaj szczególną wymowę już przez sam swój tytuł. „Wzajemność słowiańska”... dla niejednego ze świadków zdarzeń ostatnich wyrażenie to będzie miało brzmienie ironiczne. Bo jeżeli kiedy, to właśnie niedawno widzieliśmy plemiona słowiańskie skłócone z sobą, czasami *pour le roi de Prusse*, a częściej jeszcze: *par le roi de Prusse*. Ale kto wie? Może właśnie po tych doświadczeniach, jakie z wypadków owych osiągnięto, właśnie tym łatwiej dojdzie do tego porozumienia i współpracy narodów słowiańskich, o jakiej myślano i marzono przed stu laty?

Twórcą zarówno terminu jak idei „wzajemności słowiańskiej” był poeta Jan Kollár, Słowak piszący po czesku, autor słynnego zbioru utworów poetyckich pod tytułem *Slavy dcera* (Córa Sławy), a jednocześnie wybitny pracownik naukowy. Przypisywał on Słowianom wielką rolę w przyszłych dziejach ludzkości, a jednocześnie głosił hasło pojednania się i złączenia się Słowian dla wspólnego dobra, zwłaszcza dla dobra kultury, hasło wyzyskania dla tych celów uderzającej bliskości języków słowiańskich, które przez lat tysiąc tak stosunkowo niewiele odbiegły od siebie, iż poszczególne narody słowiańskie mogą bez wielkich trudności porozumiewać się z sobą wzajemnie.

Rozprawa Kollára o „wzajemności” słowiańskiej (dziś byśmy użyli raczej słowa „współdziałanie”) ma znaczenie epokowe w literaturze i historii czeskiej, ale odbiła się szerokim echem we wszystkich krajach słowiańskich. Dlatego to w księdze pamiątkowej znajdziemy rozprawy pisane po czesku, polsku, rosyjsku, ukraińsku, serbochorwacki i słoweńsku.

Ze wstępnego, nader ciekawego artykułu prof. Murki dowiedzieć się można, że owa „wzajemność” nie była właściwie

wynalazkiem Kollára, ale istniała od wieków. Przez długie stulecia nie znane były pojęcia „język polski”, „czeski”, „serbski”, „ruski”. Istniał tylko jeden termin: język słowiański; warto pamiętać, że terminem tym posługuje się jeszcze, mówiąc o własnej polskiej twórczości, Jan Kochanowski („powiedz słowiański rym”). Dlatego też, zauważę nawiasowo, niesłychany błąd popełniali niektórzy historycy literatury, twierdząc anachronicznie, że święty Wojciech „nie umiał” mówić „po polsku”; źródła historyczne, pisane w kilka lat po jego śmierci świadczą, że sobie równie doskonale w „słowiańskim języku” (*lingua slavonica*) ugwarzał z Hawelanami, Lutykami, Słowianami pannońskimi i z naszym Bolesławem, a także z pomorskim księciem gdańskim.

Miał też Kollár poprzedników na polu swego mesjanizmu słowiańskiego. Pisze o nich Frank Wollman, nawiązując do fundamentalnej pracy Ujejskiego, którą w niektórych punktach uzupełnia lub kontrastuje innym oświeceniem. Przesuwają się następnie artykuły o odbiciu się idei Kollárovych w poszczególnych narodach słowiańskich. Są tu trzy prace polskich uczonych (Szyjrowskiego, Wierczyńskiego i Wisłockiego), poza tym związana z terenem polskim rozprawa Krejczego o polskich próbach wprowadzenia ortografii czeskiej (Bogusławski, Arct etc.).

Jak w Kollárowej księdze ową, rzekłbyś, księdza Robakową tabakierą, która wszystkich oczy „ciągnie i jednoczy”, jest wspólna i szeroka sprawa rozdzielonych, a nieraz „cierpkich” pobratymców słowiańskich, tak w dwóch innych, polskich już wyłącznie księgach zbiorowych, jakie mam przed sobą, motywem przewodnim są przede wszystkim sprawy terenowo węższe, regionalne.

Pierwszą z tych ksiąg jest okazały tom III *Pamiętnika Lubelskiego* (skład gł. w Księg. św. Wojciecha), wydany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Można z tego tomu nabrać wyobrażenia o wielkim i stałym rozmachu intelektualnym i kulturalnym, jakim godził się chlubić ten dzisiejszy gród uniwersytecki, mający poza tym stare tradycje w dziejach polskiej kultury. Ma swoją wymowę zwięzła notatka prof. Białkowskiego o działalności wydawniczej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, sprawozdanie z działalności Tow. Przyjaciół Nauk, artykuł prof. Życzńskiego o nader ciekawej i wyrazistej twórczości poetów lubelskich ostatniej doby (Czechowicz, Madej, Łobodowski), inne jeszcze wiadomości o rozwoju muzyki i plastyki w tym mieście; smutniej jedynie nastraja czytelnika, bardzo sumienny zresztą artykuł o życiu teatralnym Lublina: teatr lubelski koniecznym winien ożyć i zdobyć się na własną pracę, zamiast poprzestawać na gościnnych występach przybyszów!

„Na starych szlakach handlowych” położony (jak się wyraża prof. Białkowski) oraz odgrywający w dziejach polskich kilkakrotnie decydującą rolę (dość wspomnieć unię lubelską), Lublin garnął się z dawna do oświaty, która zawsze wcześniej się

budzi w podobnych węzłowych ośrodkach. Pionierem polskiej książki drukowanej był Biernat z Lublina, burmistrzował w Lublinie Klonowic, sędziował Ignacy Krasicki, żywota tu dokonał Kochanowski, mieszał z tym miastem silną styczność Kajetan Koźmian i Wincenty Pol; można by listę ciągnąć aż do Bolesława Prusa i Andrzeja Struga i jeszcze dalej. O tych, co Lublin opisywali, czy to na podstawie dłuższej w nim bytności (jak Ewa Szelburg) czy przygodnego zetknięcia, mówi w swym szkicu Paweł Gdula.

Ma Lublin też ważną kartę w dziejach polskiego szkolnictwa. Choć projekt założenia wydziału prawnego (o czym pisze prof. Z. Kukulski) nie doszedł tu do skutku za dni dawnej Rzeczypospolitej, to jednak pamiętajmy, że Akademia Zamojska leżała przecie w zasięgu lubelskiej strefy kulturalnej, a szkoły średnie lubelskie osiągały też niekiedy poziom bardzo wysoki. Były oczywiście i falowania tego poziomu, zależne w znacznej mierze od losów kraju, a z nim i samego miasta; mamy w *Pamiętniku* zareprezentowane wszelkie epoki tego szkolnictwa: jezuicką, austriacką (1795 — 1809), rosyjską (w cytatach z powieści Struga), a wreszcie i współczesną, wolnej Polski (notatka Gucwy o gwarze uczniowskiej).

Ze szkolnictwem, oświatą i nauką w Lublinie wiąże się przede wszystkim zasługa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które tu istniało jeszcze w epoce przed powstaniem listopadowym. Duszą jego był prof. Jan Kanty Krzyżanowski, zajmujący w dziejach polskiej myśli wychowawczej jedno z miejsc naczelnych. Zasłużony badacz dziejów pedagogii polskiej, znany z prac o Staszycu i inn., prof. Kukulski, poświęcił mu wiele miejsca w swym źródłowym studium o wspomnianym Towarzystwie. Jak w kilku innych artykułach *Pamiętnika*, tak i tutaj zaznaczono silnie, że ognisko kulturalne lubelskie należy nieraz traktować łącznie z szerszym obszarem regionalnym, którego innymi ważnymi punktami są: Puławy, Zamość, Chełm, Hrubieszów.

W myśl tego założenia znajdujemy w księdze studia o unickim biskupie chełmskim, Szumborskim, notatki o Urzędowie i Opolu Lubelskim i rozprawę etnograficzną o strojach ludowych i haftach krzeczonowskich, studium prof. Kuraszkiewicza o przeszłości narzecza zamojskiego.

Ale znajdujemy też tu prace, wykraczające poza obręb regionalny. W zakresie historii literatury polskiej najobszerniejsze uwzględnienie znalazł wiek XVII¹⁾, co nie 'dziwi, skoro w gronie redakcyjnym księgi jest tak świetny znawca owej epoki, jak prof. J. Krzyżanowski (Julian, nie Jan Kanty!) który dorzucił

¹⁾ Są ważne prace i o innych epokach, jak prof. Hahna o *Deofymie* i Sokołowskiego o *Dziadach*. Osobną ważną pozycję stanowi rozprawa prof. Życzynskiego o *estetyce tragizmu*.

nową wiadomość o satyryku Ł. Opalińskim. Rozjemstwa w sprawie autorstwa *Symfonii anielskich* podjął się prof. Życzynski; utwór ten przypisywano raz Żabczycowi, raz Dachnowskiemu, wiodąc o to zawzięte boje; prof. Życzynski sprawę tę rozstrzygnął po prostu: na podstawie różnych świadectw wykazał, że „Żabczyc” może to być jeden z wielu pseudonimów ukrywającego często swoje nazwisko „peripetasmatowicza” Dachnowskiego. Niezbyt utalentowanemu pisarzowi siedemnastowiecznemu, Szemiota, poświęcił dłuższą rozprawkę prof. L. Kamykowski, wkładając w to wiele nader sumiennej pracy. Czy to jednak nie za wielki zaszczyt dla Szemioty? Owszem i tacy godni są, żeby ich wspomniano; ale budzi się refleksja: czemu to dotychczas nie mamy monografii o wielu prawdziwie wybitnych pisarzach staropolskich, o takim mistrzu prozy polskiej, Stanisławie Orzechowskim, o świetnym publicyście Herborcie, a nade wszystko o genialnym Janie Długoszu, którego główna część *Kroniki*, mówiąca o wiekach XIII do XV (dawniejsze można sobie darować, jako literacko i źródłowo słabe), jest wręcz arcydziełem artystycznej wizji i plastyki?

Przyszedł mi na myśl Długosz, ponieważ miałem też do czynienia z jego „regionem”, jego „krajem lat dziecińczych”, jakim jest umiłowana przezeń Ziemia Wieluńska. Dziś ta kraina zmieniła swą nazwę, skoro stary Wieluń rzekł się swego przodnictwa na rzecz podległej mu dawniej Częstochowy. Stąd ten obszar, zamknięty od wschodu Jurą Krakowską i Pilicą, od południa Przemszą, a od północy Wartą, od zachodu zaś graniczący ze Śląskiem, darzy się za naszych dni zazwyczaj mianem „Ziemi Częstochowskiej”. A takie samo miano nosi też wydawnictwo, z regionem owym ściśle związane (nakł. Towarzystwa Popierania Kultury Regionalnej w Częstochowie). Właśnie wyszedł niedawno drugi tom tego wydawnictwa, a trzeci już jest w robocie. Treść bardzo bogata i różnorodna; w dotychczasowych tomach jednakże przewagę mają studia geologiczne i przyrodnicze. Te tylko ogólnie tu pochwalić mogę, nie będąc w danym zakresie fachowcem, stwierdzę, że czytałem je jednak z zajęciem; taka ekskursja prof. Hyli po „Zabytkach i osobliwościach powiatu częstochowskiego” nauczy każdego bardzo wiele, a artykuł dra Różyckiego o rezerwacie geologicznym pod Jasną Górą godzien jest szerokiego poparcia. Drugie miejsce zajmują studia etnograficzne, które zajmą i badacza literatury, zwłaszcza jeżeli sobie przypomnimy, że tak niedaleko od Częstochowy urodził się Autor *Chłopów*, który tameczne obrzędy, zwyczaje, śpiewki, stroje i pracę ludu znał od dzieciństwa, a na domiar tego twórczość swą rozszalał po raz pierwszy *Pielgrzymką do Jasnej Góry*.

Od Długosza i Grzegorza z Sambora (Vigilantiusa) poprzez ks. Kordeckiego *Nową Gigantomachię* i pisma Wespazjana Kochowskiego, aż do *Potopu* Sienkiewicza, do Reymonta i niedawno

zmarłego świętego historyka Tokarza, ciągnie się szereg nazwisk słynnych w literaturze i nauce, a związanych z Częstochową. Nie trzeba myśleć, że ta ziemia tylko rymy częstochowskie rodziła. Pokażna jest „Bibliografia Częstochowy” zestawiona w omawianym tomie przez Marię Józefowiczównę, a są w niej poważne lub zasłużone nazwiska, więc prócz wymienionych takie, jak: Anczyca, ks. Fiałka, Gomulickiego, Handelsmana, Kopery, Korzona, Balińskiego, Niemcewicz, Siemieńskiego, Szujskiego (Historia o Jacku Brzuchiańskim), Tymienieckiego, Starowolskiego i wielu innych. Bibliografia zresztą jest niezupełna i nie brak w niej przeoczeń. Tak np. nie wspomniano książki szkiców prof. J. Kochanowskiego, nie wspomniano Sienkiewicza (artykuł o Kordeckim, pisany w r. 1903), a nade wszystko znakomitej monografii historycznej ks. dr Frasia (1935) o *Obłężeniu Jasnej Góry*, gdzie po raz pierwszy zużytkowano nie tylko wszystkie źródła polskie, ale też czerpano ze źródeł szwedzkich, odnoszących się do wyprawy gen. Müllera. Myślę jednak, że Autorka da nam jeszcze *supplement* swojej bibliografii, a może znajdzie się ktoś, kto z pomocą cennych jej zestawień da nam wyczerpującą rozprawę na temat Jasnej Góry i Częstochowy w literaturze. Nadmienić należy, że taka rozprawa nie ograniczyłaby się do literatury polskiej, skoro (opiewana i przez Mickiewicza w *Panu Tadeuszu*) Częstochowa miewała piewców także w literaturze niemieckiej, czeskiej (Jan Karnik), angielskiej (H. Belloc). Koroną jednak utworów poetyckich o Jasnej Górze zostanie niewątpliwie przecudny wiersz Iłakowiczówny, który też do „supplementu” bibliograficznego zalecam. Co do piękna poetyckiego mogą się z nim równać tylko strofy Słowackiego w *Beniowskim*, poświęcone „Matce Czarnej” Częstochowskiej.

Prawem naturalnym całą skalą dochodzi do głosu regionalizm w nowym tomie *Cudów Polski* (Wydawnictwo Polskie, R. Wegner, Poznań), napisanym przez Tadeusza Łopalewskiego, a noszącym tytuł „Między Niemnem a Dźwiną, Ziemią Wileńską i Nowogrodzką”. Jeden z ważnych rozdziałów tej miłej książki zwie się „Kraj lat dziecińczych”, a zaczyna się od słów, jakby „przekazających” jakiemuś zdaniu z *Unii* Weyssenhoffa: „Jest tutaj, na ziemi nowogrodzkiej, tak właśnie, jak on to opisywał”.

On — to najdroższy sercu polskiemu poeta, Adam Mickiewicz. „Krok za krokiem przemierza się te strony przy akompaniamencie, przy ciągłym wtórze Mickiewiczowskich wierszy”. Te wiersze, najprostsze z prostych, a największe z największych, są naturalnym kraju tego oddechem, najistotniejszym i najprawdziwszym wyrazem i obrazem tutejszego życia i pejzażu.

Łopalewski krainę tę rozumie dobrze i odczuwa, a miło się idzie za jego przewodem, za tą lekką, pełną cytacyj gawędą, po tej ziemi, którą każdy (choćby nigdy nie bywszy w niej osobiście) tyle razy „widział w całej ozdobie”. Po tych arcydziełach wnikli-

wości, jakimi są szkice o Nowogródczyźnie Mickiewiczowskiej napisane przez Pigoń, Borowego i Leonarda Podhorskiego, jeszcze nie czujemy się zmęczeni czwartą z kolei na ten sam temat relacją i z radością idziemy *in des Dichters Lande*, choć ten kraj polskiego arcypoety mamy cały w sobie od lat najmłodszych.

Ale kraj to nie tylko Mickiewiczowski. To kraj każdego z nas: prawem władztwa polskiej poezji, ale i prawem władztwa polskiej, wspólnej nam wszystkim historii. Urodzajna w talenty poetyckie była ta gleba, gdzie tworzyli Syrokomla czy Chodźko, czy Orzeszkowa, czy Rzewuski, czy Weyssenhoff, a gdzie dziś cały chór wybitnych pisarzy dzielnie podtrzymuje dawną tradycję. Ale i to niemniej ważne, że tu tworzyły się wielkie zdarzenia, te które nadały tak odrębny bieg i tak znamienity wyraz ideowy całej polskiej historii. Jest to kraj pobłogosławiony wielką ofiarą królowej Jadwigi, kraj podniesiony do godności równych z równymi i wolnych z wolnymi, kraj naznaczony stygmatem wielkiego bohaterstwa i męczeństwa, kraj gdzie się rodziły wielkie, świat ogarniające idee, wyrażone tak w Mickiewiczu jak w Piłsudskim.

„Jedna jest kraina taka... Geniusz narodu polskiego wypowiadał się w różnych stronach naszej ojczyzny, to w hartownym Bolesławowskim Poznaniu, to w mądrej i poważnej myśli Krakowa, to w niesłychanym bohaterstwie Lwowa, — ale tam między „ojcem Niemnem” i „Wilią rodzicą” nieraz bratały się z sobą i w jedno zespalały jednocześnie najpiękniejsze i najbardziej zdumiewające geniuszu tego czynniki.

W sferę tych wielkich duchów, którzy tu „Ojczyznę krzesali”, kształtując jej myśl i jej dzieje, dają nam dostęp inne jeszcze książki, jakie pojawiły się w czasach ostatnich. Kilka z tych książek mam przed sobą na biurku. Dwie małe broszurki pełne jednak treści i wymownego przekonania, poświęcone są królowej Jadwidze. Jedna, napisana przez O. Jacka Woronickiego, mówi o hołdzie złożonym przez teologów polskich tej niepospolitej władczyni; druga, napisana przez najznakomitszego znawcę epoki, prof. O. Haleckiego, wspinałymi a wytwornymi argumentami wyświeśla sprawę rzekomego małżeństwa Jadwigi z arcyksięciem Wilhelmem.

O Mickiewiczu zaś mówią przede wszystkim dwaj jego wytrawni znawcy: profesorowie Pigoń i Kleiner. W *kręgu Mickiewicza i Goethego* brzmi tytuł zbioru różnych studiów pana Kleinerowych (Rój), pisanych z finezją i bystrością. Tematy są różne, wykraczające czasem poza epokę Goethego, czy Mickiewicza, ale też nie o samą epokę chodziło, tylko o posiew myśli genialnej, jaką rzucili ci dwaj poeci, w narodach swych najwięksi.

Rozpoczyna tę książkę zagadnienie, które Kleiner stawiać sobie musiał jeszcze przed laty, jako Autor napisanej po nie-

miecku historii literatury polskiej. Pytanie to brzmi: jakie są „światowe wartości” tej literatury. Próbowałem i ja na pytanie to częściowo odpowiedzieć, gdy pisałem recenzję owej niemieckiej książki. Choć byłem i będę wielbicielem polskiej poezji romantycznej, jednak nie wydaje mi się, żeby ten najwyższy niewątpliwie wzlot naszej literatury był jednocześnie „przedmiotem na eksport”, tj. tym, czym zaświadczyć mamy przed światem wagę i wielkość naszej twórczości. Są niesłychane trudności, które odgradzają od świata szerszego nie tylko *Little Wenede* (słusznie przez Kleinera uznana za najwspanialszą tragedię w epoce powstania tego dzieła), ale nawet *Pana Tadeusza* i *Nieboską*. Obok przełamywania trudności, które prędzej czy później się dokonają (ze względu na dzisiejszą rolę Polski oraz podobieństwo przeżyć pewnych narodów do tego, co w zeszłym wieku przeżywała Polska), warunkiem niezbędnym do uzyskania światowego znaczenia musi być odrębność wyrazu danej kultury. Literatura polska, jak twierdzi Kleiner, nie stworzyła dotąd własnych rodzimych prądów, poza tym — w porównaniu z taką np. literaturą rosyjską — za mało ujawniała posmaku egzotyki.

„Na tle literatury światowej” wypadło postawić Mickiewicza nie tylko jako najbardziej rodzimego poetę polskiego, nie tylko jako tego, który „jest większy niż literatura polska”, ale też i jako tego, który myśli narodów zapładniał i nieraz najpełniej ją wyrażał. Synteza obserwacji prof. Kleinera brzmi: „Dla poezji światowej (Mickiewicz) jest najzupełniejszym wyrazem romantycznego rozmachu w potężnej, cierpiącej, zbuntowanej jednostce twórczej, najpełniejszym wyrazem rozplomienionej do żaru solidarności romantycznej z narodem i największym pionierem poetycznej afirmacji całego życia rzeczywistego, pionierem tej właśnie poezji, której spragniony jest świat dzisiejszy: poezji realizmu”.

Z innych szkiców poświęconych przez Kleinera Mickiewiczowi najważniejszy jest ten, który mówi o *Panu Tadeuszu*, jako książce budującej, książce tej, w której odniesiono „jedno z największych zwycięstw poezji nad oporną względem niej rzeczywistością”, a w którym jednocześnie poeta „dał świadectwo, jak bliski był jego duch ideałowi wszechczłowieczeństwa”. Niewątpliwie jest w tych słowach przytyk do słynnych, a już przebrzmiałych walk o *Pana Tadeusza* i o „uniwersalizm”.

O Goethem mówi profesor kilkakrotnie, od różnej rozpatrując go strony w każdym szkicu, wszelakoż ku jednemu zmierzając, ku konkluzji, która mówi, że ze wszystkich osobistości, jakie w swym dziele twórczym stworzył wielki poeta niemiecki, była jego własna osobistość. Ukształtował ją Goethe sam swoją wolą własną i wolą artystyczną. W tym, zauważyć bym sobie pozwolił, widzę jego najistotniejszą różnicę z Mickiewiczem, który takiego jednolitego „siebie” nie wypracował przez całe swe życie. Mimo

żałą różnicę talentu i charakteru miałby z Goethem w tym względzie więcej podobieństwa raczej Sienkiewicz, który przez całe życie był właśnie takim arcydziełem świadomej twórczej: woli.

Obok szkiców o innych twórcach (wśród nich o umiłowanym i dobrze odczutym Krasickim) znalazła się znów przygarść „nowych studiów o Słowackim”. To nam przypomina, że najgorliwszy badacz twórczości Słowackiego obdarzył nas właśnie nową książką o tym poecie (Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych). Jej omówienie, wraz ze studiami nieodżałowanej pamięci Gwalberta Pawlikowskiego, odkładam do jednej z następnych serii „Mieszanin”. Przechodząc do drugiego ze wspomnianych wybitnych mickiewiczologów, prof. Pigoń (od którego nie przestanę oczekiwać wielkiej monografii o Mickiewiczu), zwrócę uwagę na jego zwięzłą, a ważką rozprawkę o *Zrębach Nowej Polski w publicystyce Wielkiej Emigracji* (Warszawa, Instytut Literacki). Rzeczą tę może z zacięciem przeczytać i niefachowiec od literatury, bo dotyczy ona spraw, które bądź co bądź — w myśl wspomnianej w tytule publicystyki — były aktualne dla nas, dziś żyjących obywateli Polski wskrzeszonej. Mniej więcej wszystkim u nas wiadomo, jak na te sprawy zapatrywał się Mickiewicz, Słowacki, czy Krasiński, ale o tym, jak sobie przyszłą Polskę wyobrażali wyraziście myśli politycznej, mniej wiadomo. Gdy o tych poglądach czytamy, to nam się niekiedy wydaje, jakobyśmy czytali niektóre pisma z jakiego roku 1919... A więc dyskusja na temat granic i składu etnicznego Polski; zagadnienie dotyczące ziem litewskich i ruskich: „inkorporacja, czy federacja czy wreszcie autonomie regionalne?” A w tym wszystkim: Polska ludowa czy inna? Późniejszy zmartwychwstaniec Semeneńko głosi poglądy, powiedzieliśmy: najbardziej „ludowcowe”. Atakuje go radykał Czyński, ten, którego „narodowość” tak dosadnie określił Mickiewicz w słynnym złośliwym wierszyku. W związku z jego akcją odsłaniają się kulisy sprawy żydowskiej, problemu nierozstrzygniętego przez publicystów emigracyjnych. Dalej ciągnie się, w jakimś związku ze sprawą poprzednią, zagadnienie przyszłej „struktury religijnej”; w większej zaś mierze zajmuje umysły publicystów zagadnienie struktury społecznej.

Kilkanaście lat ciągnęły się owe dyskusje publicystyczne na gruncie emigracyjnym, aż wreszcie przecięły je wypadki r. 1863, oraz zmienione w kraju warunki. Przestały więc być aktualne „zamysły i tęsknoty tamtego pokolenia”. Niemniej jednak „niezrządkiem wciąż wciąż jeszcze żywą krwią”...

O ciekawych, wyrażonych przez romantyczne usposobienie oraz przez bieg wypadków, ludziach ówczesnych, wiele, wiele jeszcze pisać będą dzisiejsi badacze, esaiści, a czasem i powieściopisarze. Na pograniczu fikcji i historii stoi książka Róży Czekańskiej-Heymanowej o Marii Kalergis (księg. Hoesicka), tej kobiecie, która w życiu Norwidowym taką odegrała rolę. Bardziej

źródłowo-monograficzny zakrój ma, żywo napisana książka M. Czapskiej o kobiecie, która była „pierwszą i jedyną” miłością Słowackiego: o Ludwice Śniadeckiej (wyd. Biblioteka Polska, Warszawa). Ze Słowackim właściwie osoba tej kobiety wiąże się tylko pośrednio, bo dla niej samej ten młody, wzdychający do niej poeta nie był przedmiotem zainteresowania. Znalazła taki przedmiot w Moskału, Korsakowie, który wydał się jej ideałem romantycznym, następnie zaś w burzliwym Sadyku Baszy: Czajkowskim. Trzy te postacie Autorka umiała scharakteryzować bardzo plastycznie, na dalszym planie zaś ukazała nam w bardzo ciekawym świetle ojca Ludwiki, Jędrzeja Śniadeckiego.

Wszedłem w atmosferę *Godziny myśli* i *Beniowskiego* (gdzie raz przecie Słowacki wykpił i samą Ludwikę), a więc niech mi będzie wolno przerwać dalsze pisanie słowami poety: „Dosyć już strof tych!...” Ale też: „Powieść nieskończona...”

Prof. Józef Birkenmajer.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 11 lipca 1939 r.